

Tom Sharpe

Alternatywa według Wilta

Billowi i Tinie. Bakerom

1

W college'u trwał tydzień zapisów. Henry Wilt siedział przy stoliku w sali nr 467, patrzył w oczy przycupniętej naprzeciw przejętej kobiecie i starał się robić wrażenie zainteresowanego.

- Mamy jeszcze miejsca na kursie szybkiego czytania w poniedziałki wieczorem - powiedział. - Gdyby była pani uprzejma pójść wypełnić formularz...

Wykonał nieokreślony gest w stronę okna. ale kobieta nie dała się zbyć.

- Chciałabym się dowiedzieć o tym czegoś więcej. Taki kurs rzeczywiście pomaga, prawda?

- Pomaga? - powtórzył Wilt, nie dając się porwać jej entuzjazmowi. - Zależy, jakiego rodzaju pomocy pani oczekuje.

- Mój kłopot polega na tym. że za wolno czytam. Kiedy kończę książkę, nie pamiętam już. co było na początku - wyjaśniła kobieta. - Mąż mówi, że na dobrą sprawę jestem analfabatką.

Melancholijnym uśmiechem dała Wiltowi do zrozumienia, że zachęcając ją do spędzania poniedziałkowych wieczorów poza domem, a reszty tygodnia na szybkim czytaniu, mógłby uratować rozpadające się małżeństwo. Wątpiąc w skuteczność tej terapii, Wilt. spróbował z innej beczki.

- Może bardziej by się pani przydała "Analiza literacka" - podsunął.

- Przerabiałam ją w zeszłym roku. Pan Fogerly był cudowny. Powiedział, że mam duże możliwości.

Stłumiwszy w sobie impuls, by wytłumaczyć kobiecie, że uwaga wykładowcy nie dotyczyła bynajmniej możliwości w dziedzinie literatury - chociaż co, u diabła, Pogerty widział w tym egzaltowanym stworzeniu, pozostawało dla niego tajemnicą- Wilt się poddał.

- Celem kursu szybkiego czytania - zaczął recytować monotonnym głosem -jest udoskonalenie umiejętności czytania w zakresie zarówno szybkości procesu czytelniczego, jak i zdolności zapamiętywania tego. co się przeczytało. Zwiększenie szybkości czytania pociąga za sobą wzrost koncentracji i...

Przez następne pięć minut wygłaszał przemowę, której w ciągu czterech lat rekrutowania potencjalnych szybkich czytaczy zdążył się już nauczyć na pamięć. Wyraz twarzy kobiety uległ zasadniczej zmianie. Właśnie po (o tu przyszła - aby usłyszeć dobrą nowinę, że droga do doskonałości wiedzie poprzez kursy wieczorowe. Zanim Wilt skończył, wypełniła formularz i gdy odchodziła, wiało od niej optymizmem.

Od Wilta wiało znudzeniem. Resztę swego dwugodzinnego dyżuru przesiedział, przysłuchując się podobnym rozmowom toczonym przy innych stolikach i zachodząc w głowę, jakim cudem Bili Paschendaele może po dwudziestu latach zachwalać "Wprowadzenie do subkultury fenlandzkiej" z gorliwością neofity. Facet wprost promieniował entuzjazmem. Wilt wzdrygnął się i z obojętnością, obliczoną na zniechęcenie nawet największych zapaleńców, zapisał jeszcze sześciu szybkich czytaczy. W przerwach dziękował Bogu, że nie musi już wyklądać na tych zajęciach i jest tu tylko po to. aby zapędzać owce do owczarni. Awansując na kierownika Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących, pożegnał kursy wieczorowe i znalazł się w królestwie planów wykładów, posiedzeń komitetów, rozważań, których członków jego personelu jest najbliżej załamania nerwowego, oraz sporadycznych prelekcji dla studentów zagranicznych. Podczas gdy resztę college'u dotknęły poważne cięcia finansowe, ci ostatni płacili za siebie, i doktor Mayfield. obecnie kierownik do spraw rozwoju akademickiego, stworzył Imperium złożone z Arabów. Szwedów, Niemców, Latynosów, a nawet kilku Japończyków. Wszyscy oni wędrowali z sali do sali, tropiąc w gąszczu wykładów objętych wspólną nazwą "Zaawansowany angielski dla cudzoziemców" zawiłości języka angielskiego oraz, co było celem jeszcze bardziej niedościgłym, angielskiej

kultury i obyczajowości. Wkład Wilta w edukację studentów zagranicznych ograniczał się do cotygodniowej pogadanki o "Brytyjskim życiu rodzinnym", dostarczającej mu okazji do roztrząsania problemów własnej rodziny ze swobodą i szczerością, które rozwścieczyłyby Evę, a jego samego wprawiły w zakłopotanie, gdyby nie świadomość, że słuchacze nie są w stanie zrozumieć, co do nich mówi. Sprzeczność między powierzchownością a osobowością Wilta zbijała z tropu nawet jego najbliższych przyjaciół. Osiemdziesięcioosobowe cudzoziemskie audytorium gwarantowało mu anonimowość. Całkowitą anonimowość. Siedząc w sali nr 467, mógł zabijać czas rozmyślaniami o ironii losu.

W każdej sali i na każdym piętrze, we wszystkich sekcjach college'u, kandydaci zadawali pytania, otrzymywali kompetentne odpowiedzi i na zakończenie wypełniali formularze, zapewniając wykładowcom posady przynajmniej na najbliższy rok. Wilt miał swoją zapewnioną na zawsze. Przedmiotom Ogólnokształcącym nie groził upadek z powodu braku studentów. Zadbana o to Ustawa o szkolnictwie. Słuchacze kursów doksztalających musieli odbębnić godzinę "Opinii postępowych" tygodniowo, czy im się to podobało czy nie. Wilt był bezpieczny i gdyby nie nuda, czułby się szczęśliwy. Gdyby nie nuda i Eva.

Nie, żeby Eva była nudna. Teraz, kiedy wychowywała czworaczki, jej pasje rozszerzyły się na wszystko, co "alternatywne". Alternatywna medycyna alternowała się z alternatywnym ogrodnictwem i alternatywnym odżywianiem oraz różnymi alternatywnymi religiami. Kiedy więc pozbawiony alternatywy Wilt wracał z College'u do domu, nigdy nie wiedział, co go czeka. Mógł mieć tylko pewność, że nie to samo, co poprzedniego dnia. Jedyłą stałą był jazgot dziewczynek. Cztery córki Wilta wdały się w matkę. Tam gdzie Eva tryskała energią, one były niezmordowane i jej energię przetwarzały. Chcąc uniknąć powrotów na łono rodziny, zanim dziewczynki pójda spać, Wilt wspaniałomyślnie wyrzekł się korzystania z samochodu i zaczął chodzić do pracy pieszo. Jakby nie miał już dość kłopotów. Eva odziedziczyła spadek po jakiejś ciotce i ponieważ Wilt zarabiał w tej chwili dwa razy więcej, przeprowadzili się z Parkview Avenue na Wellington Road do dużego domu z dużym ogrodem, co oznaczało awans społeczny. Zdaniem Wilta nie była to zmiana na lepsze i często wzdychał za dawnymi czasami, kiedy pasje Ewy tłumiła nieco obawa przed tym, co sobie ludzie pomyślą. Teraz, będąc matką czwórki dzieci i panią na willi, już o to nie dbała. Stała się przeraźliwie pewna siebie.

Gdy dyżur dobiegał końca. Wilt zaniósł list nowych studentów do gabinetu i włókł się korytarzem Działu Administracji w stronę schodów. Dogonił go Peter Braintree.

- Właśnie zapisałem piętnastu szczerów lądowych na "Żeglugę morską". Zaczynamy rok z hukiem.

- Huk będzie dopiero jutro, na tej cholerniej radzie zwołanej przez Mayfielda - odparł Wilt. - Dzisiaj prawie nic się nie działo. Usiłowałem odwieść kilka namolnych bab i czterech pryszczatych młodzieńców od „Szybkiego czytania”. Dziwne, że nie prowadzimy kursu szybkiego rozwiązywania krzyżówek w „Timesie”. „To bardziej by ich dowartościowało, niż bicie rekordu w czytaniu Raju utraconego na czas.

Zeszli na dół i przecięli hol, w którym panna Pansak w dalszym ciągu rekrutowała chętnych na "Ping-ponga dla początkujących".

- Jak widzę coś takiego, nabieram ochoty na piwo - stwierdził Braintree.

Wilt skinął głową. Zrobiłby wszystko, byle tylko odwlec moment powrotu do domu. Wyszędłszy, zobaczyli, że nadchodzą jeszcze spóźnialscy, a na Posl Road stoją ciasno zaparkowane samochody.

- Jak się bawiłeś we Francji? - zapytał Braintree.

- Tak jak się można bawić, jadąc pod namiot z Evą i jej potomstwem. Z pierwszego kempingu nas wyproszono, ponieważ Samantha zerwała linki w dwóch cudzych namiotach. Nie byłoby może tak źle, gdyby lokatorka jednego z nich nie miała astmy. Tyle o dolinie Loary. Na kempingu w Wandei wylądowaliśmy w sąsiedztwie Niemca, który walczył na froncie wschodnim i cierpiał na nerwicę wojenną. Nie wiem, czy kiedykolwiek obudziły cię w nocy krzyki o Flaininenwerfeii, ale zapewniam, że jest to bardzo irytujące. Tym razem nikt nas nie musiał prosić, żebyśmy się wynieśli.

- Myślałem, że jedziecie do Dordogne. Eva mówiła Betty, że czytała wprost zachwycającą książkę o trzech rzekach.

_ Książka może i była zachwycająca, ale rzeki nie - odparł Wilt._ A już na pewno nie ta. nad którą się zatrzymaliśmy. Eva uparła się rozbić namiot w wyschniętym dopływie, a w nocy spadł deszcz. Wystarczająco ciężko jest rozstawić nasz namiot, kiedy jest suchy. Waży chyba tonę. Ale zwiając go o północy w rwącym potoku i targać sto jardów pod górę po zarośniętym jeżynami brzegu, kiedy ocieka wodą...

Wilt urwał. Nie miał ochoty sobie tego przypominać.

- Przypuszczam, że padało dłużej - zauważył współczująco Braintree. - Nam też się coś takiego zdarzyło.

- Owszem - mruknął Wilt. - Przez całe pięć dni. Potem przenieśliśmy się do hotelu.

- Najlepsze wyjście. W hotelu jedzenie jest przyzwoite i można się wyspać.

- Może i można. My nie mogliśmy. Nie po tym, jak Samantha zrobiła kupę do bidetu. Koło drugiej w nocy zacząłem się zastanawiać, co tak śmierdzi. Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

Weszli do "Kota w Worku" i zamówili po piwie.

- Oczywiście, że mężczyźni są egoistami - powiedziała Mavis Mottran. siedząc z. Evą w kuchni na Willington Road. - Patrick rzadko kiedy wraca do domu wcześniej niż po ósmej i zawsze zasłania się wymówką o Uniwersytecie Otwartym. Akurat! Chyba że jakaś rozwiedziona studentka potrzebuje sekskorepetycji. Już dawno przestałam się tym przejmować. Oznajmiłam mu którejś nocy: "Jeśli chcesz robić z siebie idiotę, latając za kobietami, proszę bardzo. Ale nie myśl sobie, że będę się temu przyglądać. Niech każde z nas idzie w swoją, stronę".

- Co ci odpowiedział? - zapytała Eva i sprawdziwszy żelazko, zaczęła prasować sukienki czworaczków.

- Że przecież jak mu nie staje, czy coś równie głupiego. Mężczyźni są takimi prostakami. Nie wiem, dlaczego w ogóle zawracamy sobie nimi głowę.

- Czasami żałuję, że Henry nie ma w sobie choć trochę z prostaka - odparła Eva z zadumą. - Zawsze był ospały, a teraz twierdzi, że jest zbyt zmęczony, bo codziennie chodzi do college'u na piechotę. To sześć mil. więc może mówi prawdę.

- A jakże - mruknęła Mavis kwaśno. - Cicha woda i tak dalej...

- Nie Henry. Wiedziałabym. Poza tym, odkąd urodziły się czworaczki, bardzo o mnie myśli.

- Tak, Evo, ale musisz sobie zadać pytanie, co myśli.

- Chciałam powiedzieć, że się o mnie troszczy. Wstaje o siódmej i przynosi do łóżka herbatę, a wieczorem zawsze robi mi mleko z miodem.

- Gdyby Patrick zaczął się tak zachowywać, zrobiłabym się podejrzliwa. To nie jest normalne.

- Wiem, że nie, ale to właśnie cały Henry. On jest naprawdę miły. Szkoda tylko, że brakuje mu męskiej stanowczości. Tłumaczy się tym, że wie, iż z pięcioma kobietami i tak nie wygra.

- Jeśli przyjmiesz tę pomoc domową, będzie was już sześć.

- Irmgard nie jest właściwie pomocą domową. Ma płacić za wynajmowanie poddasza i wyręczać mnie w gospodarstwie w wolnych chwilach.

- Czyli nigdy, sądząc po doświadczeniach Everardów z ich Finką. Wylegiwała się w łóżku do południa i doszczętnie ich objadała.

- Irmgard jest Niemką, a one są inne - odrzekła Eva. - Poznałam ją u Van Donkenów na mityngu protestacyjnym w związku z mistrzostwami świata. Wiesz, że zebrali prawie sto dwadzieścia funtów na pomoc dla torturowanych tupamaros.

- Nie przypuszczałam, że w Argentynie zostali jeszcze jacyś tnpamaros. Myślałam, że wojsko wybiło ich do nogi.

- Niektórym udało się uciec - wyjaśniła Eva. - No więc poznałam pannę Muller i kiedy wspomniałam o tym mieszkaniu na poddaszu, zapaliła się do wynajęcia. Będzie sobie sama gotować i tak dalej.

- I jak dalej? Spytałaś ją. co ma na myśli?

- Nie. ale wiem. że chce się dużo uczyć i wyjątkowo dba o kondycję fizyczną.

- A co na to wszystko Henry? - zapytała Mavis, przechodząc do tematu, który znacznie bardziej ją interesował.

- Jeszcze mu nie powiedziałam. Znasz jego stosunek do projektu wynajęcia poddasza. Pomyślałam sobie jednak, że jeśli Irmgard będzie spędzała wieczory u siebie i schodziła mu z drogi...

- Evo, kochanie - przerwała jej Mavis poufałym tonem. - Wiem, że to nie moja rzecz, ale czy ty czasem nie kusisz losu?

- Niby dlaczego? Moim zdaniem to doskonały układ. Irmgard będzie mogła zaopiekować się dziećmi, gdy zechcemy gdzieś wyjść, a dom jest dla nas o wiele za duży. I tak nikt nigdy nie chodzi na górę.

- Zaczną chodzić, kiedy panna Muller tam zamieszka. Będą ci się kręcić po domu różne obce typy. I na pewno się okaże, że ona ma gramofon. Wszystkie je mają.

- Nawet jeśli, nie będziemy go słyszeć. Zamówiłam u Soalesa matę wyciszającą i któregoś dnia zaniiosłam na poddasze radio. Na dole prawie nic nie było słyhać.

- Cóż, twoja sprawa, kochanie, ale gdybym to ja miała pomoc domową, ze względu na Patricka wolałabym móc słyszeć to i owo.

- Przecież mu powiedziałaś, że może robić, co chce.

- Ale nie w moim domu - odparła Mavis. - Może robić co chce gdzie indziej, ale jeśli go kiedykolwiek przyłapię na zabawie w Casanowę w mojej sypialni, gorzko tego pożałuje.

- Henry jest inny. Przypuszczam, że nawet jej nie zauważy - odrzekła Eva pogodnie. - Powiedziałam Irmgard, że mój mąż jest domatorem i bardzo spokojnym człowiekiem, a ona na to, że właśnie szuka ciszy i spokoju.

Pomyślawszy w duchu, że panna Muller szybko się przekona, iż mieszkając pod jednym dachem z, Evą i czworaczkami, nie znajdzie ani jednego, ani drugiego. Mavis dopiła kawę i podniosła się do wyjścia.

- Na twoim miejscu miałabym jednak oko na Henry'ego. Może on i jest inny, ale mężczyznom nie wolno ufać. A z moich doświadczeń z cudzoziemskimi studentkami wynika, że przyjeżdżają tu nie tylko na naukę angielskiego.

Poszła do samochodu i odjechała, zastanawiając się, co w prostocie Evy jest tak złowróźbne. Wiltowie stanowili osobliwą parę, ale od czasu, gdy przeprowadzili się na Willington Road, przewaga

Mavis Mottram zmaląła. Dni, kiedy Eva była jej protegee na lekcjach układania kwiatów, minęły i Mavis gryzła prawdziwa zazdrość. Z drugiej strony, Willington Road zdecydowanie należała do najlepszych adresów w Ipford i znajomość z Wil tam i mogła przynieść korzyści towarzyskie.

Na rogu Regal Gardens reflektory samochodu Mavis wyłowiły z mroku idącego powoli do domu Wilta. Zawołała go. Pogrążony w zadumie, nie usłyszał jej jednak.

Myśli Wilta były jak zwykle mroczne i niezgłębione. Tym bardziej mroczne i niezgłębione, że nie rozumiał, skąd się biorą. Te kłębiące się w nim dziwne, gwałtowne wizje tylko częściowo dawały się wytłumaczyć zniechęceniem do pracy, małżeństwem z dynamem w ludzkim ciele i wstrętem do atmosfery Willington Road, gdzie wszyscy byli czołowymi specjalistami od polimeryzacji cząstek pod wysokim ciśnieniem albo przewodnictwa metali w niskich temperaturach i zarabiali więcej od niego. Nad tymi racjonalnymi powodami do narzekania górowało odczucie, że jego życie jest pozbawione sensu i że gdzieś poza jednostkowym bytem istnieje uniwersum, pozornie chaotyczne i bezładne, a jednak mające wewnętrzną logikę, której on nigdy nie pojmie. Wilt rozmyślał o paradoksie upadku duchowego przy stałym postępie materialnym i jak zwykle nie dochodził do żadnych wniosków oprócz tego, że picie piwa na pusty żołądek mu szkodzi. Jedyną pociechę stanowił fakt, że w związku z pasją Evy do alternatywnego ogrodnictwa może liczyć na dobrą kolację, a czworaczki będą już głęboko spać. Oby tylko smarkate się nie obudziły. Było dość zarwanych nocy w okresie karmienia piersią i podgrzewania butelek. Czasy te na szczęście minęły i sen zakłócały mu już tylko sporadyczne napady lunatyzmu Samantha oraz kłopoty Penelope z pęcherzem. Gdy więc doszedł wysadzaną drzewami Willington Road do domu i na progu powitał go dolatujący z kuchni zapach kurczaka w potrawce, Wilt poczuł się względnie zadowolony.

Następnego rana wyszedł z domu w znacznie bardziej ponurym nastroju.

- Ta potrawka powinna była mnie ostrzec, że mogę się spodziewać jakiejś złowróźbnej wiadomości - mruknął, ruszając w stronę college'u.

A oświadczenie Ewy, że znalazła lokatorkę do mieszkania na poddaszu, rzeczywiście nie wróżyło nic dobrego. Wilt liczył się z tą możliwością, odkąd kupili dom, ale wobec nowych pasji Ewy - ogrodnictwa, zielarstwa, przedszkolnych zajęć ogólnorozwojowych czworaczków, urządzania wnętrz i projektowania optymalnej kuchni - kwestia poddasza zeszła na dalszy plan i Wilt miał nadzieję, że pójdzie w niepamięć. Teraz, gdy Eva wynajęła mieszkanie, nawet nie racząc go zapytać, co o tym sądzi, czuł się głęboko urażony. Co gorsza, dał się zwabić w pułapkę wspaniałego kurczaka w potrawce. Kiedy Eva chciała, potrafiła gotować, i zanim poinformowała go o najnowszej katastrofie. Wilt skończył dokładkę i wysączył butelkę swego najlepszego hiszpańskiego burgunda. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, co właściwie usłyszał.

- Co zrobiłaś? - zapytał.

- Wynajęłam je bardzo miłej młodej Niemce - powtórzyła Eva. - Ma nam płacić piętnaście funtów tygodniowo i obiecuje być cicho. Nawet nie zauważysz, że tam jest.

- Zauważę cholernie szybko. Jej kochanie będą się tłuc w tę i z powrotem po schodach jak marcowe koty, a dom zacznie śmierdzieć kiszoną kapustą.

- Nie zacznie. W kuchence na poddaszu jest wentylator. A co do gości, ma prawo ich przyjmować pod warunkiem, że będą się zachowywać kulturalnie.

- Kulturalnie! Pokaż mi napalonego gacha zachowującego się kulturalnie, a ja ci pokażę czterogarbnego wielbłąda.

- Chodzi ci o dromadera? - zapytała Eva, obierając taktykę mieszania pojęć, na co Wilt zwykle dawał się złapać i zapominając o zasadniczym temacie, zaczynał ją poprawiać. teraz był zbyt wściekły, aby zwrócić na to uwagę.

- Nie. Chodzi mi o pieprzonych cudzoziemców. Właśnie pieprzonych- dosłownie. Jeśli myślisz, że mam ochotę co noc słuchać, jak osiem stóp nad moją głową jakiś cholerny Latynos udowadnia swoją męskość, naśladując na materacu sprężynowym Popocatepell podczas wybuchu...

- To materac Dunlopillo - westchnęła Eva. - Ty zawsze wszystko pokręcisz.

- Niczego nie pokręciłem - warknął Wilt. - Wiedziałem, co się święci, odkąd ta twoja cholerna ciotka umarła, zostawiając ci spadek, a ty uparłaś się kupić ten hotel w miniaturze. Wiedziałem, że zrobisz z niego jakąś rozpasaną komunę.

- Żadną komunę, a poza tym Mavis mówi, że liczna rodzina była dobrą stroną dawnych czasów.

- Mavis niewątpliwie świetnie się na tym zna. Patrick powiększa liczebność ich rodziny, odkąd pamiętam.

- Mavis postawiła mu ultimatum - powiedziała Eva. - Nie będzie dłużej tolerować jego flirtów.

- A ja stawiam ultimatum tobie - krzyknął Wilt. - Jedno skrzypnięcie sprężyny na górze, jeden brzdęk gitary, jeden chichot na schodach, najłżejszy zapach trawy, a zmniejszą liczebność naszej rodziny, wynajmując sobie pokój w mieście, dopóki panna Schickelgruber się nie wyprowadzi.

- Ona się nie nazywa Schickelcośtam, tylko Muller. Irmgard Muller.

- Takie samo nazwisko nosił jeden z wredniejszych obergruppenführerów Hitlera i chcę ci tylko powiedzieć, że...

- Jesteś po prostu zazdrosny - przerwała mu Eva. - Gdybyś był prawdziwym mężczyzną i nie wyniósł z domu kompleksów na punkcie seksu, nie peszyłoby cię zachowanie innych ludzi.

Wilt zmierzył ją morderczym spojrzeniem. Ilekroć Eva pragnęła go sobie podporządkować, rozpoczynała ofensywę seksualną. Uznawszy się za pokonanego, wycofał się do sypialni. Teoretyczne zarzuty Ewy, dotyczące jego braku męskości, musiał zwykle odpierać działaniami praktycznymi, a po kurczaku w potrawce nie czuł się na siłach, by to zrobić.

2

Kiedy nazajutrz przyszedł do college'u, nie czuł się na siłach, by zrobić cokolwiek. Zanim czworaczki dały się wyciągnąć do domowego przedszkola, jak zawsze wybuchła między nimi siostróbójcza wojna o to, która ma włożyć którą sukienkę, a w "Timesie" ukazał się kolejny list lorda Longlbrda z żądaniem wypuszczenia na wolność Myry Hindley, morderczynie rodziny Moorów. Autor dowodził, że jest ona obecnie jednostką całkowicie zresocjalizowaną, głęboko wierzącą chrześcijanką i przydatną społeczeństwu obywatelką.

- W takim razie może udowodnić swoją społeczną przydatność i chrześcijańskie miłosierdzie, pozostając w więzieniu i pomagając towarzyszom niedoli - mruknął rozwścieczony Wolt.

Inne wiadomości były równie przygnębiające. Inflacja znów wzrosła, a wartość funta spadła. Złóża gazu na Morzu Północnym starczą tylko na pięć lat. Jednym słowem, na świecie jak zwykle panuje obrzydliwy bałagan, a tu jeszcze trzeba będzie słuchać przez kilka śmiertelnie nudnych godzin, jak doktor Mayfield wychwala zalety "Zaawansowanego angielskiego dla cudzoziemców", a potem zająć się skargami pracowników na ułożony właśnie plan wykładów.

Jedną z bolączek Willa jako kierownika Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących była konieczność spędzania sporej części wakacji na dopasowywaniu grup do sal i wykładowców do grup. Kiedy z tym kończył, pokonawszy kierownika Sekcji Sztuk Pięknych, który chciał zagarnąć salę nr 607 na "Szkice z natury", podczas gdy Wilt potrzebował jej dla trzeciej rzeźniczej, czekało go jeszcze urwanie głowy z wprowadzaniem poprawek do planu na początku roku szkolnego, ponieważ pani Fyfe nic mogła mieć zajęć z technikami-mechanikami we wtorki o drugiej, ponieważ jej mąż... W takich chwilach żałował, że kieruje sekcją, zamiast jak dawniej omawiać z monterami Władcę much. Zarabiał jednak dobrze, co wobec astronomicznego czynszu na Willington Road nie było bez znaczenia, a resztę roku mógł przesiedzieć w swoim gabinecie, śniąc na jawie.

Mógł także przespiać większość zebrań, ale rada pedagogiczna doktora Mayfielda stanowiła wyjątek. Musiał być przytomny, aby pod jego nieobecność duchem Mayfield nie dołożył mu jeszcze paru wykładów. Zresztą doktor Board zawsze zaczynał rok szkolny od kłótni.

Tak było i tym razem. Ledwo Mayfield zaczął podkreślać konieczność ściślejszego ukierunkowania programu nauki na potrzeby indywidualne studentów oraz położenie szczególnego nacisku na podnoszenie ich świadomości społeczno-ekonomicznej, a już doktor Board się wtrącił.

- Nonsens - powiedział. -Zadaniem mojej sekcji jest uczenie angielskich studentów niemieckiego, francuskiego, hiszpańskiego i włoskiego, a nie wyjaśnianie bandzie cudzoziemców podstaw ich własnych języków. Jeśli zaś chodzi o wiadomość społeczno-ekonomiczną, uważam, że doktor Mayfield niesłusznie wysuwa ten problem na pierwszy plan. Arabowie, którzy mi się trafili w zeszłym roku, świadomość ekonomiczną siły nabywczej ropy mieli podniesioną do n-tej potęgi, ale społecznie byli tak zacofani, że nawet trzyletni kurs by ich nie przekonał, że kamienowanie kobiet za wiarołomstwo to nie krykiet. Może gdybyśmy mieli na to trzysta lat...

- Nasze zebranie potrwa równie długo, jeśli nie przestanie pan przerywać - odezwał się wicedyrektor. - Doktorze Mayfield, proszę kontynuować.

Kierownik do spraw rozwoju akademickiego kontynuował przez następną godzinę i prawdopodobnie przegadałby całe przedpołudnie, gdyby nie protest kierownika Sekcji Techniki.

- Widzę, że kilku moim pracownikom wpisano do planu zajęcia ze "Zdobyczy techniki brytyjskiej w XIX wieku". Chciałbym więc poinformować doktora Mayfielda i radę, że moja sekcja składa się z inżynierów, nie historyków, i nie widzą oni absolutnie żadnego powodu, dla którego mieliby prowadzić wykłady na tematy spoza swojej dziedziny.

- Brawo, brawo! - zawołał doktor Board.

- Chciałbym się także dowiedzieć, dlaczego kładzie się taki nacisk na zajęcia dla cudzoziemców kosztem naszych studentów.

- Sądzę, że mogę udzielić panu odpowiedzi na to pytanie - odrzekł wicedyrektor. - Na skutek cięć budżetowych narzuconych nam przez władze musieliśmy rozszerzyć sektor zagraniczny, którego studenci płacą pokaźne czesne, dzięki czemu możemy wesprzeć istniejące bezpłatne kursy i nie zwalniać personelu dydaktycznego. Jeśli chcecie państwo poznać wysokość zeszłorocznego dochodu...

Nikt nie chciał. Nawet doktor Board momentalnie ucichł.

- Dopóki nasza sytuacja finansowa się nie poprawi - ciągnął wicedyrektor- wielu wykładowców zawdzięczać będzie utrzymanie posad wyłącznie zajęciom ze studentami zagranicznymi. Co więcej, bardzo możliwe, że uda się nam przekształcić "Zaawansowany angielski dla cudzoziemców" w kurs zatwierdzony przez Ministerstwo Edukacji i uwieńczony przyznaniem stopnia naukowego. Jak sądzę, zgodzicie się państwo ze mną, że wszystko, co zwiększa nasze szansę na uzyskanie statusu politechniki, jest korzystne dla każdego. - Wicedyrektor zamilkł i rozejrzał się po sali. Nikt nie zgłosił sprzeciwu. - Pozostaje więc tylko przydzielić nowe wykłady kierownikom poszczególnych sekcji, czym zajmie się doktor Mayfield.

Doktor Mayfield rozdał odbitki list. Studiując swe nowe brzemie, Wilt odkrył, że obejmuje ono "Rozwój liberalnych i postępowych poglądów społecznych w społeczeństwie angielskim w latach 1688-1978", i właśnie chciał zaprotestować, gdy odezwał się kierownik Zoologii.

- Widzę, że mam wyklądać „Hodowlę zwierząt i roślin ze szczególnym uwzględnieniem intensywnego chowu bydła, trzody chlewnej i drobiu”.

- Przedmiot ten jest ważny z punktu widzenia ekologii...

- I ukierunkowany na potrzeby studentów - dodał doktor Board. - Proponuję podtematy "Kurnik i nowoczesność" oraz "System stałej oceny w hodowli tuczników". Może moglibyśmy nawet poprowadzić kurs kompostowania.

- Nie róbcie tego - powiedział Wilt, wzdygając się.

Doktor Board popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Pańska wspaniała małżonka?... - zapytał. Wilt żałośnie skinął głową.

- Tak. Wzięła się za...

- Jeśli można, wolałbym wrócić do moich zastrzeżeń, zamiast słuchać o kłopotach rodzinnych kolegi Wilta - wtrącił się kierownik Zoologii. - Chcę, aby było absolutnie jasne, że nie mam kwalifikacji do wykładania hodowli zwierząt. Jestem zoologiem, a nie rolnikiem, i moja wiedza na temat chowu bydła równa się zeru.

- Musimy podnosić nasze kwalifikacje - zauważył doktor Board. - Skoro ma nam przypaść w udziale wątpliwy zaszczyt nazywania się politechniką, powinniśmy stawiać dobro college'u ponad interes osobisty.

- Chyba pan jeszcze nie widział, czego pan ma uczyć - mruknął zoolog. - "Spermanencja wpływów..." Czy nie powinno być "permanencja", panie doktorze?

- Na pewno błąd maszynistki - odrzekł pospiesznie Mayfield.

- Tak. powinno być.. Permanencja wpływów semantycznych na współczesne teorie socjologiczne". Wchodzi w to Wittgenstein, Chomsky i Wilkes...

- Ale ja w to nie wchodzę - zaprotestował Board. - Niech pan na mnie nie liczy. Możemy nawet spaść do poziomu szkoły podstawowej, ale nie zamierzam dla czyjejś przyjemności wkuwać Witlgensteina i Chomsky'ego.

- Więc proszę mi nie mówić, że muszę podnosić kwalifikacje - odparł kierownik Zoologii. - Pomijając już moją ograniczoną znajomość przedmiotu, nie mam zamiaru opowiadać w sali pełnej muzułmanów o korzyściach płynących z hodowania świń w rejonie Zatoki Perskiej.

- Panowie, chociaż przyznaję, że tytuły wykładów wymagają paru drobnych poprawek, myślę jednak, że można je łatwo dookreślić...

- Raczej wykreślić - powiedział doktor Board.

Wicedyrektor zignorował tę uwagę.

- ...i że najważniejszą sprawą jest utrzymanie kursu w obecnym wymiarze godzin przy jednoczesnym dostosowaniu jego poziomu do możliwości poszczególnych studentów.

- Nie będę opowiadał o świniach - upierał się zoolog.

- Nie musi pan. Może pan wygłosić cykl przystępnych prelekcji o roślinach - odrzekł wicedyrektor ze znużeniem w głosie.

- Wspaniale. A czy ktoś mi powie - zapytał doktor Board - jak, na miłość boską, mamy w przystępny sposób mówić o Witlgensteinie? W zeszłym roku trafił mi się Irakijczyk, który nie potrafił nawet przelilerować własnego nazwiska. Co taki dureń pocnie z logiczną analizą języka?

- Jeśli można, chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestię - wtrącił nieśmiało wykładowca z Sekcji Filologii Angielskiej. - Wydaje mi się, że napotkamy pewne trudności w porozumiewaniu się z osiemnastoma Japończykami i tym młodym człowiekiem z Tybetu.

- Oczywiście! - zawołał doktor Mayfield. - Trudności w porozumiewaniu się. Wie pan co, można by poświęcić dodatkowy wykład albo dwa komunikacji językowej. Tego rodzaju temat powinien się spodobać Ministerstwu Edukacji.

- Jemu może tak. ale z całą pewnością nie podoba się mnie - stwierdził doktor Board. - Zawsze powtarzam, że to wypierdki świata nauki.

- Owszem, słyszeliśmy już pańskie zdanie w tej materii - przyznał wicedyrektor.

- A teraz powróćmy do Japończyków i młodego człowieka z Tybetu. Powiedział pan - z Tybetu, prawda.

- Tak powiedziałem, ale nie jestem do końca pewien - odparł wykładowca angielskiego. -To właśnie miałem na myśli, wspominając o trudnościach w porozumiewaniu się. On nie mówi ani słowa po angielsku, a mój tybetański nie jest najlepszy. Podobne kłopoty są z Japończykami.

Wicedyrektor rozejrzał się po sali.

- Jak przypuszczam, nie mogę oczekiwać, że ktoś z państwa liźnął trochę japońskiego.
- Ja liźnałem - odrzekł kierownik Sztuk Pięknych. - Ale prędeż mnie szlag trafi, niż będę go używał. Kiedy się przesiedziało u Japońców cztery lata w obozie jenieckim, rozmowa z tymi sukinsynami jest ostatnią rzeczą, na jaką człowiek miałby ochotę. Wciąż jeszcze mam cholerne kłopoty z układem pokarmowym.
- Tybet leży w Chinach. Może zgodziłby się pan udzielać lekcji naszemu chińskiemu studentowi. Jeśli dołączymy go do czwórki dziewcząt z Hongkongu...
- Będziemy mogli reklamować stopnie naukowe na wynos - mruknął Board, czym sprowokował kolejną burzliwą wymianę zdań, która przeciągnęła się do lunchu.

Po powrocie do swojego gabinetu Wilt dowiedział się, że pani Fyfe nie może mieć zajęć z technikami-mechanikami we wtorki o drugiej, ponieważ jej mąż... Dokładnie tak, jak przewidywał. Ten początek roku szkolnego niczym się nie różnił od innych.

Następne cztery dni były równie męczące. Wilt chodził na zebrania poświęcone współpracy międzysekcyjnej, poprowadził seminarium dla słuchaczy miejscowego Studium Nauczycielskiego zatytułowane "Ścisłe znaczenie przedmiotów ogólnokształcących" (w którym to sformułowaniu tkwiła według niego pewna sprzeczność), wysłuchał pogadanki jakiegoś sierżanta z Brygady Antynarkotycznej na temat rozpoznawania krzewów marihuany oraz uzależnienia od heroiny i umieścił panią Fyfe z drugą piekarską w sali nr 29 w poniedziałki o dziesiątej rano. A przez cały czas rozmyślał o Evie i jej cholernej lokatorce.

3

Podczas gdy Wilt ospale pełnił w college'u obowiązki kierownika sekcji, Eva nieugięcie realizowała swój plan. Panna Muller przybyła na Willington Road dwa dni później i niepostrzeżenie zainstalowała się na poddaszu; tak niepostrzeżenie, że Wilt uświadomił sobie jej obecność w domu dopiero po dwóch dniach, a na trop naprowadził go wyłącznie widok dziewięciu butelek z mlekiem pod drzwiami zamiast dotychczasowych ośmiu. Nie poskarżył się jednak ani słowem, odkładając kontrofensywę do pierwszych objawów wesołości na górze.

Tymczasem panna Muller zachowywała się nadzwyczaj cicho. Wychodziła z domu, gdy Wilt wyruszył już na swój codzienny poranny spacer do pracy, i wracała, kiedy jeszcze był w college'u. Pod koniec drugiego tygodnia Wilt uznał swe najgorsze obawy za przedwczesne. Zresztą w końcu rozpoczęły się zajęcia i musiał przygotować wykłady dla studentów zagranicznych. Kwestia lokatorki zesłała na dalszy plan wobec konieczności wymyślenia, co ma, u diabła, powiedzieć Imperium Mayfielda. Jak to określał doktor Board, o postępowych poglądach społecznych w społeczeństwie angielskim w latach 1688-1978. Sądząc po monterach, w tej dziedzinie nastąpił raczej regres niż postęp. Dranie nauczyli się prześladować pedałów.

Obawy Willa były wprawdzie przedwczesne, ale już niedługo zaczęły się sprawdzać. Kiedy pewnego sobotniego wieczoru siedział w "Piagetorium". altanie zbudowanej specjalnie po to, aby Eva miała gdzie prowadzić zabawy konceptualne z „maleństwami” (określenie, którego wyjątkowo nie znosił), nagle spadł na niego pierwszy cios.

Właściwie nie był to cios. lecz objawienie. Altana stała w głębi ogrodu, w miłym zaciszu pomiędzy starymi jabłoniemi. Zastona powojników i pnących róż ukrywała jej wnętrze przed światem, a Willa sączącego piwo domowej roboty - przed Evą. W środku wisiały zioła. Will nie przepadał za ziołami, ale wolał je już w tej wiszącej postaci, niż w formie przerażających dekottów, które Eva próbowała w niego czasami wmuszać, a poza tym był z nich pewien pożytek, gdyż odstraszały muchy od przyzmy kompostu. Mógł tutaj siedzieć we względnej harmonii ze światem, a im więcej wypijał piwa. tym mocniej ją odczuwał. Szczycił się swoim piwem. Pędził je w plastikowym pojemniku na śmieci i niekiedy przed butelkowaniem wzmacniał wódką. Gdy dopijał trzecią butelkę, nawet jazgot czworaczków jakby cichł i przechodził w niemal melodyjny chór kwików, pisków i śmiechów, zwykle złośliwych, kiedy któraś spadła z huśtawki, ale przynajmniej dalekich. Tego jednak wieczoru nic Wilta nie rozpraszało. Eva zabrała dziewczynki na balet, w nadziei że wczesny kontakt ze Strawińskim uczyni z Samantha drugą Mar -gol Fonteyn. Will miał wątpliwości zarówno co do Samantha. jak i Strawińskiego.. lego zdaniem uzdolnienia córki predestynowały ją raczej do zapasów w stylu wolnym, a talent kompozytora oceniano przesadnie

wysoko. Musiało tak być. skoro zachwycała się nim Eva. Sam dzielił upodobania między Mozarta i Mugsy'ego Spaniera. Eva nic mogła zrozumieć tego eklektyzmu, ale dzięki niemu Will mógł ją denerwować przełączaniem magnetofonu z jakiejś sonaty fortepianowej, którą uwielbiała, na jazz lat dwudziestych, którego nie znosiła.

Tak czy inaczej, lego wieczoru nie czuł potrzeby słuchania muzyki. Wystarczało mu siedzenie w altanie i świadomość, że nawet jeśli czworaczki obudzą go następnego dnia o piątej rano. będzie mógł zostać w łóżku do dziesiątej, i właśnie odkorkowy wał czwarte wzmocnione piwo. kiedy zauważył jakąś sylwetkę na drewnianym balkonie poddasza. Rozluźnił uścisk na butelce i chwilę później szukał już po omacku lornetki, którą Eva kupiła do obserwacji ptaków. Przez szczelinę w pnączach róży skierował szkła na postać i zapomniał o piwie. Całą jego uwagę pochłonęła panna Irmgard Muller.

Lokatorka stała na balkonie, patrząc ponad drzewami na ciągnące się za nimi pola, i ze swego miejsca Wilt miał wyjątkowo interesujący widok na jej łydki. Bezsprzecznie były to wyjątkowo zgrabne łydki. Ściśle biorąc, wstrząsająco zgrabne łydki. A jej uda... Wilt podniósł lornetkę, uznał rysujące się pod kremową bluzką piersi za zachwycające, a na koniec dotarł do twarzy. I przy niej pozostał. Nie w tym rzecz, że Irmgard - określenia "panna Muller" i "ta cholerna baba" należały już do przeszłości - była atrakcyjną młodą kobietą. Wilt od dawna styka się z atrakcyjnymi młodymi kobietami w college'u, z. młodymi kobietami, które rzucały mu zalotne spojrzenia i siadając, rozsuwały niepokojąco uda, i jego organizm zdołał już wytworzyć seksualne przeciwciała, uodporniające na wdzięki podlotków. Ale Irmgard nie była podlotkiem. Była kobietą dojrzałą, mniej więcej dwudziestoosmioletnią. piękną kobietą o wspaniałych nogach, mocnych, zgrabnych biodrach, okrągłych i jędrnych piersiach (nie zniekształconych karmieniem - przemknęło Wiltowi przez myśl), i nawet jej zaciśnięte na poręczy balkonu dłonie o stożkowatych palcach, lekko zbrązowiałe. jakby opalone w tajemnym nocnym słońcu, robiły wrażenie jednocześnie delikatnych i silnych. Wiltowi kręciło się w głowie od niedorzecznych metafor, dalekich od zniszczonych zmywaniem rąk Evy, głębokich jak wąwozy fałd na jej zeszcpeconym ciężą brzuchu, obwisłych, sięgających do rozlanych bioder piersi, całej fizycznej erozji dwudziestu lat małżeństwa. Jego wyobraźnia rozigrała się na widok lej cudownej istoty, a przede wszystkim na widok jej twarzy.

Irmgard była nic tylko piękna. Mimo wypitego piwa Will-oparłby się magnetyzmowi samej urody. Podbiła go malująca się na twarzy kobiety inteligencja. Z czysto fizycznego punktu widzenia twarz ta miała zresztą kilka mankamentów: zbyt ostre rysy, odrobinę zadarty nos, zbyt obfite usta. Ale można z niej było wyczytać osobowość, osobowość i inteligencję, i wrażliwość, i dojrzałość, i zamyślenie, i... Wilt rozpaczliwie zaniechał wyliczania i w tej samej chwili wydało mu się, że Irmgard patrzy w dół, w jego pełne uwielbienia oczy, a w każdym razie w szkła lornetki, i że na jej cudownych ustach igra delikatny uśmiech. Polem odwróciła się i weszła do mieszkania. Wilt opuścił lornetkę i jak w transie sięgnął po piwo. To, co właśnie zobaczył, zmieniło jego wizję życia.

Przestał być kierownikiem Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących, mężem Evy, ojcem czterech kłótliwych, odpychających córek i człowiekiem trzydziestoosmioletnim. Był znów dwudziestojednolatkiem, pogodnym i gibkim młodzieńcem układającym wiersze i zażywającym latem porannych kąpieli w rzece, młodzieńcem, którego przyszłość rysuje się w jasnych barwach spełnionych nadziei. Był już wielkim pisarzem. Fakt, że z byciem pisarzem wiąże się pisanie, zupełnie się nie liczył. Will po prostu był pisarzem. Czytał Prousta i Gide'a, potem książki o Prouście i Gidzie, polem książki o książkach Prousta i Gida. i mając dwadzieścia jeden lat, wiedział, jak będzie wyglądało jego życie; wyobrażał sobie siebie za lat siedemnaście, pełen słodkiego bólu oczekiwania. Wspominając teraz te chwile, stwierdził, że takiego uczucia lekkości, jakie miał wówczas, doświadcza dziś tylko po przeglądzie u dentysty, kiedy okazuje się, że nie musi sobie wstawiać plomb. Wówczas widział się przy biurku zarzuconym kartami rękopisów nieczytelnej, lecz pięknej prozy, niemal osypującymi się z trzepotem na podłogę zadymionego pokoju z dębową boazerią, w mieszkaniu przy jakiejś cudownie anonimowej uliczce w Paryżu. Albo gdzieś w pobliżu Hyeres, w sypialni o białych ścianach, na białych prześcieradłach, splecionego w uścisku z jakąś opaloną kobietą, podczas gdy słońce prześwieca przez żaluzje i migocze na suficie niby na lazuruwej tafli morza. Z góry smakował wszystkie te przyjemności, mając lat dwadzieścia jeden. Sławę, majątek, skromność prawdziwej wielkości, bon mots płynące z jego ust nad kieliszkiem absyntu, aluzje rzucane i chwywane, odrzucane następnie jak piłeczki intelektualnego wolanta, i powroty do domu wyludnionymi o świcie uliczkami Montparnasseu.

Jedyną rzeczą, z jakiej Will zrezygnował w zapożyczeniach od Prousta i Gide'a, byli młodzi chłopcy. Należało ich czymś zastąpić, więc z nadzieją, że nie zarazi się gruźlicą, ukradł Lawrence'owi Friedę i wyposażył ją w miłszy charakter. Kochali się na piasku pustej plaży, zalewani łagodnymi lazurowymi falami. Jeśli się dobrze zastanowić, musiało się to dziać mniej więcej w tym czasie, gdy oglądał S tycki do wieczności, gdyż Frieda miała rysy Deborah Kerr. Była silna i trwała. w harmonii jeśli nie z nieskończonością jako taką, to z nieskończonymi wariacjami osobliwych żądź Wilta. Tylko że to nie były żądze. Słowo "żądza" wydawało się zbyt prostackie, aby nim nazywać wzniosłe porywy, które rodziły się w jego umyśle. Tak czy inaczej, Frieda stała się czymś w rodzaju kochanki i muzy, bardziej kochanki niż muzy, ale w każdym razie kimś, komu mógł się zwierzać ze swych najgłębszych przemyśleń, nie nękany pytaniami o to, kim był Rochefou... jak mu tam, co stanowiło specjalność Evy. A teraz? Chowa się w jakimś cholernym "Spockerium", szukając zapomnienia w czymś, co udaje piwo, a od czego tylko rośnie mu brzuch. Czy Gide pieprzyłby się z pędzeniem piwa, nie mówiąc już o robieniu tego w plastikowym pojemniku na śmieci? Sukinsyn był pewnie abstynentem. To len plastik tak Wilta drażnił. Pojemnik na śmieci w sam raz się do paskudztwa nadawał, mógłby jednak być godniejszy. metalowy. Ale nie, nawet lej niewielkiej pociechy mu odmówiono. Mniejsza o to. Pojemniki na odpadki nie są najważniejsze na świecie. Właśnie zobaczył swoją Mużę. Wyposażył to słowo w duże "M" po raz pierwszy od siedemnastu odzierających ze złudzeń lat i natychmiast tego pożałował, obciążając winą za pomyłkę wypite piwo. Irmgard nie jest mużą. Prawdopodobnie to ładna i głupia dziwka, której ojciec jest lagermeisterem w Kolonii i właścicielem pięciu mercedesów. Will wstał i poszedł do domu.

Kiedy Eva i czworaczki wróciły z teatru, siedział z posępną miną przed telewizorem, na pozór oglądając mecz piłkarski, ale w duchu kipiąc oburzeniem, wściekły na życie za paskudne figle, jakie mu płała.

- Pokażcie tatusiowi, jak pani tańczyła - powiedziała Eva - a ja w tym czasie przygotowuję kolację.
- Wyglądała bardzo pięknie, tatusiu - oznajmiła Penelope.
- Poszła tam, i był tam taki pan, i on...

Will był zmuszony obejrzeć powtórkę Święta wiosny w wykonaniu czterech niezgrab, które nic nie rozumiawszy z treści baletu, kolejno próbowały robić pas de chat, opierając się poręcz jego fotela.

- Tak, sądząc po waszym występie, rzeczywiście musiała być wspaniała - przyznał. - A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym zobaczyć, kto wygrywa...

Czworaczki jednak dalej miały się po pokoju, nie zwracając na niego uwagi, więc w końcu wycofał się do kuchni.

- Nigdy do niczego nie dojdą, jeśli nie będziesz się interesował ich tańcem - stwierdziła Eva.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, one i tak do niczego nie dojdą. Ja nie nazywałbym tego tańcem. Zupełnie jakby hipopotamy próbowały fruwać. Jeśli nie będziesz ich pilnować, zwałą nam sufit na głowę.

Sufit ocalał, ale Emmeline uderzyła czołem o kratę kominka i Wilt musiał jej opatrzyć zadrapanie. Dopelniając miary nieszczęść tego wieczoru, Eva oznajmiła, że po kolacji zaprosiła Nye'ów.

- Chcę porozmawiać z Johnem o organicznej toalecie. Nie działa prawidłowo.

- Zdziwiłbym się, gdyby działała - odparł Wilt. - Ta twoja cholerna organiczna toaleta to wyidealizowana podwórkowa wygodka, a wszystkie wygodki śmierdzą.

- Ta nie śmierdzi. Ma po prostu kompostowy zapach. Ale wydziela za mało gazu. a John powiedział, że będę mogła na tym gazie gotować.

- Według mnie wydziela go dość, żeby zamienić ubikację na dole w komorę gazową. Któregoś dnia jakiś dureń zapali papierosa, siedząc na sedesie i wyprawi nas wszystkich na tamten świat.

- Jesteś uprzedzony do całego alternatywnego społeczeństwa - zauważył Eva. - A kto zawsze narzekał, że do czyszczenia klozetu używam środków chemicznych? Ty. Tylko mi nie mów, że tak nie było.

- Wystarczą mi kłopoty ze społeczeństwem tradycyjnym i nie chcę, żeby mnie wkopywano w jego alternatywną odmianę. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, musi istnieć jakaś alternatywa dla trucia powietrza metanem i odkazania go harpikiem. Harpic miał przynajmniej tę zaletę, że

można go było spłukać do ścieku. Natomiast tej obrzydliwej aparatury Nye'a do ekstrakcji gazu z gówna nie da się usunąć niczym oprócz dynamitu. To oblepiona zaskorupiałym łajnem rura z beczką na spodzie.

- Trzeba się z tym pogodzić, jeśli chcemy zwrócić ziemi to, co nam dała.

- I zafundować sobie zatrucie pokarmowe - mruknął Wilt.

- Jeżeli kompostujesz prawidłowo, nic się nie stanie. Ciepło zabije bakterie, zanim opróżnisz ekstraktor.

- Nie zamierzam go opróżniać. Ty kazałaś zainstalować tę maszynę piekielną, więc ty będziesz narażać życie, bawiąc się w szambiarza. Tylko nie mniej do mnie pretensji, jeśli sąsiedzi znowu złożą skargę w Wydziale Zdrowia.

Spierali się do kolacji, a potem Wilt położył czworaczki do łóżek i przeczytał im Pana Guinpy'ego po raz Bóg jeden wie który. Kiedy zszedł na dół, Nye'owie już byli i otwierali właśnie butelkę wina pokrzywowego alternatywnym korkociągiem zrobionym przez Johna ze starej sprężyny.

- Cześć, Henry - powiedział Nye ze szczerą, niemal religijną życzliwością w głosie, którą wszyscy znajomi Evy z kręgu Samowystarczalnych starali się naśladować. - Nie wypada się chwalić, ale siedemdziesiąty szósty to niezły rocznik.

- Czy nie panowała wtedy susza? - zapytał Wilt.

- Owszem, ale byle susza nie jest w stanie zniszczyć pokrzyw. France są cholernie odporne.

- Sam je wyhodowałaś?

- Nie było potrzeby. Rosną dziko dosłownie wszędzie. Zrywaliśmy je przy szosie.

Wilt miał niewyraźną minę.

- Mógłbyś mi powiedzieć, na którym odcinku szosy zebraliście ten konkretny zbiór?

- O ile pamiętam, między Ballingbourne i Umpston. Tak, jestem pewien.

Ney rozlał wino i podał Wiltowi kieliszek.

- W takim razie ja tego do ust nie wezmę - stwierdził Wilt. - Widziałem, jak w siedemdziesiątym szóstym pryskano tam pola. Te pokrzywy nie zostały wyhodowane organicznie. Są skażone.

- Przecież wypiliśmy już parę galonów tego wina - zaprotestował Nye - i wcale nam nie zaszkodziło.

- Możliwe, że zaczniecie odczuwać skutki dopiero po sześćdziesiątce - odparł Wilt. - A wtedy będzie za późno. Tak samo jest z fluorkiem.

Wygłosiwszy to złowrogie ostrzeżenie, poszedł do salonu, przechrzczonego ostatnio przez Evę na "pokój bycia". Znalazł tam ją i Berthę Nye, pograżone w rozmowie o radościach i świętych obowiązkach macierzyństwa. Ponieważ Nye'owie nie mieli dzieci i obdarzali uczuciami rodzicielskimi humus, dwa prosiaki, tuzin kurcząt oraz kozę, Bertha przyjmowała płomienną relację Evy ze stoickim uśmiechem. Wilt uśmiechnął się równie stoicko, wyszedł przez oszklone drzwi na dwór, powędrował do altany i stanął w ciemnościach, patrząc z nadzieją w okno poddasza. Zakrywała je jednak zasłona. Wilt westchnął, pomyślał o tym, co by było gdyby, i wrócił do domu, aby usłyszeć, co John Nye ma do powiedzenia o organicznej toalecie.

- Aby uzyskać metan, musisz utrzymywać stałą temperaturę, i oczywiście dużo by to dało, gdybyś hodowała krowę.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli hodować tu krowę - odparła Eva.

- Nie mamy ziemi i...

- Już widzę, jak wstajesz codziennie o piątej rano, żeby ją wydoić - wtrącił się Wilt z silnym postanowieniem niedopuszczenia do przemiany posesji przy Willington Road 9 w gospodarstwo małorolne. Ale Eva wróciła już do problemu konwersji metanu.

- Jak to się podgrzewa? - zapytała.

- Zawsze możesz zainstalować grzejniki słoneczne - wyjaśnił Nye. - Potrzebnych jest tylko kilka starych kaloryferów. Malujesz je na czarno, opatrujesz słomą, pompujesz w nie wodę i...

- To mi się nie podoba - oznajmił Wilt. - Musielibyśmy korzystać z pompy elektrycznej, a wobec dzisiejszego kryzysu energetycznego odczuwam skrupuły moralne co do zużywania prądu.

- Nie zużyłbyś go dużo - odrzekła Bertha. - Zresztą zawsze możesz zrobić pompę z wirnikiem Savoniusa. Potrzebne są tylko dwa duże bębny...

Pogrążony we śnie na jawie Wilt ocknął się, aby zapytać, czy jest jakiś sposób na pozbycie się z ubikacji na dole tego ohydneho zapachu. Pytanie zmierzało do odwrócenia uwagi Ewy od wirników Savoniusa, czymkolwiek by były.

- Nie można mieć wszystkiego, Henry - westchnął Nye. - Żeby coś zyskać, trzeba coś stracić. To stare przysłowie, ale dobrze tu pasuje.

- Nie chce zyskać tego zapachu - odparł Wilt. - A jeśli bez zamieniania ogrodu w pastwisko dla bydła nie da się otrzymać nawet tyle metanu, żeby zapaliła się lampka kontrolna w kuchence, nie ma sensu zasmradzać domu.

Problemu nie rozwiązano do końca wizyty Nye'ów.

- Nie mogę powiedzieć, żebyś wykazał dużo zapału - stwierdziła Eva, kiedy Wilt zaczął się rozbierać. - Uważam, że te grzejniki słoneczne to bardzo rozsądny pomysł. Latem w ogóle nie musielibyśmy płacić za ciepłą wodę, a skoro potrzeba tylko kilku starych kaloryferów i farby...

- I jakiegoś skończonego idioty, który wejdzie na dach, żeby je zainstalować. Daj sobie z tym spokój. Znajac Nye'a, wiem, że gdyby to on je założył, spadłyby przy pierwszym podmuchu wiatru i jeszcze kogoś zabiły. A przy takiej pogodzie, jak przez parę ostatnich sezonów, mielibyśmy szczęście, gdyby się obeszło bez pompowania do nich gorącej wody, żeby nie zamarzyły, nie pękły i nie zalały poddasza.

- Po prostu jesteś pesymistą - westchnęła Eva. - Zawsze widzisz wszystko w czarnych barwach. Chociaż raz mógłbyś wykazać trochę entuzjazmu.

- Jestem realistą - odparł Wilt. - Doświadczenie mnie nauczyło, żeby oczekiwać najgorszego. Kiedy zdarza się coś dobrego, mam miłą niespodziankę.

Położył się i zgasił nocną lampkę. Gdy Eva zwała się obok do łóżka, udawał, że śpi. Sobotnie noce były zwykle tym, co Eva nazywała "nocami bliskości", a Wilt się zakochał i myślał wyłącznie o Irmgard. Eva przeczytała kolejny rozdział książki o kompostowaniu i z westchnieniem wyłączyła swoją lampkę. Dlaczego Henry nie jest taki śmiały i przedsiębiorczy jak John Nye? No dobrze, zawsze mogą się jeszcze kochać rano.

Ale kiedy się obudziła, zobaczyła, że sypialnia jest pusta. Pierwszy raz, odkąd pamiętała, Henry wstał w niedzielę o siódmej rano sam, nie wyciągnięty z łóżka przez czworaczki. Pewnie jest w kuchni i robi jej herbatę. Przewróciła się na drugi bok i usnęła.

Wilta nie było w kuchni. Szedł wiodącą brzegiem rzeki ścieżką. Ranek wstał pogodny, woda migotała w jesiennym słońcu, lekki wietrzyk wichrzył korony wierzb, a Wilt był sam ze swymi myślami i uczuciami. Jak zwykle myśli te spowijał mrok, a uczucia wyrażały się wierszem. W przeciwieństwie do produkcji większości współczesnych poetów wiersz Wilta nie był ani biały, ani wolny. Miał rytm i rym. A raczej miałby, gdyby Wilt potrafił znaleźć rym do imienia Irmgard. Jedyne słowa, jakie przychodziły mu na myśl, to "standard", "gepard", "hazard" oraz "jard". Żadne nie harmonizowało z subtelnością jego namiętności. Po trzech bezowocnych milach zawrócił i ciężkim krokiem ruszył w stronę domu, gdzie czekały nań obowiązki małżeńskie. Nie był tą perspektywą zachwycony.

4

Nie był również zbyt zachwycony tym, co znalazł w swoim gabinecie w poniedziałek rano. Na biurku leżała kartka z nie wróżącą raczej nic dobrego wiadomością od wicedyrektora, który prosił, by Wilt wpadł do niego "przy najbliższej - podkreślam, najbliższej - sposobności".

- Przy sposobności, myślałby kto - mruknął Wilt. - Dlaczego nie powie "natychmiast" i koniec?

Doszedłszy do wniosku, że coś jest nie w porządku i że lepiej mieć całą sprawę jak najszybciej za sobą, zszedł dwa piętra niżej i udał się korytarzem do gabinetu wicedyrektora.

- Przykro mi, Henry, że ci zawracam głowę - powiedział wicedyrektor - ale, niestety, dotarły do nas dość niepokojące wieści na temat twojej sekcji.

- Niepokojące? - zapytał Wilt podejrzliwie.

- Wybitnie niepokojące. Ściśle biorąc, w Ratuszu rozpętało się piekło.

- W co mają zamiar wetknąć nos tym razem? Jeśli im się wydaje, że mogą nam przysłać więcej takich doradców jak ten ostatni, który chciał wiedzieć, dlaczego nie przestrzegamy zasady równouprawnienia płci i nie prowadzimy łączonych zajęć dla murarzy i przedszkolank, niech im pan powie ode mnie...

Wicedyrektor powstrzymał go ruchem ręki.

- Tym razem nie chodzi o to, czego chcą. Raczej o to, czego-nie chcą. A między nami mówiąc, gdybyś skorzystał z ich rady w kwestii koedukacyjnych klas, ta historia by się nie zdarzyła.

- Wiem, co by się zdarzyło - odparł Wilt. - Spadłaby nam na kark fura ciężarnych przedszkolank i...

- Może byś jednak przez chwilę posłuchał. Mniejsza o przedszkolanki. Co wiesz o dupczeniu krokodyli?

- Co wiem o... Czyja się nie przestyszałem?

Wicedyrektor pokręcił głową.

- Niestety nie.

- No cóż, jeśli mam być szczery, nie sądzę, żeby było to możliwe. Jeżeli sugeruje pan...

- Niczego nie sugeruję. Właśnie cię informuję, Henry, że ktoś z twojej sekcji to robił. Nawet to sfilmowano.

- Sfilmowano? - powtórzył Wilt, nadal zmagając się z przerażającą wizją konsekwencji samego zbliżenia się do krokodyla, a co dopiero dupczenia bydlaka.

- Z którąś klasą praktykantów - ciągnął wicedyrektor. - Dotarło to do Rady Szkolnej. Chcą znać przyczyny.

- Nie mogę powiedzieć, żebym im się dziwił - odrzekł Wilt. - Moim zdaniem trzeba być jednocześnie samobójcą i kandydatem na pacjenta Kraffta-Ebinga, żeby robić awanse jakimś pieprzonemu krokodylowi. Wiem, że mam na kursach wieczorowych paru pomyleńców, ale zauważyłbym, gdyby któryś z nich został zjedzony. Skąd, u diabła, wytrzasnęli tego gada?

- Mnie o to nie pytaj - westchnął wicedyrektor. - Wiem tylko tyle, że Rada Szkolna stanowczo żąda pokazania jej filmu, aby mogła wydać opinię.

- Niech sobie wydają opinie, jakie tylko chcą - odparł Wilt. - Pod warunkiem, że nie będą mnie do tego mieszać. Nie biorę żadnej odpowiedzialności za filmy powstające w mojej sekcji i jeśli jakiś szaleniec ma się ochotę pieprzyć z krokodylem, to jego prywatna sprawa. Byłem przeciwny wyposażaniu szkoły w cały ten sprzęt filmowy. Wepchnięto go nam na siłę. Jego eksploatacja kosztuje majątek, a zawsze znajdzie się jakiś cholerny kretyn, który coś uszkodzi.

- Moim zdaniem przede wszystkim należałoby uszkodzić kretyna, który nakręcił ten film - stwierdził wicedyrektor. - W każdym razie rada chce cię widzieć o szóstej w pokoju numer osiemdziesiąt i radziłbym ci się dowiedzieć, co się, do cholery, stało, zanim zaczną ci zadawać pytania.

Wilt powlókł się do swego gabinetu, zastanawiając się rozpaczliwie, który z wykładowców w jego sekcji jest miłośnikiem gadów, zwolennikiem brutalizmu spod znaku *noivelle vague* w filmie i kompletnym wariatem. Pasco niewątpliwie był obłąkany - co Wilt uważał za skutek czternastu lat nieustających wysiłków, aby monterzy docenili językowe subtelności *Finnegans Wake* - spędził nawet dwa roczne urlopy zdrowotne w miejscowym szpitalu psychiatrycznym, ale robił wrażenie człowieka zbyt niezdarnego, żeby posługiwać się kamerą, i stosunkowo sympatycznego, a co do krokodyli... Wilt dał za wygraną i poszedł do sali Audiowizualnych Pomocy Naukowych, aby zajrzeć do spisu użytkowników sprzętu.

- Szukam tego skończonego idioty, który nakręcił film o krokodylach - oznajmił panu Dobblesowi, opiekunowi APN.

- Trochę się pan spóźnił - prychnął pan Dobbles. - Taśma jest u dyrektora. Dyrektor strasznie się wścieka. Wcale mu się zresztą nie dziwię. Kiedy film wrócił z wywołania, powiedziałem panu Macaulayowi: "W pracowni powstaje czysta pornografia. Ale ja stąd tego świństwa nie wypuszczę, dopóki nie obejrzy tych krokodyli właściwa osoba". Tak powiedziałem i mówiłem poważnie.

- Najwłaściwszą osobą byłby ktoś z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami - zauważył zgryźliwie Wilt. - Przypuszczam, że nie przyszło panu do głowy, aby pokazać film mnie, zanim zobaczy go dyrektor?

- Co, Wilt, nie ma pan władzy nad tymi sukinsynami ze swojej sekcji?

- A konkretnie który sukinsyn nakręcił to arcydzieło?

- Nie jestem z tych, co sypią, ale powiem panu, że pan Bilger wie o sprawie więcej, niżby się wydawało.

- Bilger? Ten drań? Wiedziałem, że jest stuknięty na punkcie polityki, ale po cholere mu taki film?

- Niech pan w rozmowie z nim nie wymienia mojego nazwiska - poprosił pan Dobbie. - Niech chcę żadnych kłopotów.

- A ja owszem - odparł Wilt i wyruszył na poszukiwanie Billa Bilgera.

Znalazł go w pokoju nauczycielskim, pijącego kawę i pogrążonego w dyskusji dialektycznej ze swoim akolitą, Joem Stoleym z Sekcji Historycznej. Bilger dowodził właśnie, że prawdziwą proletariacką świadomość można osiągnąć wyłącznie poprzez destabilizację cholernej lingwistycznej infrastruktury kurewskiej hegemonii pieprzonego faszystowskiego państwa.

- To pieprzony Marcuse - stwierdził Stoley, dość niepewnie podążający za Bilgerem ku semantycznemu bagnu destabilizacji.

- A to Wilt - stwierdził Wilt. - Gdyby mogli panowie na moment przerwać dyskusję o świetlanej przyszłości gatunku ludzkiego, chciałbym zamienić kilka słów z panem Bilgerem.

- Prędeż mnie szlag trafi, niż wezmę czyjeś zajęcia - odparł Bilger, przyjmując twardą postawę związkowca. - Chyba pan wie, że to nie moja kolej na branie zastępstw.

- Nie proszę pana o wykonanie żadnej dodatkowej pracy. Chodzi mi tylko o chwilę rozmowy na osobności. Zdaję sobie sprawę, że jest to pogwałcenie przez faszystowskie państwo nienaruszalnego prawa wolnej jednostki do dążenia do szczęścia i wygłaszania własnych poglądów, ale, niestety, obowiązek wzywa.

- Nie mam żadnych cholernych obowiązków - zaprotestował Bilger.

- Ale ja mam - odrzekł Wilt. - Czekam w swoim gabinecie za pięć minut.

- A niech pan czeka - usłyszał, idąc do drzwi.

Wiedział jednak, że nie należy się tym przejmować. Bilger może sobie zgrywać chojraka, by zrobić wrażenie na Stoleju, ale to w gestii Wilta leży zmiana planu wykładów w taki sposób, aby Bilger zaczynał tydzień o dziewiątej rano w poniedziałek z trzecią drukarską i kończył go o ósmej wieczorem w piątek z czwartą kucharską. Była to wprawdzie jedyna sankcja, jaką Wilt dysponował, ale nadzwyczaj skuteczna. Czekając na Bilgera, zastanawiał się nad taktyką i składem Rady Szkolnej. Z pewnością zjawi się pani Chatterway, broniąca do ostatka swego postępowego poglądu, że młodociani bandyci są wrażliwymi istotami ludzkimi i wystarczy okazać im odrobinę zrozumienia, a przestaną bić staruszki po głowie. Prawicę reprezentować będzie radny Blight-Smythe, który, gdyby to od niego zależało, przywróciłby karę śmierci za kłusownictwo i prawdopodobnie wprowadził chłostę dla bezrobotnych. Pomiędzy tymi biegunami znajdują się: dyrektor, nienawidzący wszystkich i wszystkiego, co zakłóca jego niespieszny tryb życia, główny inspektor szkolny, nienawidzący dyrektora, i wreszcie pan Squidley, miejscowy przedsiębiorca budowlany, dla którego Przedmioty Ogólno-kształcące są przekleństwem i cholernym zbijaniem bąków, podczas gdy te małe nicponie powinny spędzać dzień pracowicie na wnoszeniu koźłów z cegłami po drabinach. W sumie perspektywa stawienia czoła radzie rysowała się ponuro. Będzie musiał postępować taktownie.

Najpierw jednak sprawa Bilgera. Wykładowca pojawił się po dziesięciu minutach i wszedł do gabinetu bez pukania.

- No? - zapytał, siadając, i obrzucił Wilta gniewnym spojrzeniem.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli utniemy sobie tę pogawędkę na osobności - zaczął Wilt. - Chcę się tylko dowiedzieć czegoś więcej o nakręconym przez pana filmie z krokodylem. Muszę przyznać, że pańska przedsiębiorczość zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Gdyby wszyscy wykładowcy z Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących, korzystając ze sprzętu, jakim dysponujemy dzięki uprzejmości naszych władz, osiągnęli takie wyniki...

Zawiesił głos, by zdanie zabrzmiało pochlebnie. Wrogość Bilgera stopniała.

- Klasa robotnicza będzie w stanie zrozumieć, w jaki sposób jest manipulowana przez środki masowego przekazu, tylko wówczas, gdy umożliwi się jej samodzielne kręcenie filmów. Ja to właśnie robię.

- Rzeczywiście - stwierdził Wilt. - I umożliwienie sfilmowania tego, jak ktoś dupczy krokodyla, pomoże klasie robotniczej rozwinąć proletariacką świadomość, transcendentną w stosunku do fałszywych wartości wpajanych jej przez kapitalistyczną hierarchię?

- Tak jest, człowieku! - zawołał entuzjastycznie Bilger. - Pieprzenie symbolizuje wyzysk.

- Można by rzec: burżuazja gwałcąca swe proletariackie sumienie.

- Pan to powiedział - odparł Bilger, chwytając przynętę.

Wilt popatrzył na niego oszołomiony. '

- Aż którą klasą przeprowadził pan te... hmm... zajęcia terenowe?

- Z drugą ślusarsko-tokarską. Znaleźliśmy odpowiedni obiekt na Nott Road i...

- Na Nott Road? - powtórzył Wilt, usiłując umiejscowić w pejzażu znanej mu ulicy łagodne i przypuszczalnie homoseksualne krokodyle.

- Był to także rodzaj teatru ulicznego - ciągnął Bilger, zapaliwszy się do tematu. - Połowa tamtejszych mieszkańców również potrzebuje wyzwolenia.

- Nie wątpię, ale do głowy by mi nie przyszło, że zachęcanie do pieprzenia się z krokodylami można nazwać akcją wyzwolenczą. Sądzę, że jako przykład walki klas...

- Chwileczkę - wtrącił Bilger. - Myślałem, że widział pan ten film.

- Niezupełnie. Dotarły do mnie jednak słuchy o jego kontrowersyjnej treści. Ktoś stwierdził, że to prawie Bunuel.

- Naprawdę? No więc wzięliśmy tego mechanicznego krokodyla, wie pan, jednego z tych, do których dzieciaki wrzucają pensy, żeby się przejechać...

- Mechanicznego? Chce pan powiedzieć, że to nie był prawdziwy krokodyl?

- Oczywiście, do cholery, że nie. Kto byłby tak kopnięty, żeby ujeżdżać prawdziwego pieprzonego gada! Ryzykowałby pogryzieniem.

- Ryzykowałby? - zdziwił się Wilt. - Sądzę, że w kontakcie z każdym szanującym się krokodylem prawdopodobieństwo... Mniejsza o to, proszę mówić dalej.

- Więc jeden z chłopaków wsiadł na tę plastikową zabawkę i sfilmowaliśmy, jak to robi.

- Co robi? Postawmy sprawę jasno. Czy ma pan na myśli dupczenie?

- Coś w tym rodzaju - odrzekł Bilger. - Nie wyjął kutasa na wierzch ani nic z tych rzeczy. Nie miałby go gdzie włożyć. Nie, on tylko pozorował dupczenie. W ten sposób symbolicznie pieprzył całą opiekuńczość państwową systemu kapitalistycznego.

- Pod postacią mechanicznego krokodyla? - zapytał Wilt i przechyliwszy się na krześle do tyłu, zaczął się po raz kolejny zastanawiać, jak to możliwe, aby taki facet jak Bilger, podobno inteligentny, po studiach uniwersyteckich i z dyplomem, nadal wierzył, że świat byłby lepszy, gdy całą klasę średnią postawiono pod murem i rozstrzelano. Wyglądało na to, że przeszłość nikogo niczego nie nauczyła. Więc pana Bilgera Cholernego nauczy czegoś teraźniejszość. Wilt oparł się na łokciach.

- Wyjašnjmy to sobie raz na zawsze - powiedział. - Najwyraźniej uważa pan, że do pańskich obowiązków jako wykładowcy w Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących należy zapoznavanie praktykantów z marksistowsko-leninowsko-maoistycznym krokodylizmem i każdym innym - izmem, jaki przyjdzie panu do głowy?

Wrogość Bilgera powróciła.

- To wolny kraj i mam prawo wyrażać swoje osobiste poglądy. Nic może mi pan w tym przeszkodzić.

Słyszając te wspaniałe sprzeczności, Wilt się uśmiechnął.

- A czy próbuję? - zapytał niewinnie. - Pewnie mi pan nie wierzy, ale jestem gotów udostępnić panu trybunę, z której będzie pan mógł je przedstawić w całej okazałości.

- Prędzej mi kaktus wyrośnie - odparł Bilger.

- A tak, towarzyszu Bilger, zaufajcie mi. O szóstej zbiera się Rada Szkolna. Główny inspektor, dyrektor, radny Blichte-Smythe

- To militarystyczne zero? Co on wie o problemach edukacji? Myśli, że jak dali mu na wojnie krzyż, to wolno mu deptać klasę robotniczą.

- Co, biorąc pod uwagę fakt, że nie ma jednej nogi, nie przemawia raczej na korzyść pańskiej opinii o proletariacie, prawda? - odrzekł Will, wyraźnie się rozkręcając. - Najpierw chwala pan klasę robotniczą za inteligencję i solidarność, potem stwierdza, że jej świadomość kształtują reklamy mydła w telewizji i jest tak tępą, że trzeba ją mocno upolitycznić, a teraz mówi mi pan, że

człowiek, który stracił nogę, może po robotnikach deptać. Słuchając pana, odnoszę wrażenie, że to banda półgłówków.

- Niczego takiego nie powiedziałem - zaprotestował Bilger.

- Nie, ale wygląda na to, że takie stanowisko pan zajmuje, i jeśli chce się pan wypowiedzieć na ten temat pełniej, może pan to zrobić o szóstej na posiedzeniu rady. Jestem pewien, że ta sprawa bardzo jej członków zainteresuje.

- Nie stanę przed żadną pieprzoną radą. Znam swoje prawa i...

- ...to wolny kraj, jak mi pan wciąż powtarza. Jeszcze jedna wspaniała sprzeczność, a zważywszy na to, że kraj ten pozwala panu nakłaniać młodocianych praktykantów do pozorowania rżnięcia mechanicznych krokodyli, moim zdaniem trafniejszy byłby termin "kraj wolnopieprzycieli". Czasami żałuję, że nie mieszkamy w Rosji.

- Tam by wiedzieli, co zrobić z takim gościem jak pan - stwierdził Bilger. - Jest pan reformistyczną, dewiacjonistyczną świnią.

- W pańskich ustach słowo "dewiacjonistyczny" brzmi cudownie! - krzyknął Wilt. - A przy ich drakońskich prawach ktoś, kto by filmował, jak rosyjscy ślusarze dupczą krokodyle, wylądowałby szybciotko na Łubiance i nie wyszedł stamtąd, dopóki by mu nie wpakowano kuli w tył bezmyślnej głowy. Albo zamknięto by pana w jakimś domu wariatów, gdzie byłby pan prawdopodobnie jedynym pacjentem rzeczywiście chorym na umyśle.

- Dobrze, Will! - zawołał Bilger, podrywając się z krzesła. - Wystarczy. Może pan być kierownikiem sekcji, ale jeśli sądzi pan, że wolno mu obrażać wykładowców, wiem, co mam zrobić. Złożę skargę w Związku.

- Świetnie! - wrzasnął Wilt. - Niech pan biegnie po ratunek do swojej kolektywnej mamuśki, a kiedy już pan tam będzie, proszę powiedzieć sekretarzowi, że nazwał mnie pan dewiacjonistyczną świnią. Spodoba mu się to określenie.

Bilgera nie było już jednak w gabinecie i Wilt został sam wobec konieczności znalezienia jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia dla rady. Z przyjemnością pozbyłby się Bilgera, ale idiota miał żonę i troje dzieci i z pewnością nie mógł liczyć na pomoc swego ojca, kontradmirała Bilgera. Tego rodzaju intelektualni bufoni i radykałowie zazwyczaj pochodzą z tak zwanych dobrych rodzin.

Tymczasem musiał się przygotować do zajęć z zaawansowanymi cudzoziemcami. Niech diabli wezmą poglądy liberalne i postępowe w latach 1688-1978. Prawie trzysta lat historii Anglii, które trzeba wtłoczyć w osiem wykładów, uwzględniając w dodatku dobroduszne założenie Mayfielda, że postęp dokonuje się w sposób ciągły, a liberalizm jakimś cudem występuje niezależnie od czasu i miejsca. A co z Ulsterem? Piekielnie dużo liberalnych poglądów wyrażono tam w 1978. W ogóle trudno uznać Imperium za wzór liberalizmu. Wszystko, co da się o nim powiedzieć, to to, że nie było aż tak cholernie złe jak Kongo Belgijskie czy Angola. Mayfield miał dyplom socjologa i wiedział o historii zatrwająco mało. Choć prawdę mówiąc, Wilt wiedział niewiele więcej. I dlaczego "liberalizm angielski"? Mayfield najwyraźniej sądził, że Walijszczy, Szkoci i Irlandczycy nie istnieją, a jeśli istnieją, nie są ani liberalni, ani postępowi.

Wilt wyjął długopis i zaczął robić notatki. Nie miały one nic wspólnego z proponowanym przez doktora Mayfielda programem kursu. Wciąż jeszcze płątał się w mglistych spekulacjach, gdy nadeszła pora lunchu. Zszedł do stołówki, zjadł samotnie przy stoliku coś, co nazwano curry z ryżem, i wrócił do gabinetu z nowymi pomysłami. Wpływ kolonii na Anglię. "Curry", "bakszys", "polo", "pizama", "anorak" - słowa, które przywędrowały do angielszczyzny z dalekich zakątków Imperium, gdzie Wiltowie poprzedniej epoki rządzili się z niewyobrażalną wielkopańską wyniosłością. Te przyjemnie nostalgiczne rozmyślenia przerwało Willowi wejście pani Rosery, sekretarki sekcji. Przyszła mu powiedzieć, że pan Germiston zachorował i nic może poprowadzić zajęć z trzecią techniczno-elektryczną; pan Laxton, który powinien go zastąpić, nic nikomu nie mówiąc, zamienił się dyżurami z panią Yaugard, która jest nieosiągalna, ponieważ zapisała się wcześniej na wizytę u dentysty i...

Wilt zszedł na dół i przeciąwszy dziedziniec, wkroczył do pawilonu, gdzie czekali zamroczeni wypitym podczas lunchu piwem technicy-elektrycy.

- Dobrze - powiedział, siadając za biurkiem. - Co zrobiliście z panem Germistonem?

- Nic z nim nie zrobiliśmy - odparł rudowłosy młodzieniec z pierwszej ławki. - Szkoda zachodu. Jedna piącha w ryj i już by...

- Miałem na myśli to - wtrącił Wilt, zanim rudy zdążył się wdać w szczegółowy opis ewentualnej bójki z Germistonem - czym się w tym semestrze zajmowaliście.

- Przerabialiśmy czarnuchów - wyjaśnił innych technik.

- Ufam, że nie dosłownie - odrzekł Wilt z nadzieją, że jego ironia nie wywoła dyskusji o gwiazdach rocka i chirurgii plastycznej. - Chodzi ci o stosunki rasowe?

- Chodzi mi o czarnuchów. Dokładnie o nich. I o całą resztę tych kolorowych sukinsynów, którzy tu przyjeżdżają i zabierają robotę porządnym białym gościom. Według mnie...

- Niech go pan nie słucha - przerwał trzeci technik-elektryk. - Joe należy do Frontu Narodowego.

- A co w tym złego? - zapytał Joe. - Nasza polityka to nie dopuścić do...

- ...dyskusji o polityce w klasie - dokończył Wilt. - To moja polityka i zamierzam się jej trzymać. Poza szkołą rozmawiajcie sobie, o czym chcecie, ale tutaj pomówimy o czymś innym.

- Niech pan to powie staremu Germaściuchowi. Cały czas nam pieprzy, że musimy być chrześcijanami i kochać bliźnich jak siebie samych. Gdyby pomieszkał na naszej ulicy, szybko zmieniłby zdanie. Dwa domy od nas gnieździ się banda czarnuchów z Jamajki. Do czwartej rano wałę w bongo i pojemniki na śmieci. Jeżeli stary Germy może pokochać taki harmider, musi być głuchy jak pień.

- Zawsze możesz ich poprosić, żeby się trochę uciszeli albo kończyli o jedenastej - podsunął Will.

- I dostać nożem w bebech? Chyba pan żartuje.

- Więc idź na policję.

Joe popatrzył na Wilita z niedowierzaniem.

- Jeden facet, który mieszka cztery domy dalej, kiedyś to zrobił. Wie pan, co mu się przytrafiło?

- Nie - odparł Wilt.

- Dwa dni później przedziurawiono mu opony w samochodzie. A gliniarzy gównem to wszystko obchodzi.

- No cóż, widzę, że rzeczywiście macie pewien problem - musiał przyznać Wilt.

- Owszem. Ale wiemy, jak go rozwiązać - stwierdził Joe.

- Nie rozwiążecie go, odsyłając Murzynów na Jamajkę - odezwał się technik, który był przeciwnikiem Frontu Narodowego. - Zresztą ci z twojej ulicy wcale stamtąd nie przyjechali. Urodzili się w Brixton.

- W brixtońskim mamrze, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Jesteś po prostu uprzedzony.

- Ty też byś był, gdybyś od miesięcy nie mógł się porządnie przełamać.

Bitwa szalała dalej, a Wilt siedział za biurkiem, przyglądając się klasie. Było dokładnie tak, jak pamiętał z dawnych czasów. Trzeba praktykantów rozkręcić, a potem zostawić samym sobie, spinając ich tylko ostrogą prowokacyjnej uwagi, gdy dyskusja słabnie. I pomyśleć, że są to ci sami ludzie, których Bilgerzy tego świata chcą karmić polityczną propagandą niczym proletariackie gęsi tuczone na totalitarny pate clefois gras.

Technicy-elektrycy przestali już jednak omawiać problemy rasowe i spierali się o zeszłoroczny finał rozgrywek ligowych. Najwyraźniej piłka nożna interesowała ich bardziej niż polityka.

5

Opuściwszy praktykantów, Wilt poszedł do auli, aby wygłosić wykład dla zaawansowanych cudzoziemców. Ku jego przerażeniu sala była pełna. Doktor Mayfield miał rację, mówiąc, że kurs cieszy się powodzeniem i przynosi olbrzymi dochód. Patrząc na rzędy ławek, Wilt zanotował sobie w pamięci, że będzie się zwracał do wartych miliony funtów szybów naftowych, stalowni, stoczni i zakładów przetwórstwa chemicznego, rozsypanych od Sztokholmu po Tokio via Arabia Saudyjska i Zatoka Perska. Dranie chcą się czegoś dowiedzieć o Anglii i angielskich poglądach? Proszę bardzo. Dostaną to, za co zapłacili.

Wilt wszedł na katedrę, uporządkował swoje nieliczne notatki, postukał w mikrofon, tak że z umieszczonych z tyłu sali głośników wydobyło się kilka głośnych trzasków, i zaczął mówić.

- Tych spośród was, którzy pochodzą z bardziej autorytarnych społeczności, zaskoczy może fakt, że zamierzam zignorować tytuł cyklu moich wykładów, to jest "Rozwój liberalnych i postępowych poglądów społecznych w społeczeństwie angielskim od roku 1688 po dzień dzisiejszy".

Postanowiłem się zająć czymś według mnie ważniejszym, a mianowicie problemem, żeby nie powiedzieć zagadką, istoty angielskości. Problem ten od wieków zbija z tropu najtęższe cudzoziemskie umysły i nie wątpię, że zbije z tropu również was. Muszę przyznać, że ja sam, chociaż, jestem Anglikiem, niewiele tu pojmuję i nie mam żadnych podstaw, by przypuszczać, że pod koniec tych wykładów będę pojmował więcej.

Wilt zamilkł i popatrzył na słuchaczy. Pochylili głowy nad zeszytami, a ich długopisy biegały szybko po papierze. Dokładnie tego się spodziewał. Będą sumiennie zapisywać każde jego słowo, równie bezmyślnie jak poprzednie grupy, którym wykladał, ale może znajdzie się ktoś, kogo zastanowi to, co słyszy. No, tym razem dopilnuje, żeby wszyscy mieli się nad czym zastanawiać.

- Zacznę od podania listy podstawowych lektur, ale jeszcze przedtem chciałbym sprecyzować, jaki model angielskości mam nadzieję zgłębić. Zdecydowałem się zignorować temat, który powinienem wykladać, i wybrałem własny. Zignoruję również Walię, Szkocję oraz to, co jest powszechnie znane jako Wielka Brytania, i ograniczę się do Anglii. Więcej wiem o New Delhi niż o Glasgow, a mieszkańcy tamtych rejonów poczuliby się urażeni, gdybym ich zaliczył do Anglików. Unikał będę zwłaszcza mówienia o Irlandczykach. Zrozumienie tej nacji przekracza moje możliwości, a ich metody rozstrzygania kwestii spornych niezupełnie mi odpowiadają. Powtórzę tylko, co o Irlandii powiedział bodajże Metternich, mianowicie, że jest to Polska Anglii.

Zamilkł ponownie, dając studentom czas na zrobienie następnej całkowicie bezsensownej notatki. Zdziwiłby się bardzo, gdyby Saudyjczycy kiedykolwiek słyszeli o Metternichu.

- A teraz lista lektur. Pierwszą pozycją jest książka Kennetha Grahame'a O czyni szumią wierzby. Daje ona najcelniejszy opis aspiracji i poglądów angielskiej klasy średniej, jaki można znaleźć w naszej literaturze. Jak się sami przekonacie, traktuje wyłącznie o zwierzętach, a wszystkie te zwierzęta to samce. Jedyne występujące w książce kobiety: właścicielka barki, córka dozorczy więziennego oraz jej ciotka, są postaciami drugoplanowymi i na dobrą sprawę zbędnymi. Główni bohaterowie to Szczur Wodny, Kret, Borsuk i Ropuch, z których żaden nie jest żonaty i żaden nie przejawia najmniejszego zainteresowania płcią przeciwną. Ci spośród was, którzy urodzili się w cieplejszym klimacie albo zwiedzili Soho, uznają przypuszczalnie ten brak wątku seksualnego za zaskakujący. Powiem tylko, że jest to całkowicie zgodne z hierarchią wartości mieszczańskiej rodziny angielskiej. Jeśli kogoś nie zadowolają aspiracje oraz poglądy i chciałby przestudiować zagadnienie głębiej, poznając również jego wstydlive aspekty, temu mogę polecić niektóre gazety codzienne, a zwłaszcza prasę niedzielną. Liczba pastorów i członków komitetów parafialnych, którzy dopuszczają się co roku czynów lubieżnych z ministrantami, doprowadzić was może do wniosku, że Anglia jest krajem głęboko religijnym. Ja skłaniam się ku zajmowanemu przez niektóre osoby stanowisku, że...

Ku jakiemu stanowisku Wilt się skłania, słuchacze już się nie dowiedzieli, ponieważ urwał w pół słowa, ze wzrokiem utkwionym w jakiejś twarzy z trzeciego rzędu. Irmgard Muller była jedną z jego studentek. Co gorsza, przyglądała mu się z niezwykłą uwagą i nie zwracała sobie głowy notowaniem wykładu. Wilt odwzajemnił jej spojrzenie, a potem popatrzył we własne notatki, usiłując wymyślić, co ma teraz powiedzieć. Wszystkie wypróbowane wcześniej pomysły jak na ironię uleciały mu z pamięci. Po raz pierwszy w swej długiej karierze improwizatora Wilt stracił koncept. Stojąc na katedrze ze spoconymi dłońmi, spojrzął na zegar. Musiał o czymś mówić jeszcze przez czterdzieści minut, o czymś głębokim i poważnym, i... tak, nawet znaczącym. To straszne słowo z wrażliwej młodości powróciło do niego po latach. Wilt zebrał się w sobie.

- Jak mówiłem poprzednio - wyjął w chwili, gdy słuchacze zaczęli już szeptać między sobą - wszystkie książki, które wam polecam, zaledwie zarysują powierzchnię problemu bycia Anglikiem... a raczej zrozumienia natury Anglików.

Przez następne pół godziny wiązał ze sobą oderwane zdania, a potem złożył notatki i mamrocząc coś o pragmatyzmie, zakończył wykład. Kiedy schodził z katedry, Irmgard wstała ze swego miejsca i podeszła do niego.

- Chcę panu powiedzieć - odezwała się - że bardzo mnie zainteresowała pańska prelekcja.

- Miło mi to słyszeć - odparł Wilt, tłumiąc w sobie namiętność.

- Zwróciło moją uwagę zwłaszcza to, co mówił pan o pozornej demokracji systemu parlamentarnego. Był pan pierwszym z naszych wykładowców, który rozpatrywał Anglię w kontekście realiów społecznych i kultury popularnej. Wiele dzięki panu zrozumiałam.

Wilt zrozumiał jeszcze więcej. Wyszedł z auli i jak na skrzydłach pomknął po schodach do gabinetu. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Irmgard była nie tylko piękna. Była również olśniewająco inteligentna. Spotkał kobietę doskonałą dwadzieścia lat za późno.

Był tak bardzo zaabsorbowany tym nowym i podniecającym odkryciem, że na zebranie Rady Szkolnej przyszedł spóźniony o dwadzieścia minut, gdy pan Dobbie, z projektorem pod pachą i miną człowieka, który spełnił swój obowiązek, wypuszczając dzina z butelki, już wychodził.

- Niech pan nie ma do mnie pretensji - wyjąkał, kiedy Wilt popatrzył na niego spode łba. Ja tylko...

Wilt zignorował go i wszedł do pokoju. Członkowie rady sadowili się przy długim stole, na którego końcu stało, rzucając się w oczy, samotne krzesło; jak Wilt przewidywał, byli w komplecie. Dyrektor, wicedyrektor, radny Blight-Smythe, pani Chatterway, pan Squidley i główny inspektor szkoły.

- A, Wilt - powiedział niezbyt entuzjastycznie dyrektor zamiast powitania. - Niech pan siada.

Wilt mężnie ominął samotne krzesło i usiadł obok inspektora.

- Jak rozumiem, chcieliście mnie państwo widzieć w związku z antypornograficznym filmem nakręconym przez pracownika Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących - odezwał się, próbując przejąć inicjatywę.

Członkowie rady wytrzeszczyli na niego oczy.

- Po pierwsze, niech pan sobie daruje to "anty-" - odparł radny Blight-Smythe. - Film, który właśnie obejrzelśmy, przechodzi ludzkie pojęcie. To czysta pornografia.

- Może dla krokodylofila - stwierdził Wilt. - Nie miałem okazji go zobaczyć, więc nie wiem, jakie wrażenie zrobiłby na mnie.

- Powiedział pan jednak, że jest antypornograficzny - zauważyła pani Chatterway, która ze względu na swe postępowe poglądy nieodmiennie stawiała w opozycji do radnego i pana Squidleya - a jako kierownik sekcji musiał go pan zaaprobować.-Rada chciałaby usłyszeć, czym się pan powodował.

Wilt uśmiechnął się ironicznie.

- Myślę, że tytuł kierownika sekcji wymaga pewnych wyjaśnień - zaczął, ale przerwał mu Blight-Smythe.

- Wyjaśnięn wymaga sprawa tego piep... piekielnego filmu. Trzymajmy się tematu - warknął.

- Tak się składa, że to należy do tematu. Fakt, że pełnię funkcję kierownika Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących, nie oznacza jeszcze, że mam możliwość kontrolowania tego, co robią członkowie mojego tak zwanego personelu.

- Świetnie wiemy, co robią - zabrał głos pan Squidley. - Gdyby któryś z moich pracowników zaczął robić to, co oni, natychmiast wylałbym go na pysk.

- W szkolnictwie jest trochę inaczej - odparł Wilt. - Mogę ustalić wytyczne polityki nauczania, ale, sądzę, że pan dyrektor zgodzi się tutaj ze mną, nie mogę zwolnić wykładowcy za ich nieprzestrzeżenie.

Dyrektor, który chętnie już dawno zwolniłby Wilta, zgodził się z nim z wyraźnym żalem.

- To prawda - mruknął.;

- Chce pan powiedzieć, że nie może się pan pozbyć tego zbrojeńca, który nakręcił film? - zapytał Blight-Smythe.

- Nie. Tylko jeśli nagminnie opuszczałyby zajęcia, nałogowo się upijał lub otwarcie współżył ze studentkami - wyjaśnił Wilt.

- Czy to prawda? - zwrócił się pan Squidley do inspektora szkolnego.

- Niestety, tak. Nie możemy zwolnić etatowego wykładowcy, jeżeli nie udowodnimy mu rażącej niekompetencji albo niemoralnego prowadzenia się.

- Jeśli nakłanianie studentów do dupczenia krokodyli nie jest niemoralne, to chciałbym wiedzieć, co jest - oznajmił Blight-Smythe.

- O ile dobrze zrozumiałem, obiekt, o którym mowa, nie był prawdziwym krokodylem i nie doszło do stosunku płciowego - odrzekł Wilt. - W każdym razie wykładowca jedynie zarejestrował to wydarzenie na taśmie filmowej. Sam w nim nie uczestniczył.

- Gdyby uczestniczył, zostałby aresztowany - zauważył pan Squidley. - Cud, że sukinsyna nie zlinczowano.

- Czy przypadkiem nie tracimy z oczu głównego tematu naszego zebrania? - odezwał się dyrektor. - Przypuszczam, że pan Ranlon chciałby poruszyć jeszcze kilka innych kwestii.

Inspektor szkolny przerzucił swoje notatki.

- Chciałbym zapytać pana Willa, jakie są jego wytyczne w odniesieniu do Przedmiotów Ogólnokształcących. Liczne skargi, z którymi zwrócili się do nas przedstawiciele społeczeństwa, mogą mieć z nimi pewien związek.

Zamilkł, utkwivszy wzrok w Wilcie.

- Byłoby mi łatwiej odpowiedzieć, gdybym wiedział, co to za skargi - odparł Wilt, aby zyskać na czasie.

Wtrąciła się pani Chatterway.

- Wielu znajdujących się pod naszą opieką młodych ludzi nie odebrało postępowego wychowania w domu. Dlatego celem Przedmiotów Ogólnokształcących zawsze było wpajanie im poczucia obowiązku z troski o innych oraz naprawianie ich charakterów.

- Słowo „znieprawianie” bardziej by tu pasowało, gdyby ktoś się mnie pytał - mruknął radny Blighte-Smythe.

- Nikt się pana nie pyta - warknęła pani Chatterway. - Wszyscy doskonale znamy pańskie poglądy.

- Więc może poznalibyśmy poglądy pana Willa - zaproponował inspektor.

- No cóż, w przeszłości Przedmioty Ogólnokształcące służyły głównie temu, żeby praktykanci z kursów doksztalających siedzieli cicho przez godzinę i czytali książki - powiedział Wilt. - Moim zdaniem niczego się w ten sposób nie uczyli i cały system był tylko stratą czasu.

Umilkł z nadzieją, że radny powie coś, co rozwścieczy panią Chatterway. Pan Squidley rozwiązał tę nadzieję, przyznając mu rację.

- Zawsze był stratą czasu i zawsze będzie. Mówiłem to już wcześniej i powtórzę jeszcze raz. Dianie powinni normalnie pracować, zamiast wałkonic się w szkole, marnując pieniądze podatników.

- Więc przynajmniej częściowo się zgadzamy - stwierdził pokojowo dyrektor. - Jeśli dobrze zrozumiałem, wytyczne pana Wilta mają charakter bardziej praktyczny. Czyż nie tak?

- Sekcja stawia sobie za zadanie nauczenie praktykantów różnych pożytecznych rzeczy. Jestem zwolennikiem kierowania ich zainteresowań na...

- Krokodyle? - zapytał radny Blighte-Smythe.

- Nie - odparł Wilt.

Inspektor szkolny popatrzył na listę, którą miał przed sobą.

- Widzę, że według pana pojęcie edukacji praktycznej obejmuje domowy wyrób piwa.

Wilt skinął głową.

- Czyż można wiedzieć dlaczego? Przez myśl by mi nie przeszło, że wciąganie dorastającej młodzieży w alkoholizm służy celom wychowawczym.

- Służy na przykład temu, żeby trzymali się z daleka od pubów - wyjaśnił Wilt. - A monterzy instalacji gazowych w żadnym wypadku nie są dorastająca, młodzieżą. Połowa ma żony i dzieci.

- Czy w programie tego kursu browarnictwa dla początkujących jest również fabrykowanie aparatury destylacyjnej?

- Aparatury destylacyjnej? - zdziwił się Wilt.

- Do nielegalnej produkcji wysokoprocentowego alkoholu.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek w mojej sekcji znał się na czymś takim. Praktykanci wyrabiają...

- Według Urzędu Ceł i Akcyzy - niemal czysty spirytus i - oznajmił inspektor. - Czterdziestogalonowa baryłka, którą wydobyto z piwnicy pawilonu technicznego, musiała zostać spalona. Mówiąc słowami jednego z urzędników akcyzy, na tym świństwie mógłby jeździć samochód.

- Może właśnie po to je wyprodukowali - poddał Wilt.

- W takim wypadku - zauważył inspektor szkolny - raczej nie miałyby sensu naklejanie na butelkach etykietek z napisem "Chateau Fenland VSOP".

Dyrektor podniósł wzrok na sufit i zaczął się modlić, ale inspektor jeszcze nie skończył.

- Czy mógłby nam pan opowiedzieć o zorganizowanym dla gastronomów kursie samowystarczalności?

- Ściśle biorąc, jego nazwa brzmi: "Jak żyć z darów ziemi" - sprostował Wilt.

- Owszem. A ziemia, o której mowa, należy do lorda Podnortona.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Za to on słyszał o tej instytucji. Jego gajowy przyłapał dwóch kucharzy na obcinaniu głowy bażantowi za pomocą plastikowego węża długości dziesięciu stóp, zakończonego pętlą ze struny fortepianowej ukradzonej z Sekcji Muzyki, co prawdopodobnie tłumaczy, dlaczego w ciągu ostatnich dwóch semestrów trzeba było czternaście razy zakładać w fortepianie nowe struny.

- Dobry Boże, myślałem, że to jacyś wandalę - wymamrotał! dyrektor.

- Lord Podnorton miał to samo błędne mniemanie w kwestii swoich szklarni, czterech okien inspektowych, krzaków porzeczek i...

- Zapewniam pana - przerwał inspektorowi Wilt - że program zajęć nie obejmował włamywania się do szklarni. Wpadłem na pomysł tego kursu pod wpływem mojej żony, która jest entuzjastką kompostowania...

- Niewątpliwie na pomysł następnego kursu również wpadł pan pod jej wpływem. Mam przed sobą list od pani Tothingford ze

skargą na prowadzone u nas lekcje karate dla opiekunek do dzieci. Czy zechciałby pan to wyjaśnić?

- Rzeczywiście prowadzimy kurs pod nazwą "Samoobrona dla przedszkolank". Uważaliśmy, że wobec rosnącej fali gwałtów to słuszną ideą.

- Bardzo rozsądnie - odezwała się pani Chatterway. - Z całego sera pochwalam.

- Pani może tak - powiedział inspektor, patrząc na nią krytycznie ponad okularami. - Ale pani Tothingford nie. List został wysłany ze szpitala, gdzie przebywa z powodu złamania obojczyka, przemieszczenia grdyki i obrażeń wewnętrznych, zadanych jej przez opiekunkę do dziecka ostatniego sobotniego wieczoru. Chyba nikt mi nie powie, że pani Tothingford jest gwałciicielką.

- Nigdy nie wiadomo - odparł Wilt. - Pytał ją pan, czy nie jest lesbijką?

- Tak się składa, że pani Tothingford jest matką pięciorga dzieci i żoną...

Inspektor zajrzał do listu.

- Pana Tothingforda? - podsunął Wilt.

- Sędziego Tothingforda - warknął inspektor. - Jeśli sugeruje pan, że żona sędziego jest lesbijką, przypominam, że istnieje coś takiego jak zniesławienie.

- Istnieją również zamężne lesbijki - stwierdził Wilt. - Znałem kiedyś jedną. Mieszkała przy naszej...

- Nie zebraliśmy się tutaj po to, aby dyskutować o pańskich godnych pożałowania znajomościach.

- Myślałem, że zebraliście się właśnie w tym celu. Zostałem przecież wezwany na rozmowę o filmie nakręconym przez wykładowcę z mojej sekcji i chociaż nie nazwałbym go swoim przyjacielem, trochę się jednak znamy i...

Wicedyrektor kopnął go pod stołem. Wilt zamilkł.

- Czy to już koniec listy ofiar? - zapytał dyrektor z nadzieją w głosie.

- Mógłbym je wyliczać niemal bez końca - powiedział inspektor. - Z tego wszystkiego wynika, że Sekcja Przedmiotów Ogólnokształcących nie tylko nie spełnia rzekomej funkcji wpajania poczucia obowiązku praktykantom z kursów doksztalających, lecz także czynnie sprzyja rozwojowi zachowań antyspołecznych...

- To nie moja wina - przerwał gniewnie Wilt.

- Jako kierownik sekcji odpowiada pan za nią przed władzami szkolnymi.

- Przed władzami, a jakże - prychnął Wilt. - Gdybym miał jakąkolwiek władzę, ten film nigdy by nie powstał. Zamiast niej mam wykładowców, których nie ja przyjąłem do pracy i których nie mogę zwolnić. Połowa z nich to obłąkani rewolucjoniści i anarchiści, a reszta nie potrafiłaby utrzymać porządku na zajęciach, nawet gdyby wpakowano studentów w kaftany bezpieczeństwa. A wy oczekujecie, że będę odpowiadał za wszystko, co się tu dzieje.

Popatrzył na członków rady i potrząsnął głową. Nawet inspektor szkolny robił wrażenie speszzonego.

- Bezwzględnie problem jest bardzo złożony - zabrała głos pani Chatterway, która przeszła na stronę Wilta, usłyszawszy o kursie samoobrony dla przedszkolank. - Sądzę, że wyrażę opinię całej rady, jeśli powiem, iż zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie napotyka w swej pracy pan Wilt.

- Mniejsza o to, co napotyka pan Wilt - wtrącił się Blighte-Smythe. - Sami napotkamy trudności, jeżeli ta afera się rozejdzie. Jeśli prasa coś zwietrzy...

Na wzmiankę o tej ewentualności pani Chatterway zbladła, a dyrektor zasłonił oczy dłonią. Wilt obserwował ich reakcję z zainteresowaniem.

- No. to co? - odezwał się pogodnie. - Jestem zwolennikiem publicznej dyskusji nad problemami edukacji. Rodzice mają prawo wiedzieć, w jaki sposób uczą się ich dzieci. Sam mam cztery córki i...

- Wilt - przerwał mu gwałtownie dyrektor. - Rada wspomniałomyślnie uznała, że nie ponosi pan wyłącznej odpowiedzialności za te godne ubolewania incydenty. Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać.

Wilt nie ruszył się jednak z miejsca i świadom swej przewagi mówił dalej.

- Rozumiem więc, że nie macie państwo zamiaru zwrócić na tę sprawę uwagi środków masowego przekazu. Cóż, skoro taką powzięliście decyzję...

- Niech pan posłucha - warknął inspektor. - Jeśli choć jedno słowo o tym skandalu przedostanie się do prasy lub trafi na forum publiczne w jakikolwiek inny sposób, osobiście dopilnuję, żeby... Wolałbym nie być wówczas w pańskiej skórze.

Wilt wstał.

- A ja wolałbym nie być w niej teraz - powiedział. - Wzywacie mnie tutaj i przesłuchujecie w sprawach, _ którym nie mogę zapobiec, ponieważ nie chcecie mi dać rzeczywistej władzy, a kiedy proponuję, żeby tę haniebną sytuację ujawnić przed społeczeństwem, usiłujecie mnie zastraszyć. Zastanawiam się, czy nie złożyć skargi w Związku.

Wygłosiwszy tę przerażającą pogroźkę, ruszył do wyjścia.

- Wilt! - krzyknął dyrektor. - Jeszcze nie skończyliśmy.

- Ja tej jeszcze nie skończyłem - odparł Wilt, otwierając drzwi. - Uważam, że ta próba zatuszowania kwestii wagi publicznej zasługuje w najwyższym stopniu na potępienie.

- Chryste -jęknęła pani Chatterway, wbrew swym zwyczajom zwracając się ku Bogu. - On chyba nie mówi poważnie?

- Już od dawna nie staram się zgadywać, kiedy Wilt mówi poważnie - odrzekł ponuro dyrektor. - Jestem pewien tylko jednego: żałuję, że go w ogóle zatrudniłem.

6

- Możesz się pożegnać z awansem - powiedział Wiltowi Peter Braintree, gdy później tego wieczoru siedzieli przy piwie w "Dmuchaczu Szkła".

- Mam ochotę pożegnać się z życiem - odparł Wilt, ignorując pasztecik wieprzowy, który Braintree właśnie mu kupił. - I na nic się nie zda kuszenie mnie pasztecikami.

- Musisz coś zjeść. W twoim stanie ducha to ważne.

- W moim stanie ducha nic nie jest ważne. Nie dość, że muszę staczać bitwy z dyrektorem, inspektorem i całą śmierdzącą radą w obronie Bilgera i jemu podobnych szaleńców marzących o światowej rewolucji, to w dodatku po latach poskramiania drapieżnych żądź, które budziły we mnie starsze sekretarki, panna Trott i od czasu do czasu jakaś" przedszkolanka, Eva uparła się sprowadzić do domu najwspanialszą, najbardziej zachwycającą kobietę, jaką mogła znaleźć. Pewnie mi nie wierzysz... Pamiętasz ostatnie lato i Szwedki?

- Te, z którymi przerabiałeś Synów i kochanków?

- Tak - potwierdził Wilt. - Cztery tygodnie z D.H. Lawrence'em i trzydziestoma rozkosznymi Skandynawkami. Jeśli to nie był chrzest bojowy w zmaganiach z pożądaniem, nie wiem, co by nim mogło być. I przeszedłem go nietknięty. Codziennie wracałem do domu i do Ewy bez skazy i zmyzy. Gdyby otwarcie wypowiedziano wojnę seksualną, dostałbym Krzyż Małżeński za czystość na polu walki.

- Wszyscy przechodzimy tę fazę - zauważył Braintree.

- Co właściwie rozumiesz przez "tę fazę"? - zapytał chłodno Wilt.

- Stadium pięknych ciał, cycków, tyłków, mignięć nagiego uda. Pamiętam, jak raz...

- Wolałbym nie słuchać twoich obleśnych fantazji - przerwał mu Wilt. - Może kiedy indziej. Z Irmgard wszystko jest inaczej. Nie chodzi mi o prymitywny pociąg fizyczny. Istnieje między nami pokrewieństwo duchowe.

- Dobry Boże, Henry... - wyjąkał oszołomiony Braintree.

- Właśnie. Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby używał tego okropnego określenia?

- Nigdy.

- Więc teraz słyszysz. I jeśli to nie przesądza, w jak straszliwym położeniu się znalazłem...

- Przesądza - odparł Braintree. - Straciłeś...

- ...głowę dla tej kobiety - dokończył Wilt.

- Chciałem powiedzieć "rozum".

- Co na jedno wychodzi. Stoję przed trudnym wyborem. Mam silną, energiczną i całkowicie pozbawioną wrażliwości żonę...

- Która cię nie rozumie. Już to kiedyś przerabialiśmy.

- Która mnie naprawdę rozumie. Czego nie można powiedzieć o tobie - stwierdził Wilt z rozgoryczeniem w głosie i wypił jeszcze trochę piwa.

- Henry, chyba się szaleju najadłeś - odezwał się Braintree.

- Nie. Napiłem się herbatki pani Crippen.

- Pani Crippen? O czym ty, do diabła, mówisz?

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się na tym - zaczął Wilt - co by było, gdyby zamiast z braku dzieci znęcać się nad mężem i na każdym kroku mu zawadzać, pani Crippen miała czworaczki? Widzę, że nie. A ja tak. Kiedy prowadziłem wykłady z Orwella i "Morderstwa w literaturze angielskiej", dogłębnie przemyślałem ten problem, wracając do domu na alternatywną kolację, złożoną z nie gotowanej kiełbasy sojowej, szczawiu z własnego ogrodu oraz herbaty z mleczka, i doszedłem do pewnych wniosków.

- Henry, co czysta paranoja - upomniał go surowo Braintree.

- Tak? Więc odpowiedz mi na jedno pytanie. Gdyby pani Crippen miała czworaczki, kto by skończył pod podłogą piwnicy? Doktor Crippen. Nie, nie przerywaj mi. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo macierzyństwo zmieniło Evę. A ja tak. Mieszkam w wielkim domu z Wielką Matką i jej czterema córkami, więc z pewnością uzyskałem wgląd w naturę samicy gatunku homo sapiens, jakiego mający więcej szczęścia mężczyźni są pozbawieni, i wiem, kiedy jestem niepotrzebny.

- O czym, do cholery, mówisz teraz?

- Jeszcze dwa piwa - zwrócił się Wilt do barmana. - I proszę mi zabrać sprzed oczu ten pasztecik.

- Słuchaj, Henry, dajesz się ponieść wyobraźni - wtrącił Braintree. - Chyba nie sugerujesz, że Eva usiłuje się otruć?

- Do tego się nie posunę - odparł Wilt - chociaż taka myśl rzeczywiście przemknęła mi przez głowę, kiedy Eva zainteresowała się alternatywnymi grzybami. Szybko położyłem kres tej pasji, zmuszając Samantkę, żeby próbowała ich pierwsza. Ja mogę być zbędny, ale czworaczki nie. W każdym razie nie według Evy. Ona widzi w swoim potomstwie potencjalne geniuszki. Samantha jest drugim Einsteinem, malunki flamastrem na ścianie salonu czynią z Penelope żeński odpowiednik Michała Anioła, a Josephine już z racji samego imienia nie potrzebuje żadnej rekomendacji. Mam mówić dalej?

Braintree potrząsnął głową.

- No właśnie - podjął Wilt, sięgając z przygnębieniem po kolejny kufel piwa. - Spełniłem biologiczną funkcję samca i kiedy, stosunkowo nawet zadowolony, zaczynałem się już godzić z przedwczesną starością, Eva z nieomylną intuicją, o którą jej nigdy nie posądzałem, sprowadziła pod nasz dach kobietę mającą tak znakomite przymioty, jak inteligencja, uroda, wrażliwość i radość życia... I Jednym słowem, Irmgard jest idealnym przykładem kobiety, z jaką • powinienem się być ożenić.

- Czego nie zrobiłeś - odrzekł Braintree, wynurzając się z kufla, w którym szukał schronienia przed upiornie długą wyliczanką Wilta. - I przygniata cię teraz brzemię małżeństwa z Evą.

- "Przygniata" to dobre słowo - stwierdził Wilt. - Kiedy Eva wchodzi do łóżka... Oszczędzę ci ponurych szczegółów. Wystarczy, jeśli powiem, że jest dwa razy taka jak ja.

Pograżył się w milczeniu i dopił piwo.

- Tak czy inaczej, nadal uważam, że popełnisz cholerny błąd, jeżeli znowu przysporzysz college'owi złej sławy - odezwał się Braintree, chcąc zmienić temat na przyjemniejszy. - Dmuchaj na zimne, oto moja dewiza.

- Byłaby i moja, gdyby ludzie nie dmuchali krokodyli - odparł Wilt. - Bilger ma czelność nazywać mnie dewiacjonistyczną świnią i sługusem kapitalistycznego faszystwu... tak, jeszcze jedno piwo... a ja cały czas sukinsyna osłaniam. Już się prawie zdecydowałem podać tę cholerną aferę do wiadomości publicznej. Powstrzymuje mnie jedynie świadomość, że Toxted i jego banda z

Frontu Narodowego tylko czekają na okazję, żeby urządzić jakąś rozróbę, a ja nie mam ochoty zostać ich bohaterem. Serdeczne dzięki.

- Widziałem naszego Hitlerka dziś rano, jak wieszał plakat w stołówce - powiedział Braintree.

- Tak? A za czym oręduje tym razem? Za kastracją kulisów czy przywróceniem łamania kołem?

- Za czymś związanym z syjonizmem - odrzekł Braintree. - Zerwałbym to świństwo, ale był z obstawą beduinów. Skumał się ostatnio z Arabami.

- Genialne! - zawołał Wilt. - Po prostu genialne. Właśnie to mi się w tych lewicowych i prawicowych fanatykach podoba, że są tak piekielnie niekonsekwentni. Bilger posyła swoje dzieci do prywatnej szkoły, mieszka w wielkim jak cholera domu kupionym za ojcowskie pieniądze i oręduje za światową rewolucją zza kierownicy porsche'a, który musiał go kosztować dobre sześć tysięcy, jeśli w ogóle sam za niego zapłacił, a mnie nazywa faszystowską świnią. Jeszcze się po tym nie pozbierałem, a już wpadam na Toxteda, który jest autentycznym faszystą, mieszka w kwaterunkowym mieszkaniu i chce odesłać do Islamabadu wszystkich ludzi o odmiennej pigmentacji, choćby nawet urodzili się w Clapham i nigdy nie wyjeżdżali z Anglii - aż kim się brata? Z bandą pieprzonych szejków, którzy mają pod burnusami więcej naftowych dolarów niż on włosów na głowie, nie potrafią sklecić po angielsku trzech słów i wykupili połowę Mayfair. Dodaj do tego fakt, że są semitami, a on tak zażartym antysemitą, że Eichmann przy nim to przyjaciel Izraela, i powiedz mi, jak pracuje jego cholerny mózg. Ja nie mam zielonego pojęcia. Przez to wszystko rozsądny człowiek nabiera tylko ochoty do picia.

- Wypiłeś już dość - zauważył niepewnie Braintree. - Kiedy wrócisz do domu, Eva urządzi ci piekło.

- Eva zawsze urządza mi piekło - odparł Wilt. - "Gdy myślę o tym, jakie pędzę życie..."

- Wolałbym, żebyś nie myślał głośno - przerwał mu Braintree. - Nie ma nic gorszego od introspektywnego pijaka.

- Cytowałem pierwszą linijkę Testamentu piękności Roberta Bridgesa - wyjaśnił Wilt. - Zresztą nieważne. Poza tym może i jestem introspektywny, ale nie pijany. Po prostu trochę się wstawiłem. Gdybyś miał za sobą taki dzień jak ja, a przed sobą perspektywę pójścia do łóżka z Evą, która jest akurat w złym humorze, też byś szukał zapomnienia w piwie. A do tego wszystkiego świadomość, że dziesięć stóp nad moją głową, oddzielona tylko sufitem, jednym piętrem i jakąś matą wyciszającą, będzie leżała najpiękniejsza, najinteligentniejsza, pełna życia i wrażliwości istota...

- Jeśli jeszcze raz wypowiesz słowo "muza", Henry... - zaczął Braintree z pogroźką w głosie.

- Nie zamierzam - odparł Wilt. - Nie będę profanował takiego słowa. Patrz, to się rymuje. Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że angielski świetnie się nadaje do poezji rymowanej?

Rozprawiając na ten znacznie przyjemniejszy temat, wypili jeszcze kilka pi w. Kiedy wyszli z "Dmuchacza Szkła", Braintree był zbyt pijany, żeby sięgnąć za kierownicą.

- Zostawię samochód tutaj i ściągnę go rano - powiedział do Wilta, który podpierał słup telegraficzny. - A na twoim miejscu zadzwoniłbym po taksówkę. Nie jesteś w stanie iść.

- Poobcuję sobie z naturą - odrzekł Wilt. - Nie mam zamiaru przyspieszać powrotu do Rzeczywistości. Jeśli dopisze mi szczęście, będzie już spała, kiedy przyjdę.

I chwiejnym krokiem ruszył w stronę Willington Road. Po drodze od czasu do czasu przystawał, aby dla odzyskania równowagi oprzeć się o jakiś słupek, a dwukrotnie, aby nasiusiać do cudzego ogrodu. Za drugim razem wziął krzak dzikiej róży za hortensję, pokaleczył się dość paskudnie i siedział właśnie na brzegu trawnika, usiłując zrobić z chusteczki do nosa opaskę uciskową, gdy obok zatrzymał się samochód policyjny. Wilt zmrugał oczy od światła latarki, która błysnęła mu w twarz, a potem powędrowała niżej, na poplamioną krwią chusteczkę.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał ktoś zza latarki, na gust Wilta trochę zbyt natarczywie.

- A czy robię takie wrażenie? - odparł zaczepnym tonem. - Widział pan faceta, który siedzi na jakimś pieprzonym krawężniku, obwiązując chusteczką do nosa szczątki swej dumnej niegdyś męskości, i zadaje pan tak cholernie głupie pytanie?

- Na pana miejscu bym nie przeklinał - poradził policjant. - Prawo zabrania używania wulgarnego języka na drodze publicznej.

- Powinno zabronić sadzenia kurewskich krzaków róży przy publicznym chodniku - warknął Wilt.

- Wolno spytać, co pan robił z tą różą?

- Stróż prawa ma chyba obowiązek orientować się, co wolno, a czego nie.

- Więc będzie mi pan łaskaw o tym opowiedzieć - rzekł policjant, wyjmując notatnik.

Wilt opowiedział, tak barwnie i głośno, że w kilku pobliskich domach zapaliły się światła. Dziesięć minut później siedział już w komisariacie i słuchał, jak policjant składa raport oficerowi dyżurnemu.

- Będąc w stanie nietrzeźwym, obrażał moralność, zakłócał spokój i naruszał bez...

- Jaki znowu bez? - wtrącił się Wilt podniesionym głosem. - To nie był żaden bez. Bez rośnie w naszym ogrodzie i nie ma kolców długości stopy. A poza tym wcale ścierwa nie naruszałem. Trzeba samemu przeżyć częściowe obrzezanie pieprzonym kolczastym zielskiem, żeby wiedzieć, kto kogo narusza. Ja tylko załatwiałem intymną potrzebę, czyli mówiąc prościej - spokojnie się odlewałem, kiedy temu diabelskiemu gąszczowi pnących kocich pazurów strzeliło do kapuścianego łba, żeby mi jeszcze dolać, a jeśli nie wierzycie, wróćcie tam i sami spróbujcie.

- Zaprowadźcie go do aresztu - polecił oficer dyżurny, nie chcąc, aby Wilt speszył starszą panią, która przysłała zgłosić zaginięcie swojego pekińczyka. Zanim jednak dwóm posterunkowym udało się zaciągnąć Wilta do celi, w gabinecie inspektora Flinta rozległ się krzyk. Inspektor został wezwany do komisariatu z powodu ujęcia od dawna poszukiwanego włamywacza i właśnie go z lubością przesłuchiwał, gdy usłyszał znajomy głos. Wypadł z gabinetu i spojrzał wściekle na Wilta.

- Co on tu, do cholery, robi? - zapytał.

- No więc, sir... - zaczął jeden z policjantów, ale w tym momencie Wilt mu się wyrwał.

- Zdaniem pańskich półgłówek usiłowałem zgwałcić krzak dzikiej róży. Moim zdaniem spokojnie sobie sikałem...

- Wilt! - wrzasnął inspektor. - Jeśli przyszedłeś tutaj, żeby mi znowu zatruwać życie, zapomnij o tym. A wy dwaj dokładnie się temu draniowi przyjrzyjcie i dokładnie sobie zapamiętajcie, że jeśli nie przyłapiecie go na mordowaniu kogoś, a i wtedy lepiej poczekajcie, aż skończy, nie wolno wam tknąć bydlaka palcem. Zabierzcie go stąd.

- Ale, sir...

- Powiedziałem "zabierzcie"! - krzyknął Flint. - Chyba słyszeliście wyraźnie. Ta kreatura, którą tu przyprowadziliście, to ludzki wirus zakaźnego obłędu. Zabierzcie go stąd, zanim zrobi z posterunku dom wariatów.

- Co za bezczelność - zaprotestował Wilt. - Ciągnie się mnie tutaj pod wyssanym z palca pretekstem, a potem...

Wywleczono go z komisariatu, a inspektor Flint poszedł do siebie, gorączkowo rozmyślając. Wizja tamtej cholernej lalki wciąż nie dawała mu spokoju i wiedział, że nigdy nie zapomni godzin spędzonych na przesłuchiwanie sukinsyna. I jeszcze pani Eva Wilt! Podczas gdy przypuszczał, że jej ciało spoczywa pod trzydziestoma tonami betonu, ta wstrętna baba pływała po rzece łodzią motorową. Przez Wiltów wyszedł na idiotę i do tej pory w kantine krążyły dowcipy o nadmuchiwanym lalkach. Pewnego pięknego dnia zemści się za to. Tak, pewnego pięknego dnia. Wrócił do włamywacza z poczuciem, że odnalazł cel w życiu.

7

Wilt siedział na progu domu przy Willington Road, patrzył w chmury i rozmyślał o miłości, życiu oraz o tym, jak różne wrażenie robi na różnych ludziach. Jak nazwał go Flint? Zakaźny wirus... ludzki wirus zakaźnego... To ostatnie słowo przypomniało mu o własnych obrażeniach.

- Mogę dostać teżca albo czegoś takiego - mruknął i zaczął gmerać po kieszeniach w poszukiwaniu klucza.

Gdy dziesięć minut później, nadal w marynarce, ale bez spodni i gatek, moczył swą męskość w kubeczku do mycia zębów napełnionym wodą ze środkiem dezynfekcyjnym, do łazienki weszła Eva.

- Czy ty masz pojęcie, która godzina? Jest... Urwała, spojrzawszy z odrazą na kubeczek.

- Trzecia rano - dokończył Wilt, usiłując podtrzymać mniej kontrowersyjny temat rozmowy.

Eva jednak przestała się już interesować czasem.

- Co ty, do licha, wyprawiasz? - wykrztusiła.

Wilt popatrzył po sobie.

- Cóż, skoro koniecznie musisz wiedzieć... Mimo że poszlaki przemawiają przeciwko mnie... No więc, próbuję się zdezynfekować. Widzisz...

- Zdezynfekować się?

- Tak - potwierdził Wilt, świadom, że w tym wyjaśnieniu kryje się element dwuznaczności. - Widzisz, wsadziłem interes w...

- ...mój kubek do mycia zębów! - krzyknęła Eva. - Widzę, nie jestem ślepa. Stoisz z interesem w moim kubeczku i przyznajesz się, że się dezynfekujesz? Kim była ta kobieta? A może nie zawracałeś sobie głowy pytaniem jej o imię?

- To nie była kobieta.

- Zresztą nie mów. Nie chcę wiedzieć. Mavis miała co do ciebie rację. Jesteś wiecznie zmęczony wcale nie dlatego, że wracasz do domu na piechotę. Spędzasz wieczory z inną kobietą.

- To nie była inna kobieta.

- Nie kłam. I pomyśleć, że po tylu latach małżeństwa zaczynasz odwiedzać prostytutki i dziwki...

- To nie była dziwka - przerwał Evie Wilt. - Nie powiem, była ostra, ale...

- I na dodatek się wypierasz.

- Niczego się nie wypieram. Wpakowałem się na dziką różę.

- Więc tak się teraz mówi? Dzikie róże?

Eva popatrzyła na Wilta z jeszcze większym obrzydzeniem.

- O ile mi wiadomo, zawsze się tak mówiło - odparł, nie zdając sobie sprawy, że powzięła nowe podejrzenie. - Nie mam pojęcia, jak można mówić inaczej.

- Pedał? Geje? Co powiesz na to?

- Co takiego? - krzyknął Wilt, ale Eva nie dała się uciszyć.

- Zawsze wiedziałam, że coś jest z tobą nie w porządku - wrzasnęła. - Teraz już wiem co. I pomyśleć, że wracasz do domu i dezynfekujesz się w moim kubeczku do mycia zębów. Aż tak nisko upadłeś?

- Posłuchaj - odezwał się Wilt, uświadomiwszy sobie nagle, że przerażające insynuacje Ewy mogą docierać do uszu jego Muzy. - Udowodnię ci, że to była dzika róża. Jeśli nie wierzysz, popatrz.

Eva jednak nie chciała patrzeć.

- Niech ci się nie wydaje, że zostaniesz pod moim dachem choć jedną noc dłużej! - zawołała już z korytarza. - Nie ma mowy! Zabieraj się do swojego chłopaka!

- Starczy tego dobrego! - ryknął Wilt, wybiegając za nią, i zatrzymał się raptownie na widok Penelope, która stała w korytarzu z wybałuszonymi oczami.

- Cholera - mruknął i wycofał się do łazienki. Słyszał, jak na zewnątrz Penelope płacze, a Eva histerycznie ją uspokaja. Drzwi sypialni otworzyły się i zamknęły. Usiadł na brzegu wanny i zaklął. Potem wylał zawartość kubeczka do klozetu i wytarłszy się z roztargnieniem ręcznikiem, zalepił skaleczenie plastrem. Na koniec wycisnął pastę na elektryczną szczoteczkę i właśnie skrzętnie czyścił sobie zęby, gdy drzwi sypialni otwarły się ponownie i wypadła z nich Eva.

- Henry Wilcie, jeśli używasz tej szczoteczki do...

- Dość tego! - wrzasnęła Wilt. - Robi mi się niedobrze od twoich obrzydliwych insynuacji. Miałem długi i męczący dzień i...

- Wierzę! - krzyknęła Eva.

- Skoro koniecznie musisz wiedzieć, po prostu myję zęby przed pójściem spać, i jeśli myślisz, że robię coś innego...

Szczoteczka wyskoczyła z uchwytu i wpadła do umywalki.

- A co robisz teraz? - zapytała Eva.

- Próbuję wyjąć szczoteczkę z dziury - odparł Wilt, lecz to wyjaśnienie pociągnęło za sobą dalsze oskarżenia, krótkie, acz nieprzyjemne spotkanie u szczytu schodów, a na koniec wypchnięcie utyskującego Willa przez kuchenne drzwi, ze śpiworem i słowami, że ma spędzić resztę nocy w altanie.

- Nie pozwolę, żebyś deprawował moje maleństwa! - zawołała za nim Eva. - A jutro pójde do adwokata.

- Gównu mnie to obchodzi - odkrzyknął Wilt i ruszył zygzakiem przez ogród.

Dotarłszy do altany, przez chwilę usiłował wymacać po ciemku suwak, którego śpiwór najwyraźniej nie miał. W końcu usiadł i włożywszy nogi do środka, zsuwał się właśnie w dół, gdy usłyszał jakiś dźwięk dobiegający zza altany. Ktoś szedł przez sad od strony pola. Will zamarł w ciemnościach i zaczął nasłuchiwać. Nie było żadnej wątpliwości. Szelest trawy, trzask łamanej

gałązki. Potem cisza. Wyrzął przez okno i w tym samym momencie w sypialni zgasło światło. Eva wróciła do łóżka. Znow rozległ się odgłos ostrożnych kroków. Wyobraźnia podsuwała już Willowi obrazy włamywaczy i ewentualnej próby rozprawienia się z nimi. Nagle zobaczył luz za oknem ciemną sylwetkę. Prawie od razu dołączyła do niej druga postać. Skulił się jeszcze bardziej, klnąc Evę, przez którą był bez spodni.

Chwilę polem jego obawy pierzchły. Dwie osoby szły pewnie przez trawnik i jedna z nich odezwała się po niemiecku. Głos należał do Irmgard i uspokoił Wilta. Gdy postaci zniknęły za węglem, wsunął się do śpiwora z nieco pocieszającą myślą, że przynajmniej jego Muzie oszczędzony został wgląd w niektóre aspekty angielskiego życia rodzinnego. Ale co Irmgard robi o tej porze poza domem i kim jest ta druga osoba? Wilta zalała fala zazdrości. Wkrótce jednak wyparły ją rozważania praktyczniejszej natury. Podłoga altany była twarda, nie miał poduszki i nagle zrobiło się zimno. Prędkiej go szlag trafi, niż spędzi resztę nocy na dworze. W kieszeni marynarki nadal ma klucze. Wypełzył ze śpiwora i znalazł po omacku buty. Potem, ciągnąc śpiwór za sobą, przeciął trawnik i okrążywszy dom, stanął pod frontowymi drzwiami. Po wejściu do środka zdjął buty, poszedł do salonu i dziesięć minut później spał już głęboko na sofie.

Gdy się obudził, Eva miotła się po kuchni, a czworaczki, siedzące zapewne przy stole, omawiały nocne wydarzenia. Wilt wbił wzrok w zasłony i zaczął się przysłuchiwać niewyraźnym pytaniom córek oraz wymijającym odpowiedziom Evy, która jak zwykle ubierała wierutne kłamstwa w ckliwy infantylizm.

- Tatusz źle się czuł w nocy, kochanie - usłyszał. - Wzdęło mu brzuszek, a kiedy tak mu się robi, mówi różne głupstwa... Tak, mamusia też mówiła głupstwa, kurczaczku. Byłam... Co powiedziałaś, Samantha?... Ja tak powiedziałam?... Tatusz nie mógł go mieć w kubeczku do mycia zębów. Brzuszek nie zmieściłby się w czymś tak małym... Brzuszek, kochanie... Nic innego nie może się wzdąć... Gdzie się nauczyłaś tego słowa, Samantha?... Nie, to nieprawda, i jeśli w przedszkolu powiesz pannie Oates, że tatuś miał...

Wilt schował głowę pod poduszkę, żeby nie słyszeć dalszego ciągu rozmowy. Ta cholerna kobieta znow to robi, znow okłamuje cztery diabelskie dziewczuchy, które tyle czasu poświęcają oszukiwaniu siebie nawzajem, że potrafią wyczuć kłamstwo na milę. A gędzenie o pannie Oates ma je skłonić do rywalizacji o to, która pierwsza powie tej starej wiedźmie i dwudziestu pięciu gówniarzom, że tatuś spędził noc z penisem w kubku do mycia zębów. Kiedy ta historia się rozejdzie, wszyscy uznają, że osławiony Wilt jest fetyszystą.

Przeklinał właśnie Evę za głupotę, a siebie za brak umiaru w picciu, gdy dały o sobie znać konsekwencje tego ostatniego faktu. Chciało mu się siusiu, i to bardzo. Wygramolił się ze śpiwora.

Słyszał, jak na korytarzu Eva pospiesznie wpycha czworaczki w kurteczki. Oczekawszy, aż zanikną się za nimi drzwi, pokuśtykał do ubikacji na dole. Dopiero tam wyszedł na jaw cały ogrom nieszczęścia. Wilt utkwiał wzrok w dużym i wyjątkowo dobrze przylepionym kawałku plastra.

- Cholera - mruknął. - Musiałem być bardziej pijany, niż myślałem. Kiedy ja to, do cholery, zrobiłem?

Miał lukę w pamięci. Usiadł na sedesie i zaczął się zastanawiać, jak, do licha, odkleić draństwo, nie robiąc sobie przy tym krzywdy. Z jego dotychczasowych doświadczeń wynikało, że najlepiej jest odrywać plaster jednym szybkim ruchem. Tym razem jednak nie wydawało się to rozsądne.

- Mógłbym go oderwać razem ze wszystkim - wymamrotał.

Najbezpieczniej byłoby użyć nożyczek. Wychylił się ostrożnie z ubikacji i popatrzył w górę ponad poręczą schodów. Byle tylko nie spotkać schodzącej z poddasza Irmgard. Zważywszy jednak na to, o której godzinie poszła spać, było to bardzo mało prawdopodobne. Pewnie jest jeszcze w łóżku z jakimś wstępnym chłopakiem. Wilt pokuśtykał do sypialni. Eva trzymała nożyczki w szufladzie toaletki. Znalazł je i siedział właśnie na brzegu łóżka, gdy Eva wróciła. Weszła na piętro, przystanąła na chwilę na podeście, a potem otworzyła drzwi sypialni.

- Tak myślałam, że cię tu zastanę - oznajmiła, podchodząc do okna. - Wiedziałam, że wślizgniesz się do domu, gdy tylko spuszczę cię z oka. Niech ci się nie zdaje, że się wywiniesz. Mam swój rozum.

- Jaki rozum? - zapytał Wilt.

- Proszę bardzo! Obrażaj mnie - powiedziała Eva, rozsuwając zasłony.

Słońce zalało pokój.

- Nie obrażam cię - warknął Wilt. - Po prostu zadaję ci pytanie. Skoro nie mogę ci wbić do tej pustej głowy, że nie jestem jakimś cholernym maniakałnym zbrodniarzem...

- Język, język - przerwała mu Eva.

- Właśnie, język. To środek porozumiewania się, a nie ciąg ryków, beków i pogruchiwań, jakimi się posługujesz.

Eva już go jednak nie słuchała. Jej uwagę przykuły nożycy.

- Masz rację. Odetnij sobie to paskudztwo - pisnęła, wybuchając jednocześnie płaczem. - I pomyśleć, że poszedłeś...

- Zamknij się! - wrzasnął Wilt. - Grozi mi, że się zaraz rozpęknię, a ty zaczynasz wyć jak dusza potępiona. Gdybyś w nocy ruszyła głową zamiast zbroczoną wyobraźnią, nie byłbym teraz w takim stanie.

- W jakim stanie? - zapytała Eva wśród łkań.

- W takim! - krzyknął Wilt, machając swym obolałym organem.

Eva popatrzyła na niego z ciekawością.

- Po co to zrobiłeś?

- Żeby powstrzymać krwawienie. Sto razy ci powiedziałem, że wpakowałem się na krzak dzikiej róży, ale ty musiałaś dojść do idiotycznych wniosków. Nie mogę zdjąć tego cholernego plastra, a w środku czuję napór galonu piwa.

- Więc nie kłamałeś?

- Oczywiście, że nie. Przez całe życie mówię prawdę i tylko prawdę, a nikt mi nie wierzy. Siusiałem przy krzaku róży i zahaczyłem o te pieprzone kolce. To jest szczerza, nie upiększona, nie ubarwiona i najprawdziwsza prawda.

- I chcesz zdjąć ten plaster?

- A o czym, do diabła, mówię od pięciu minut? Nie tylko chcę. Muszę go zdjąć, bo inaczej pęknię.

- To łatwe - stwierdziła Eva. - Trzeba tylko...

Dwadzieścia pięć minut później blady, obolały i okropnie speszony Wilt wkuśtykał do izby przyjęć ipfordzkiego szpitala. Dotarłszy do okienka, popatrzył na rejestratorkę, której spojrzenie niezbitnie dowodziło braku współczucia i wyobraźni.

- Chciałbym się widzieć z lekarzem - wydusił z siebie.

- Złamanie? - zapytała kobieta.

- Coś w tym rodzaju - odparł Wilt, świadom, że rozmowie przysłuchuje się kilkunastu pacjentów z bardziej widocznymi, lecz mniej krępującymi obrażeniami.

- Co pan przez to rozumie?

Wilt utkwiał wzrok w rejestratorce, próbując przekazać jej bez słów, że w jego przypadku konieczna jest dyskrecja. Kobieta była najwyraźniej wyjątkowo tępa.

- Jeśli nie jest to złamanie, rana wymagająca natychmiastowej pomocy lekarskiej lub ostre zatrucie pokarmowe, powinien się pan udać do przychodni rejonowej.

Wilt rozważył te trzy możliwości i zdecydował, że "rana wymagająca natychmiastowej pomocy lekarskiej" pasuje jak ulał.

- To rana - stwierdził.

- Gdzie? - ciągnęła indagację rejestratorka, wzięwszy do ręki długopis i bloczek formularzy.

- No więc... - zaczął Wilt głosem jeszcze bardziej ochrypłym niż poprzednio. Wyglądało na to, że połowa pacjentów przyprowadziła ze sobą żony albo matki.

- Pytałam "gdzie" - powtórzyła niecierpliwie kobieta.

- Słyszałem - wyszeptał Wilt. - Chodzi o to, że...

- Nie mam całego dnia.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekł Wilt. - Tylko że... no więc... Czy nie mógłbym wyjaśnić sytuacji bezpośrednio lekarzowi? Widzi pani...

Kobieta niczego nie widziała. Według Wilta była albo sadystką, albo osobą niedorozwiniętą umysłowo.

- Muszę wypełnić ten formularz i jeśli mi pan nie powie, gdzie jest rana... - Urwała i popatrzyła na Wilta podejrzliwie. - Wydawało mi się, że wspomniał pan o złamaniu. Teraz mówi pan, że to rana. Niech się pan lepiej zdecyduje. Nie mam całego dnia.

- Ja też nie - odburknął Wilt zirytowany tym powtórzeniem. - Ściśle biorąc, jeśli ktoś czegoś zaraz nie zrobi, mogę stracić przytomność na pani oczach.

Rejestratorka wzruszyła ramionami. Utrata przytomności na jej oczach była dla niej, widać, zjawiskiem codziennym.

- Muszę zaznaczyć w formularzu, czy chodzi o ranę czy o złamanie, oraz podać lokalizację obrażenia. Dopóki mi pan nie powie, co to jest i gdzie, nie mogę pana przyjąć.

Wilt obejrzał się przez ramię i już miał powiedzieć, że żona praktycznie oskalpowała mu członek, gdy pochwyił spojrzenie kilku niemłodych kobiet, które z uwagą przysłuchiwały się tej wymianie zdań. Pospieszenie zmienił więc taktykę.

- Trucizna - wymamrotał.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien - odparł Wilt. - Przecież to jaja zażyłem.

- Poprzednio twierdził pan, że ma złamanie i ranę. Teraz pan mówi, że zażył trucizny. I niech pan tak na mnie nie patrzy. Ja tylko robię, co do mnie należy.

- Jestem ciekaw, czy przy tempie, w jakim pani to robi, komukolwiek udaje się dostać do lekarza, zanim umrze - warknął Wilt i natychmiast tego pożałował. Rejestratorka patrzyła mu w oczy z jawną wrogością, a wyraz jej twarzy wskazywał, że właśnie odgadł, czego mu teraz najgorzej życzy.

- Proszę posłuchać - odezwał się, próbując babsztyla ułagodzić. - Przykro mi, jeżeli wydałem się pani rozdrażniony...

- Raczej grubiański.

- Niech pani będzie. Grubiański. Przepraszam. Ale gdyby połknęła pani truciznę, przewracając się, złamała sobie rękę i zraniła tylną część ciała, byłaby pani trochę zdenerwowana.

Chcąc uwiarygodnić tę serię katastrof, uniósł bezwładnie lewą rękę i podparł ją prawą. Kobieta przyjrzała się temu sceptycznie i ponownie ujęła długopis.

- Czy przyniósł pan ze sobą butelkę?

- Jaka butelkę'?

- Butelkę po truciznie, którą pan, jak twierdzi, zażył.

- Po co miałbym ją przynosić?

- Nie będziemy mogli panu pomóc, jeśli się nie dowiemy, jaka to trucizna.

- Na butelce nie było napisane jaka - odrzekł Wilt. - To była butelka od lemoniady. Wiem tylko tyle, że zawierała truciznę.

- Skąd?

- Co skąd?

- Skąd pan wie, że to była trucizna?

- Bo nie smakowała jak lemoniada - zawołał rozpaczliwie Wilt, świadom, że pogrąża się coraz głębiej w bagnie diagnostycznego chaosu.

- Jeśli coś nie smakuje jak lemoniada, nie musi być od razu trujące - stwierdziła rejestratorka z niezmordowaną logiką. - Wyłącznie lemoniada smakuje jak lemoniada. Nic więcej.

- Oczywiście. Ale ten płyn nie tylko nie smakował jak lemoniada. Miał smak śmiertelnej trucizny. Prawdopodobnie cyjanku.

- Nikt nie wie, jaki smak ma cyjanek - odparła kobieta, kontynuując atak na linie obronne Wilta. - Zgon następuje momentalnie.

Wilt rzucił jej ponure spojrzenie.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Mniejsza o truciznę. Mam jeszcze złamaną rękę i ranę wymagającą natychmiastowej pomocy medycznej. Żądam widzenia z lekarzem.

- Musi pan poczekać na swoją kolej. Gdzie pan mówił, że jest ta rana?

- Na pośladku - powiedział Wilt i przez najbliższą godzinę gorzko tego żałował.

Nie mógł czekać na siedząco, bo zaprzeczyłby własnym słowom, a rejestratorka nie przestawała mu się przyglądać z mieszaniną jawnej podejrzliwości i wstrętu. Aby uniknąć jej wzroku, usiłował czytać gazetę, zaglądając przez ramię jakiemś mężczyźnie, który miał szczęście zranić sobie tylko kciuk. Wilt patrzył na niego z zazdrością i nie po raz pierwszy rozmyślał o przewrotności losu, sprawiającej, że nikt mu nigdy nie wierzy.

Nie było to takie proste, jak sugerował Byron swoim: "Prawda jest bardziej niezwykła niż zmyślenie". Z doświadczeń Wilta wynikało, że stopień nieakceptacji prawdy i zmyślenia jest taki

sam. Jakaś niejednoznaczność jego osobowości, być może zdolność dostrzegania wszystkich aspektów każdego zagadnienia, stwarzała wokół niego aurę nie szczerości i powodowała, że ludzie nie wierzyli w to, co mówił. Prawda, aby uzyskać aprobatę, musiała być prawdopodobna i wiarygodna oraz należeć do wygodnej kategorii przetrwanych wcześniej opinii. Jeśli nie dawała się nagiąć do oczekiwanego, nikt nie chciał w nią wierzyć. Tymczasem umysł Wilta nigdy się nie nagiął. Podążał za możliwościami, dokądkolwiek by go wiodły, po labiryntach rozmyślań wybiegających poza horyzonty większości ludzi. A z pewnością poza horyzont Ewy. Zresztą Eva nigdy o niczym nie rozmyślała. Przeskakiwała z poglądu na pogląd, pomijając pośrednie stadium wątpliwości, w którym Wilt żył stale. W jej świecie na każde pytanie istniała odpowiedź; w świecie Wilta istniało ich dziesięć, każda sprzeczna ze wszystkimi pozostałymi. Nawet teraz, w tej ponurej poczekalni, kiedy własne przypadłości powinny go pozbawić zainteresowania resztą rzeczywistości, gorączkowa inteligencja znalazła materiał do rozmyślań.

W gazecie nagłówek KATASTROFA NAFTOWA - MORSKIE PTACTWO W NIEBEZPIECZEŃSTWIE królował na stronie wypełnionej wyraźnie drugorzędnymi okropnościami. Wyraźnie drugorzędnymi, ponieważ zajmowały mało miejsca. Terrorysty dokonali kolejnego napadu na furgonetkę przewożącą pieniądze. Kierowcę zastraszono granatnikiem, a strażnika bestialsko zabito strzałem w głowę. Mordercy zbiegli z dwustu pięćdziesięcioma tysiącami funtów. Wszystko to było jednak mniej istotne niż kwestia mew zagrożonych wyciekiem ropy do morza. Wilt zwrócił uwagę na ten niuans i zaczął się zastanawiać, co czuje wdowa po zastrzelonym strażniku, widząc, że opinię publiczną bardziej niepokoi sytuacja morskiego ptactwa niż śmierć jej męża. Dlaczego we współczesnym świecie przyroda jest ważniejsza od pojedynczego człowieka? Może gatunek ludzki tak bardzo boi się zagłady, że nie dba już o los jednostek, zwiera kolektywne szeregi i w zderzeniu dwóch supertankowców czuje przedsmak własnego końca. Albo może...

Z zadumy wyrwał Wilta dźwięk jego nazwiska. Podniósłszy wzrok znad gazety, napotkał spojrzenie jakiejś pielęgniarki o końskiej twarzy, rozmawiającej z rejestratorką. Po chwili pielęgniarka zniknęła, a do rejestratorki zbliżył się starszy - i sądząc po świetle złożonej z młodego lekarza, siostry i dwóch pielęgniarzy - najwidoczniej ważny specjalista. Przystudiował rejestr obrażeń przyglądającego mu się z nieszczęśliwą miną Wilta, popatrzył na niego ponad okularami jak na jakiś lichy okaz przyrodniczy, skinął głową jednemu z członków swojej asysty i uśmiechając się sardonicznie, odszedł.

- Proszę pana! - zawołał młody lekarz.

Wilt ostrożnie postąpił krok naprzód.

- Będzie pan łaskaw przejść do kabiny i tam zaczekać.

- Przepraszam, panie doktorze - odezwał się Wilt. - Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów na osobności?

- Zamienimy kilka słów na osobności we właściwym czasie, a teraz, jeżeli nie ma pan nic lepszego do roboty, proszę przejść do kabiny.

Lekarz odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem. Wilt chciał pokuśtykać za nim, ale zatrzymała go rejestratorka.

- Kabiny są tam - oznajmiła, wskazując parawany stojące na końcu innego korytarza.

Wilt wykrzywił się do niej i poszedł do kabiny.

Na Willington Road Eva rozmawiała przez telefon. Najpierw zadzwoniła do college'u, aby powiedzieć, że choroba zatrzymuje Willa w domu, a teraz konferowała z Mavis Mottram.

- Nie wiem, co o tym myśleć - poskarżyła się z przygnębieniem w głosie. - Brzmiało to tak nieprawdopodobnie, ale kiedy się przekonałam, że rzeczywiście jest pokaleczony, poczułam się okropnie.

- Evo, kochanie - odparła Mavis, która dokładnie wiedziała, co o tym myśleć. - Zawsze jesteś gotowa brać winę na siebie, a on oczywiście to wykorzystuje. Ta historia z lalką powinna być dla ciebie sygnałem, że Henry jest dziwny.

- Nie chcę do tego wracać - westchnęła Eva. - To było dawno i Henry od tamtej pory się zmienił.

- Mężczyźni nie zmieniają się w sposób zasadniczy, a Henry wszedł w niebezpieczny wiek. Ostrzegałam cię, kiedy uparłaś się przyjąć tę niemiecką pomoc domową.

- To jeszcze inna sprawa. Ona nie jest pomocą domową. Płaci mi za mieszkanie więcej, niż żądałam, ale nie chce pomagać w gospodarstwie. Zapisła się do college'u na kurs dla cudzoziemców, a angielskim włada doskonale.

- A co ci mówiłam, Evo? Kiedy przyszła wynająć poddasze, ani słowem nie wspomniała o college'u, prawda?

- Tak - potwierdziła Eva.

- Nie dziwiłabym się, gdyby się okazało, że Henry znał ją wcześniej i szepnął jej, że szukasz lokatorki.

- To niemożliwe. Kiedy się o wszystkim dowiedział, wyglądał na bardzo zdziwionego i rozgniewanego.

- Moja droga, przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale ty zawsze patrzysz na Henry'ego z dobrej strony. Mógł po prostu udawać zdziwionego i rozgniewanego. Doskonale wie, jak tobą manipulować. Gdyby robił wrażenie zadowolonego, zorientowałabyś się, że coś jest nie w porządku.

- Tak przypuszczam - odrzekła Eva z powątpiewaniem.

- A co do tego, że znał ją wcześniej - ciągnęła Mavis, traktując Willa jako cel zastępczy w wojnie przeciw Patrickowi - to jeśli mnie pamięć nie myli, na początku wakacji spędzał dużo czasu w college'u, a właśnie wtedy są zapisy studentów zagranicznych.

- Henry nie ma nic wspólnego z tą sekcją. Zajmował się układaniem planu wykładów.

- Żeby poznać tę zdziwę, nie musiał należeć do żadnej sekcji. Kiedy ty sądziłaś, że zajmuje się planem wykładów, zajmował się w swoim gabinecie czymś zupełnie innym, i to nie sam.

Eva rozważyła tę możliwość i natychmiast ją odrzuciła.

- Henry nie jest taki, a poza tym zauważyłabym w nim zmianę.

- Moja droga, musisz sobie wreszcie zdać sprawę, że wszyscy mężczyźni są tacy. Ja zauważyłam zmianę w Patricku, kiedy było już za późno. Romansował ze swoją sekretarką przez ponad rok, zanim się o tym dowiedziałam, a i wówczas wpadłam na trop tylko dlatego, że wydmuchał nos w jej majtki.

- W co wydmuchał nos - spytał Eva, zaintrygowana bijącą z tego zdania niezwykłą perwersją.

- Miał okropny katar i pewnego dnia wyjął przy śniadaniu parę czerwonych majtek, po czym wydmuchał w nie nos - wyjaśniła Mavis. - Oczywiście wtedy się zorientowałam, co jest grane.

- Nie mogłaś się nic zorientować - przyznała Eva. - Co powiedział, kiedy go o to zapytałaś?

- O nic go nie pytałam. Oznajmiłam, mu, że jeśli mu się wydaje, że sprowokuje mnie do wystąpienia o rozwód, to grubo się myli, bo...

Mavis paplała dalej, Eva słuchała, a jej umysł powoli pracował. Coś wynurzało się ze wspomnienia ostatniej nocy. Coś związanego z Irmgard Muller. Po tej okropnej kłótni z Henrym nie mogła usnąć. Leżała w ciemnościach, zastanawiając się, dlaczego Henry poszedł na... Oczywiście teraz już wie, że nie poszedł, ale wów... Tak, to było to. Czas. O czwartej usłyszała, że ktoś bardzo cicho wchodzi po schodach, i pomyślała, że to na pewno Henry, ale wtedy zaskrzypiały stopnie prowadzące na poddasze i zrozumiała, że to Irmgard. Pamięta, jak spojrzała na fosforyzującą tarczę budzika i zobaczyła, że wskazówki są na czwórcę i dwunastce. Przez chwilę wydawało się jej, że jest dwadzieścia po dwunastej, ale przecież Henry wrócił o trzeciej i... Zapadła w sen z na wpół sformułowanym pytaniem w głowie. Teraz, mimo trajkotania Mavis, pytanie ułożyło się do końca. Czy Henry był gdzieś z Irmgard? To do niego niepodobne, żeby wracać do domu tak późno. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz to zrobił. A Irmgard z całą pewnością nie zachowuje się jak pomoc domowa. Zresztą jest na nią za stara i ma za dużo pieniędzy.

Mavis Mottram przerwała ten powolny tok myśli, wypowiadając wniosek, ku któremu Eva zmierzała.

- Na twoim miejscu miałabym oko na tę Niemkę - stwierdziła. - I radziłabym ci się jej pozbyć z końcem miesiąca.

- Tak - odparła Eva. - Tak, pomyślę tym, Mavis. Dziękuję ci za życzliwość.

Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na rosnący za oknem sypialni buk. Właśnie ze względu na niego ten dom jej się spodobał. Czerwony buk od frontu, wielkie, mocne, dające poczucie bezpieczeństwa drzewo, z korzeniami sięgającymi tak głęboko, jak szeroko rozpościerały się jego gałęzie. Czytała gdzieś o tym i ta równowaga między gałęziami szukającymi światła a korzeniami

szukającymi wody wydała się jej czymś tak zdrowym, tak w jakiś sposób organicznym, jakby wyrażała to, czego ona sama chciała od domu i co mogła mu dać w zamian.

Również i dom wyglądał na odpowiedni. Duży, z wysokimi sufitami i grubymi ścianami, z ogrodem i sadem, dom, w którym czworaczki mogłyby dorastać szczęśliwie, bardziej odizolowane od niepokojącej rzeczywistości, niż to było możliwe na Parkview Avenue. Henry nie chciał się jednak przeprowadzić. Musiała go do tego zmusić i nigdy nie uległ ani zewowi oswojonej dzikości sadu, ani poczuciu towarzyskiej nietykalności, które ona znalazła w tym domu i na Willington Road. Nie, żeby Eva była snobką. Po prostu nie lubiła, jak patrzono na nią z góry, a teraz już nikt nie mógł tego robić. Nawet Mavis przestała ją traktować protekcyjnie. Nigdy by jej nie opowiedziała tej historii o Patricku i majtkach, gdyby nadal mieszkali dwie ulice od siebie. Zresztą Mavis jest dziwką. Zawsze obmawia Patricka: o ile on zdradza ją fizycznie, o tyle ona jest nielojalna duchem. Henry powiedział kiedyś, że Mavis cudzołoży, plotkując, i coś w tym było. Było jednak również coś w tym, co Mavis powiedziała o Irmgard. Będzie miała na nią oko. Emanował z niej dziwny chłód. I do czego zmierzała, gdy mówiła, że pomoże w gospodarstwie, a potem nagle zapisała się do college'u?

Z niezwykłym u niej przygnębieniem Eva zrobiła sobie kawę, po czym wypastowała podłogę w korytarzu, wyczyściła odkurzaczem dywan na schodach, posprzątała w salonie, nastawiła pranie, wyszorowała brzeg organicznej toalety i uporała się ze wszystkimi innymi pracami domowymi, z którymi trzeba się było uporać przed pójściem do przedszkola po czworaczki. Właśnie skończyła i czesała się w sypialni, gdy usłyszała, że frontowe drzwi otwierają się i zamykają, a po chwili ktoś wstępuje na schody. Nie mógł to być Henry. Nigdy nie wchodził na górę po dwa stopnie, a z ptaszkiem w bandażach prawdopodobnie nie wszedłby wcale. Eva przecięła sypialnię i wyjrzawszy przez drzwi, zobaczyła na podeście schodów speszonego młodego człowieka.

- Co pan tu robi'. - zapytała nieco przestraszonym tonem.

Młody człowiek podniósł ręce do góry.

- Jestem tutaj za zgodą panny Muller. Pożyczyła mi klucz - odezwał się z silnym cudzoziemskim akcentem i pokazał klucz jako dowód.

- Nie miała prawa - stwierdziła Eva, zła na siebie za to, że tak się zlekła. - Nie chcę, żeby obcy ludzie wchodzili do mojego domu bez pukania.

- Oczywiście - odparł młody człowiek. - Rozumiem panią. Ale panna Muller pozwoliła mi się uczyć u siebie. Tam, gdzie mieszkam, jest za dużo hałasu.

- Dobrze, może się pan tu uczyć, ale ja też nie życzę sobie żadnego hałasu - powiedziała Eva.

Młody człowiek poszedł wąskimi schodami na poddasze, a Eva j wróciła do sypialni i dokończyła toaletę w niespodziewanie lepszym nastroju. Skoro Irmgard zaprasza do siebie przystojnych młodych ludzi, nie może interesować się Henrym. A ten młody człowiek był; zdecydowanie przystojny. Z westchnieniem łączącym w sobie żal, że sama nie jest młodsza i atrakcyjniejsza, oraz ulgę, że jej małżeństwu nic nie grozi, zesłała na dół.

8

Nieobecność Wilta na cotygodniowym zebraniu kierowników sekcji wywołała mieszane reakcje. Dyrektor był bardzo poruszony.

- Na co? - zapytał sekretarkę, która przekazała mu odebraną od Ewy informację, że Wilt jest chory.

- Nie wyraziła się jasno. Powiedziała tylko, że przez kilka dni będzie niezdolny do pracy.

- Szkoda, że nie przez kilka lat - mruknął dyrektor i wrócił do porządku zebrania. - Niewątpliwie do wszystkich państwa dotarła alarmująca wiadomość o... hmm... filmie nakręconym przez wykładowcę z Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących - oznajmił. - Nie wydaje mi się, aby roztrząsanie tej sprawy mogło przynieść college'owi jakkolwiek korzyść.

Powiódł ponurym wzrokiem po sali. Jedyne doktor Board robił wrażenie skłonnego do sprzeciwu.

- Nie zdołałem się zorientować, czy krokodyl był samcem czy samicą - powiedział.

Dyrektor popatrzył na niego z odrazą.

- W rzeczywistości był to krokodyl zabawka. O ile mi wiadomo, w ich wypadku nie ma widocznej różnicy płci.

- Przypuszczam, że nie - odparł doktor Board. - Powstaje jednak interesująca kwestia...
- ...której, jestem pewien, reszta z nas wolałaby nie poruszać - stwierdził dyrektor.
- Zgodnie z dewizą: "Nie wywołuj krokodyla z lasu"? - zapytał Board. - Za nic w świecie nie potrafię jednak zrozumieć, jak udało się zmusić gwiazdę tego filmu do...

- Panie doktorze - przerwał mu dyrektor z podejrzaną cierpliwością. - Zebraliśmy się tutaj, aby omawiać problemy naukowo-dydaktyczne, a nie aberracje seksualne wykładowców z Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących.

- Brawo! - zawołała kierowniczka Gastronomii. - Kiedy pomyślę, że moje dziewczęta są narażone na wpływ takich obrzydliwych zбочeńców, mogę tylko powiedzieć, że według mnie powinniśmy się bardzo poważnie zastanowić, czy całej tej sekcji nie zlikwidować.

Rozległ się ogólny szmer aprobaty. Doktor Board stanowił wyjątek.

- Nie pojmuję, dlaczego mielibyśmy obciążać Przedmioty Ogólnokształcące odpowiedzialnością zbiorową - zauważył. - A przyjrząwszy się niektórym spośród pani dziewcząt, powiedziałbym, że...

- Niech pan nie mówi - wtrącił się dyrektor.

Głos zabrał doktor Mayfield.

- Ten godny pożałowania incydent jedynie utwierdza mnie w przekonaniu, że powinniśmy rozszerzyć zakres naszego programu naukowego i włączyć do niego przedmiot o większym ładunku intelektualnym.

Przynajmniej raz doktor Board się z nim zgodził.

- Sądzę, że moglibyśmy zorganizować kurs wieczorowy pod nazwą "Sodomia z gadami" - podsunął. - Chociaż groziłoby to chyba skutkami ubocznymi, jeśli używam właściwego wyrażenia, w postaci przyciągnięcia pewnej liczby krokodylofilii. Ale bardziej teoretyczne zajęcia z "Roli krokodyla w dziejach" miałyby niewątpliwie walor uniwersalny. Czy powiedziałem coś nie tak, panie dyrektorze?

Dyrektor zaniemówił i ciężar prowadzenia zebrania wziął na siebie wicedyrektor.

- Przede wszystkim należy dopilnować, by ta godna ubolewania historia nie dostała się do wiadomości publicznej.

- Zważywszy na to, że zdarzyła się na Nott Road...

- Zamknijcie się, Board - krzyknął dyrektor. - Nie zniosę już dłużej pańskich piekielnych dygresji. Jeszcze słowo, a zażadam usunięcia pana z Rady Szkolnej albo sam złożę rezygnację. Jeśli będzie trzeba, zrobię i jedno, i drugie. Ma pan wybór. Niech pan się zamknie albo wynosi.

Doktor Board się zamknął.

Leżąc na kozetce w izbie przyjęć, Wilt dochodził do przekonania, że nie ma wyboru. Doktorowi, który w końcu przyszedł do kabiny, aby się nim zająć, towarzyszyła postawna siostra i dwóch pielęgniarzy. Wilt rzucił lekarzowi nienawistne spojrzenie.

- Nie spieszyło się panu - mruknął. - Leżę tu od godziny, zwijając się z bólu i...

- Więc bierzemy się do dzieła. Zacniemy od trucizny. Płukanie żołądka...

- Co takiego? - zapytał Wilt, z przerażeniem zrywając się z kozetki.

- To potrwa najwyżej minutę - ciągnął lekarz. - Proszę się położyć. Siostra wprowadzi sondę.

- Nie! Nie ma mowy! - zawołał Wilt i gdy pielęgniarka podeszła do niego z długą gumową rurką, rzucił się w kąt kabiny. - Nie zażyłem trucizny.

- W karcie rejestracyjnej jest napisane co innego - zauważył lekarz. - Przyjmuję, że nazywa się pan Henry Wilt.

- Tak - powiedział Wilt. - Ale nie powinien pan przyjmować, że przyjąłem truciznę. Zapewniam, że...

Uskoczył przed siostrą, ale dwaj pielęgniarze chwycili go od tyłu i pchnęli z powrotem na kozetkę.

- Przysięgam...

Sprzeciw zamarł na jego wargach, gdy zawisła nad nim rurka. Wilt utkwiał w lekarzu zabójczy wzrok. Miał wrażenie, że facet uśmiecha się w wyjątkowo sadystyczny sposób.

- A teraz zechce pan z nami współpracować.

- Nie zechcę - wymamrotał Wilt przez zaciśnięte zęby.

Stojąca za nim pielęgniarka czekała, przytrzymując mu głowę.

- Proszę pana - westchnął lekarz. - Przyszedł pan tu dziś rano i z własnej nieprzymuszonej woli oświadczył, że połknął truciznę, złamał sobie rękę oraz doznał obrażeń, które wymagają natychmiastowej pomocy lekarskiej. Czyż nie tak?

Wilt zastanowił się, jak ma odpowiedzieć. Wydawało się, że bezpieczniej będzie nie otwierać ust. Skinął głową, a potem spróbował nią potrząsnąć.

- Dziękuję, ale to jeszcze nie wszystko. Był pan, delikatnie mówiąc, nieuprzejmy w stosunku do pani rejestratorki.

- Nie byłem - zaprzeczył Wilt, by zaraz pożałować zarówno swej nieuprzejmości, jak i tej próby złożenia wyjaśnień.

Czyjeś ręce wykorzystywały ją, aby wepchnąć mu do ust sondę. Wilt przygryzł rurkę.

- Musimy ją wprowadzić przez lewe nozdrze - orzekł lekarz.

- Nie, do cholery, nie musicie! - wrzasnął Wilt, ale było już za późno. Rurka wślizgnęła mu się do nosa, sądząc z tego, co czuł, dotarła do gardła i jego protesty zakończył nieartykułowany bulgot. Wilt zaczął się wić.

- Dalsza część zabiegu może się panu wydać trochę nieprzyjemna - oznajmił lekarz z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

Wilt zmierzył go morderczym spojrzeniem i gdyby nie przeszkodziła mu rurka, oświadczyłby stanowczo, że już obecna część wydaje mu się okropna. Właśnie wyrażał mamrotliwy sprzeciw, gdy rozsunęła się kotara i do kabiny weszła rejestratorka.

- Pomyślałam, że może pani chcieć to zobaczyć - zwrócił się do niej lekarz. - Proszę zaczynać, siostrzo.

Siostra zaczęła, a Wilt milcząco przyrzekł sobie, że jeśli się przedtem nie udusi albo nie pęknie, zetrze uśmiech z sadystycznej twarzy lekarza, gdy tylko to upiorne doświadczenie się skończy. Kiedy się skończyło, był w takim stanie, że mógł co najwyżej słabo pojękiwać. Dopiero sugestia pielęgniarki, że może na wszelki wypadek powinni jeszcze zrobić pacjentowi lewatywę, dodała mu sił i wyjaśnił, o co chodzi.

- Przyszedłem tutaj, żeby opatrzone rai członek.

Lekarz spojrział w jego kartę.

- Nie ma tu najmniejszej wzmianki o pańskim członku - powiedział. - Jest wyraźnie napisane, że...

- Wiem, co tam jest napisane - pisał Wilt. - Wiem również, że gdyby pan wszedł do poczekalni pełnej mieszczańskich mamusiek z synkami o samobójczych skłonnościach do jazdy na deskorolce i musiał oznajmić tej wiedźmie na cały głos, że trzeba panu założyć szwy na chuja, niespecjalnie by się pan do tego kwapił.

- Nie mam zamiaru tu siać i wysłuchiwać, jak jakiś szaleniec nazywa mnie wiedźmą - stwierdziła rejestratorka.

- A ja nie miałem zamiaru stać tam i wykrzykiwać na cały świat, co się stało z moim członkiem. Chciałem się widzieć z lekarzem, ale mi pani nie pozwoliła. Może pani zaprzeczy?

- Zapytałam, czy złamał pan kończynę, doznał obrażeń, które wymagają...

- Słyszałem, o co mnie pani zapytywała! - wrzasnął Wilt. - Nie jestem głuchy. Mogę to powtórzyć słowo w słowo. Więc dla pani wiadomości ten członek nie jest kończyną, w każdym razie nie w moim wypadku. Sądzę, że zalicza się do kategorii przydatków, ale gdybym powiedział, że doznałem obrażeń przydatków, zapytałaby pani, których, gdzie, w jaki sposób, w jakich okolicznościach i z kim, a potem odesłała mnie do poradni "W" i...

- Proszę pana - przerwał Wiltowi lekarz. - Jesteśmy bardzo zajęci i skoro nie chce pan sprecyzować, co panu dolega...

- ...aby ulżyć moim cierpieniom, wpycha mi się w przełyk sondę żołądkową! - krzyknął Wilt. - A gdyby przyszedł tu jakiś głuchoniemy? Przypuszczam, że pozwolilibyście biedakowi umrzeć na podłodze poczekalni albo wycięlibyście mu migdałki, żeby na przyszłość mówił, o co chodzi. I to ma być służba zdrowia? Moim zdaniem to pieprzona biurokratyczna dyktatura.

- Mniejsza o pańskie zdanie. Jeśli naprawdę ma pan jakiś problem z penisem, jesteśmy gotowi mu się przyrzec.

- Ja nie - stwierdziła stanowczo rejestratorka i zniknęła za kotarą.

Wilt położył się na kozetce i zdjął gatki. Lekarz popatrzył na niego uważnie.

- Mógłby mi pan powiedzieć, czym jest owinięty?

- Zakrwawioną chusteczką do nosa - mruknął Wilt, rozwijając powoli prowizoryczny bandaż.

- Dobry Boże! - zawołał lekarz. - Teraz rozumiem, co miał pan namyśli, wspominając o przydatkach. Czy żądałbym zbyt wiele, gdybym poprosił o wyjaśnienie, w jaki sposób doprowadził pan swój członek do takiego stanu?

- Owszem - odrzekł Wilt. - Zdecydowanie zbyt wiele. Żadna z osób, którym do lej pory o tym mówiłem, nie uwierzyła mi, i wołałbym, żeby już nikt mnie nie piłował.

- Piłował? - powtórzył lekarz z namysłem. - Nie chce pan chyba powiedzieć, że te obrażenia powstały w wyniku użycia piły? Nie wiem, co pani o tym sądzi, siostró, ale stąd, gdzie stoję, wygląda to tak, jakby nasz przyjaciel utrzymywał dość intymne stosunki z maszynką do mięsa.

- Stąd, gdzie leżę, też tak to wygląda - odrzekł Wilt. - Jeśli ma to pomóc uciąć te kpiny, powiem panu, że w dużej mierze jest za ten stan odpowiedzialna moja żona.

- Pańska żona?

- Proszę posłuchać, panie doktorze - westchnął Wilt. - Jeżeli nie zrobi to panu różnicy, wołałbym nie wchodzić w szczegóły.

- Wcale się panu nie dziwię - stwierdził lekarz, myjąc ręce. - Gdyby moja żona zrobiła mi coś takiego, rozwiódłbym się z suką. Czy mieliście w tym czasie stosunek?

- Odmawiam odpowiedzi - mruknął Wilt zdecydowawszy, że milczenie będzie najlepszą taktyką. Lekarz wyciągnął własne upiorne wnioski, włożył gumowe rękawiczki i napełnił strzykawkę.

- Po tym, co pan przeszedł - powiedział, podchodząc do Wilta - to już wcale nie będzie bolało. Wilt ponownie zerwał się z kozetki.

- Chwileczkę! - krzyknął. - Jeśli pan sobie choć przez chwilę wyobrażał, że wbije mi to chirurgiczne żądło w intymne narządy, niech pan się jeszcze zastanowi. A to po co?

Wskazał na pielęgniarkę, która wzięła do ręki pojemnik z jakimś aerozolem.

- Łagodny środek dezynfekujący i zamrażający. Kiedy nim pana spryskamy, już nic więcej pan nie poczuje.

- Nic nie poczuję? Więc powiem panu, że chcę jeszcze coś czuć. Gdybym nie chciał, zostawiłbym sprawę własnemu biegowi i nie byłoby mnie tutaj. Co ona robi z tą brzytwą?

- Sterylizuje ją. Musimy pana ogolić.

- Musicie? Już to gdzieś słyszałem. A skoro mówimy o sterylizacji, chciałbym poznać pański pogląd na wazektomię.

- Zajmuję w tej kwestii stanowisko raczej naturalne - odparł lekarz.

- A ja nie - warknął Wilt z kąta. - Ja zajmuję stanowisko zdecydowanie stronnictwo, a mianowicie nieprzychylnie. Z czego się pani śmieje? - Muskularna pielęgniarka rzeczywiście się uśmiechała. - Nie jest chyba pani jakąś pieprzoną feministką?

- Jestem kobietą pracującą - odrzekła. - Moje poglądy polityczne są moją prywatną sprawą i nie mają tu nic do rzeczy.

- A ja jestem pracującym mężczyzną i ponieważ chcę nim pozostać, polityka ma tu coś do rzeczy. Słyszałem, co się wyprawia w Indiach, i ostrzegam, że jeśli wyjdę stąd z tranzystorowym radiem, ale bez jaj i świergocząc jak początkujący mezzosopran, wrócę z toporem rzeźnickim, to obydwójce się dowiecie, na czym polega genetyka stosowana.

- No cóż, jeśli tak pan do tego podchodzi - obruszył się lekarz

- proponuję, żeby na przyszłość korzystał pan z usług prywatnej służby zdrowia. Wtedy płaci pan i wymaga. Mogę pana co najwyżej zapewnić...

Zwabienie Willa na kozetkę zajęło dziesięć minut, a ponowne wypłoszenie go z niej pięć sekund.

- Zamrożenie - pisnął, trzymając się za mosznę. - Mój Boże, więc mówił pan serio. Co ja tu, do cholery, pana zdaniem mam? Paczkę zielonego groszku?

- Kiedy znieczulenie zacznie działać, przystąpimy do zabiegu

- oznajmił lekarz.

- Nie będzie długi.

- Już nie jest - zaskrzeczał Wilt, zerkając w dół. - On, do diabła, znika. Przyszedłem tu na drobny opatrunek, a nie na operację zmiany płci, i jeśli pan myśli, że moja żona będzie szczęśliwa, mając męża z fechtaczką, to bardzo się pan co do niej myli.

- Powiedziałbym, że to pan się co do niej pomylił - odrzekł pogodnie lekarz. - Zresztą kobieta, która jest w stanie zadać mężowi podobne rany, w pełni zasługuje na coś takiego.

- Ona może tak, ale ja nie - zaprotestował wściekle Wilt. - Przypadkiem... Co siostra robi z tą rurką?

Pielęgniarka rozpakowywała cewnik.

- Proszę pana - zaczął lekarz. - Wprowadzimy tę...

- Nie, nie wprowadzicie! - krzyknął Wilt, - Mogę się szybko kurczyć w niektórych miejscach, ale nie jestem Alicją w Krainie Czarów ani jakimś pieprzonym karłem z chroniczną obstrukcją. Słyszałem, co ona mówiła o lewatywie, i nie pozwalam na nią.

- Nikt nie ma zamiaru robić panu lewatywy. Cewnik umożliwi panu tylko oddawanie moczu przez bandaże. A teraz zechce pan się położyć, zanim będę zmuszony wezwać pomoc.

- Co pan rozumie przez "tylko oddawanie moczu"? - zapytał czujnie Wilt, wdrapując się na kozetkę.

Lekarz wyjaśnił mu tę kwestię i tym razem musiało Wilta przytrzymać czterech pielęgniarzy. Podczas zabiegu ani na chwilę nie przestał sypać nieprzyzwoitymi uwagami i dopiero groźba zastosowania narkozy skłoniła go do ściszenia głosu. Jednak nawet wówczas jego spostrzeżenie, że lekarz i pielęgniarka lepiej by się nadawali do pracy przy odwiercie ropy z dna morskiego niż w służbie zdrowia, słychać było w poczekalni.

- Tak jest, wypuście mnie w świat jako cieknącą pompę benzynową - powiedział, gdy w końcu pozwolono mu iść do domu.

- Widzi pan, istnieje coś takiego jak ludzka godność.

Lekarz popatrzył na niego sceptycznie.

- W świetle pańskiego zachowania nie będę się na ten temat wypowiadał. Proszę się do nas zgłosić w przyszłym tygodniu. Na pewno będzie pan już tryskał zdrowiem.

- Wrócę tu tylko wtedy, jeśli niczym nie będę tryskał - odparł cierpko Wilt. - Od tej pory skorzystam z usług lekarza domowego.

Pokuśtykał do telefonu i wezwał taksówkę.

Kiedy dotarł do domu, znieczulenie przestawało już działać. Wspiąwszy się z trudem po schodach, położył się do łóżka. Leżał tak, patrząc w sufit i zastanawiając się, dlaczego nie potrafi znieść bólu po męsku jak inni faceci, gdy Eva wróciła z czworaczkami z przedszkola.

- Wyglądasz naprawdę okropnie - zauważyła zachęcająco, stając przy łóżku.

- I okropnie się czuję - odparł Wilt. - Bóg jeden wie, czemu przyszło mi się ożenić z obrzezaczką.

- Może to cię nauczy na przyszłość tyle nie pić.

- Na razie mnie nauczyło, żeby ci nie pozwalać zbliżać łap do mojej instalacji - stwierdził Wilt. - A o tej instalacji to mówię poważnie.

Nawet Samantha musiała wnieść swój wkład w jego nieszczęście.

- Kiedy będę duża, zostanę pielęgniarką, tatusiu.

- Jeżeli jeszcze raz tak podskoczysz na łóżku, nigdy nie będziesz duża - warknął wyrzucony w górę Wilt. Na dole zadzwonił telefon.

- Jeśli to znowu z college'u, to co mam im powiedzieć? - zapytała Eva.

- Znowu? Przecież ci mówiłem, żebyś ich zawiadomiła o mojej chorobie.

- Zawiadomiłam, ale mimo to dzwoniли już kilka razy.

- Powiedz, że w dalszym ciągu jestem chory - polecił Wilt. - Tylko nie mów na co.

- Prawdopodobnie i tak już wiedzą. Spotkałam w przedszkolu Rowenę Blackthorn. Powiedziała, że przykro jej z powodu twojego wypadku - odrzekła Eva, idąc na dół.

- A który z was, moje kwadrofoniczne głośniki, oznajmił dobrą nowinę o tym czymś tatusia skarbusiowi pani Blackthorn? - zapytał Wilt, piorunując czworaczki spojrzeniem.

- Nie ja - odparła Samantha z wyrazem samozadowolenia na buzi.

- Ty tylko podpuściłaś Penelope. Znam tę minę.

- To nie Penny. To Josephine. Bawiła się z Robinem w mamusię i tatusia...

- Kiedy trochę podrośniecie, dowiecie się, że nie ma czegoś takiego, jak zabawa w mamusię i tatusia. Przekonacie się, że zamiast niej istnieje walka płci, którą wy, moje skarby, będąc kobietami, nieodmiennie wygrywacie.

Czworaczki wycofały się z sypialni i słychać było, jak konferują na podeście schodów. Wilt zwłóknął się z pościeli, żeby poszukać czegoś do czytania, i właśnie wracał do łóżka z Koszmarnym

opactwem, które idealnie pasowało do jego stanu ducha, gdy Emmeline została wepchnięta do pokoju.

- Czego jeszcze chcesz? Nie widzisz, że jestem chory?

- Tatusiu - odezwała się dziewczynka. - Samantha pyta, dlaczego masz przywiązany do nogi woreczek.

- Naprawdę? - zapytał Wilt ze złowróżbnym spokojem. - Więc powiedz Samancie, a przez nią pannie Oates i jej miłośnikom zwierząt, że wasz tatuś ma worek u nogi i rurkę w kutasie, ponieważ waszej mamusi-pieprzonej-kiciusi strzeliło do pustełki, żeby spróbować oderwać tatusiowi-pimpusiowi genitalia, ciągnąc za kawałek pieprzonego plastra. Jeśli panna Oates nie wie, co to są genitalia, przekaz jej ode mnie, że to dorosła postać samca bociana. A teraz zejdźcie mi z oczu, zanim moje cholerne problemy powiększą się o przepuklinę, przeczulicę i poczwórny pedowstręt.

Dziewczynki czmychnęły. Na dole Eva rzuciła słuchawkę na widełki i zawołała:

- Henry Wilcie!

- Zamknij się! - ryknął Wilt. - Jeszcze jedna uwaga z ust którejkolwiek z was i nie rękę za siebie.

Przynajmniej raz okazano mu posłuszeństwo. Eva poszła do kuchni i wstawiła wodę na herbatę. Gdyby tak Henry był równie stanowczy, kiedy nic mu nie dolega.

9

Przez następne trzy dni Wilt nie chodził do pracy. Błąkał się po domu, przesiadywał w "Spockierium" i rozmyślał o świecie, w którym Postęp przez duże "P" koliduje z Chaosem, a człowiek przez małe "c" jest w stałym konflikcie z Naturą. Według Wilta jednym z największych paradoksów życia było to, że Eva, która bez przerwy oskarżała go o cynizm i konserwatyzm, tak łatwo uległa wstecznej zewowi natury uosobionej w przyrodzie kompostu, organicznej toalecie i wszystkich innych rzeczach tracących prymitywem, a przy tym zachowała niezachwianą wiarę w przyszłość. Dla Wilta istniała tylko wieczna terażniejszość, szereg pojedynczych chwil, które nie tyle posuwały się naprzód, ile wlokły się za nim jako reputacja. Była ona już kilkakrotnie narażana na szwank w przeszłości, a ostatnia nieszczęśliwa przygoda jeszcze rozdmuchała legendę Wilta. Puszczona przez Mavis Mottram pogłoska zataczała coraz szersze kręgi po akademickim getcie Ipsfordu, zyskując wiarę i wzbogacając się o dodatkowe szczegóły za każdym razem, gdy ją powtarzano. Kiedy dotarła do Braintree, zawierała już dopowiedzianą przez pracowników college'u, Blighte-Smythe'a oraz panią Chatterway historię filmu o krokodylu i głosiła, że Willowi grozi aresztowanie za dopuszczenie się czynów lubieżnych z cyrkowym aligatorem, któremu udało się zachować dziewictwo wyłącznie dlatego, że ugryzł Wilta w członek.

- To typowe dla tej cholerniej dziury - stwierdził Peter Braintree, gdy jego żona Betty przyniosła tę wersję do domu. - Wystarczyło, że Henry wziął kilka dni zwolnienia, a miasto trzęsie się od bzdurnych plotek.

- Coś musi w tym jednak być - odparła Betty. - Nie ma dymu bez...

- ...złośliwych kretynów, którzy nie słyszeli początku melodii, ale dośpiewują sobie resztę. Jeden facet z Przedmiotów Ogólnokształcących, niejaki Bilger, nakręcił film, w którym plastikowy krokodyl, z grubsza biorąc, symbolizuje ofiarę gwałtu. To punkt pierwszy. Henry musiał tak wyjaśnić tę sprawę Radzie Szkolnej, żeby liczne potomstwo towarzysza Bilgera nie musiało opuścić prywatnej szkoły, ponieważ tatuś wylądował na zasiłku. To punkt drugi. Punkt trzeci: Henry następnego dnia zachorował.

- Rowena Blackthorn jest innego zdania. Ogólnie wiadomo, że Henry pokaleczył sobie członek.

- Gdzie?

- Co gdzie?

- Gdzie ogólnie wiadomo?

- W przedszkolu. Czworaczki codziennie donoszą o postępach w gojeniu się siusiaka tatusia.

- Wspaniale - mruknął Braintree. - Ta wiedza jest rzeczywiście bardzo ogólna. Grzeczne córeczki Wiltów nie odróżniłyby penisa od kości szpikowej, już Eva o to dba. Może być entuzjastką samowystarczalności, ale nie rozciąga jej na seks. Nie po tej historii z Pringsheimami. I nie widzę Henry'ego w roli ekshibicjonisty. Jeśli on się w ogóle czymś wyróżnia, to pruderią.

- Nie w kwestii języka - odrzekła Betty.

- Używanie przez niego imiesłowu "pieprzony" w funkcji przymiotnika jest prostą konsekwencją lat uczenia praktykantów. W zdaniu przeciętnego faceta to słowo służy za łącznik. Gdybyś mnie uważniej słuchała, słyszałaśbyś je średnio dwadzieścia razy dziennie. Jak mówiłem, jeśli nawet coś się z Henrym dzieje, to z pewnością nie interesują go krokodyle. Zresztą wpadnę do niego wieczorem i dowiem się, co jest grane.

Kiedy jednak zjawił się tego wieczoru na Willington Road, nie było tam śladu Wilta. Na podjeździe stało kilka samochodów, między innymi aston-martin, wyglądający dość osobliwie w sąsiedztwie napędzanego metanem forda Nye'ów i poobijanego minora Mavis Mottram. Pokonawszy tor przeszkód z rzuconych byle gdzie ubrań i zawałających korytarz zabawek czworaczek, Braintree znalazł Evę w cieplarni, przewodniczącą zgromadzeniu, które robiło wrażenie konferencji poświęconej problemom Trzeciego Świata.

- Nie zauważa się zazwyczaj faktu, że medycyna marangańska może odegrać istotną rolę jako alternatywa dla leczenia środkami pochodzenia chemicznego stosowanymi na Zachodzie - mówiła właśnie Roberta Smott, gdy Braintree przystanął niepewnie za drabinką, po której pięta się fasola. - Moim zdaniem nie powinniśmy zapominać, że pomagając Maranganom, w perspektywie pomagamy samym sobie.

John Nye wystąpił z namiętną obroną marangańskich metod uprawy roli, a zwłaszcza używania jako nawozu ludzkich odchodów.

- Mają wszystkie naturalne zalety...

Wycofawszy się na palcach, Braintree wymknął się z domu przez tylne drzwi, minął retencyjny zbiornik urodzajności, czyli pojemnik z kompostem, i przez biodynamiczny ogród warzywny dotarł do altany, gdzie zaszyty za kaskadą suszonych ziół Wilt siedział na leżaku w czymś, co podejrzenie przypominało muślinowy namiot w kształcie dzwonu.

- Ściśle biorąc, to jedna z sukienek ciężowych Ewy - odpowiedział na pytanie Braintreego. - W swoim czasie służyła też jako wigwam, prześcieradło do śpiwora królewskich rozmiarów i baldachim kempingowej ubikacji. Uratowałem ją ze sterty ubrań, którymi Eva zamierzała zasypać swoją równikową wioskę.

- Zastanawiałem się, o co w tym wszystkim chodzi. Czy to jakaś akcja Oxfamu?

- Nie jesteś na bieżąco. Eva działa w Alternatywnym Oxfamie. Indywidualna Pomoc Ludom Prymitywnym, w skrócie Inplup. Adoptuje się jakieś plemię w Afryce albo na Nowej Gwinei, a potem zarzuca dzikusów płaszczami, które byłyby za ciepłe nawet w wietrzny styczniowy dzień u nas, pisze do tamtejszych szamanów listy z prośbami o rady w kwestii ziołowych leków na przeziębienie, lub jeszcze lepiej na odmrożenia, i w ogóle nawiązuje się braterskie stosunki między Willington Road oraz Ipfordzkim Oddziałem Ligi do Zwalczenia Męskiego Szowinizmu a społecznością ludożerców, którzy trudnią się rzezaniem kobiet za pomocą zardzewiałego krzemienia.

- Wątpię, czy można obrzezać kobietę, a poza tym krzemienie już dawno wyszły z użycia - zauważył Braintree.

- Podobnie jak łechtaczki u Maranganów - odparł Wilt - Próbowałem to powiedzieć Evie, ale znasz ją. Ostatnio jest moda na szlachetnych dzikusów i orgiastyczne oddawanie czci naturze. Gdyby Nye'owie mogli robić, co im się podoba, sprowadziliby kobry do tępienia szczurów w centrum Londynu.

- Kiedy przechodziłem przez dom, John truł o ludzkim stolcu jako substytucie nawozów sztucznych. Ten facet jest fanatykiem anusa.

- Fanatykiem religijnym - dodał Wilt. - Przysięgłbym, że co niedziela przyjmują u stóp przyzmy kompostu ziołową komunie i śpiewają :„Moje łajno należy do Ciebie, Panie”.

- Zmieniając temat na bardziej osobisty - wtrącił Braintree - co ci właściwie jest?

- Wolałbym o tym nie mówić - odrzekł Wilt.

- W porządku, ale dlaczego chodzisz w... w tym ciężowym przebraniu?

- Ponieważ oszczędza mi to wszystkich niewygód związanych z noszeniem spodni - wyjaśnił Wilt. - Istnieją obszary cierpienia, które musisz jeszcze zdrenować. Używam tego określenia celowo.

- Którego? "Obszary cierpienia"?

- "Zdrenować" - sprostował Wilt. - Gdyby nie całe to piwo, które wypiliśmy tamtego wieczoru, nie byłbym teraz w takim stanie.

- Widzę, że nie pijesz dziś swojego tradycyjnego domowego paskudztwa.

- Ni piję niczego w dużych ilościach. Ściśle biorąc, ograniczam się do napatka płynu co cztery godziny w nadziei, że go wypocę i nie będę musiał siusiać żyletkami.

Braintree uśmiechnął się.

- Więc w pogłoskach jest trochę prawdy.

- Za pogłoski nie ręczę - odparł Wilt. - Ale bez wątpienia jest prawda w tym opisie. "Żyletki" to odpowiednie słowo.

- Na pewno zainteresuje cię wiadomość, że plotkarze myślą o przyznaniu orderu krokodylowi, który wziął cię na kiel. Właśnie ta wersja wypadków krąży wśród ludzi.

- Niech krąży - stwierdził Wilt. - Nic nie mogłoby być odleglejsze od prawdy.

- Chryste, nie złapałeś chyba syfilisu albo czegoś równie obrzydliwego?

- Niestety, nie. O ile mi wiadomo, leczenie syfilisu ma w dzisiejszych czasach przebieg względnie bezbolesny, czego nie można powiedzieć o pieprzonej terapii, jakiej musiałem się poddać. Jest w tym mieście parę osób, które chętnie bym zamordował.

- Boże - westchnął Braintree. - Sytuacja rzeczywiście wygląda ponuro.

- Jest ponura - poprawił go Wilt. - Osiągnęła szczyt ponurości dzisiaj o czwartej rano, kiedy ta mała suka Emmeline weszła do nas do łóżka i nadepnęła na mój septyczny zbiornik. Wystarczająco nieprzyjemnie jest być żywym węzem ogrodniczym, ale zostać obudzonym w środku nocy, by poczuć, że susia się wstecz, to doświadczenie, które rzuca nowe i straszliwe światło na kondycję ludzką. Czy kiedykolwiek miałeś nieufemistycznie mokry sen w przeciwną stronę?

- Bezwarunkowo nie - wzdrygnął się Braintree.

- A ja tak - ciągnął Wilt. - I mogę ci powiedzieć, że zabija to w człowieku szczątki jego ojcowskich uczuć. Gdybym nie zwijał się wtedy z bólu, byłbym już oskarżony o czworaczkobójstwo. Zamiast tego nieco poszerzyłem nieparlamentarny słownik Emmeline i panna Muller mogła odnieść wrażenie, że angielskie życie seksualne jest krańcowo sadomasochistyczne. Bóg jeden wie, co sobie pomyślała o tej nocnej awanturze.

- Jak się miewa nasza Muza? Nadal jest inspirująca?

- Jest nieuchwytna. Wyjątkowo nieuchwytna. Zważ, że w moim obecnym stanieją też staram się zbytnio nie rzucać w oczy.

- Wcale ci się nie dziwię, skoro kręcisz się po domu w sukienkach ciężowych Evy. To dość... hmm... intrygujące.

- Sam jestem zaintrygowany - odparł Wilt. - Nie potrafię tej kobiety rozgryźć. Czy wiesz, że ciągną do niej jeden za drugim obrzydliwie bogaci młodzi ludzie?

- To tłumaczy astona-martina - mruknął Braintree. - Zastanawiałem się już, kto dostał spadek.

- Owszem, ale nie tłumaczy peruki.

- Jakiej peruki?

- Samochód należy do jakiegoś Casanovy z Meksyku. Facet pryska się Chanel numer ileś tam, ma sumiaste wąsy, a co najgorsze, nosi perukę. Na górze ją zdejmuję. Podpatrzyłem to bardzo dokładnie.

Wilt podał Braintreemu lornetkę i wskazał na okno poddasza.

- Nic nie widzę. Żaluzje są spuszczone - stwierdził Braintree po minucie obserwacji.

- Więc mówię ci, że naprawdę nosi perukę, i chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Przypuszczalnie dlatego, że jest łysy. To typowy powód.

- Właśnie z tego powodu zadaję to pytanie. Lothario Zapala nie jest łysy. Ma włosy w absolutnym porządku. A jednak nosi perukę.

- Jaka to peruka?

- Czarne kudłate paskudztwo - wyjaśnił Wilt. - Pod nią jest blondynem. Musisz przyznać, że to dziwna sprawa.

- Dlaczego nie zapytasz swojej Irmgard? Może ma słabość do blondwłosych młodzieńców w czarnych perukach.

Wilt potrząsnął głową.

- Po pierwsze dlatego, że wychodzi z domu, zanim ja wstanę i względnie przejrzę na oczy, a po drugie, ponieważ mój instynkt samozachowawczy mówi mi, że cokolwiek zbliżonego do podniety

seksualnej wywołałoby straszne i prawdopodobnie nieodwracalne skutki. Nie, wolę się zastanawiać na odległość.

- Bardzo mądrze - pochwalił Braintree. - Boję się pomyśleć, co zrobiłaby Eva, gdyby się dowiedziała, że jesteś do szaleństwa zakochany w pomocy domowej.

- Biorąc pod uwagę to, co zrobiła ze znacznie bliższego powodu, ja również - uciał dyskusję Wilt.

- Przekazać coś w college'u'. - zapytał Braintree.

- Tak - odparł Wilt. - Powiedz im, że wrócę do obiegu... Chryste, co za słowo... kiedy będę mógł siadać, nie obawiając się strzału w gaźnik.

- Wątpię, żeby zrozumieli, o co ci chodzi.

- Nie oczekuję tego. Wyszedłem z tej życiowej próby z niezachwianym przekonaniem, że prawda jest ostatnią rzeczą, w jaką ludzie wierzą. W tym podłym świecie znacznie bezpieczniej jest kłamać. Powiedz po prostu, że dokuczają mi jakiś wirus. Nikt nie wie, co to takiego, a może oznaczać mnóstwo dolegliwości.

Braintree poszedł do domu, zostawiając Wilta pogrążonego w mrocznych rozmyślaniach o prawdzie. W tym bezbożnym, gwałtowanym i przypadkowym świecie stanowiła dlań jedyny kamień probierczy i jedyną broń. Jak każda broń, była jednak obosieczna i sądząc po niedawnym doświadczeniu, tyle mu pomagała, ile szkodziła. Najlepiej zatrzymać ją dla siebie, jako prawdę prywatną. Być może w ostatecznym rozrachunku jest pozbawiona znaczenia, ale przynajmniej zapewnia mu samowystarczalność duchową skuteczniejszą, niż wysiłki ogrodnicze zapewniają samowystarczalność ekonomiczną Evie. Doszedłszy do tego wniosku oraz potępiwszy rozległość zainteresowań Evy i Inplup, Wilt wyrzucił swe odkrycie na nice, oskarżając się o kwietyzm oraz obojętność na głód i nędzę świata. Działania Evy mogły nie być niczym więcej, jak tylko próbą okupienia się liberalnemu sumieniu, ale mimo wszystko pomagały to sumienie zachować i dawały czworaczkom przykład, którego on w swej apatii dać im nie potrafił. Musiał istnieć złoty środek między dbaniem wyłącznie o siebie a poprawianiem losu głodujących milionów, Wilt nie miał jednak pojęcia, gdzie go szukać. Na pewno nie u doktrynerskich zer typu Bilgera. Nawet Nye'owie starali się stworzyć lepszy świat, a nie zniszczyć zły. Co tymczasem robi on, Henry Wilt? Nic. Zmienia się tylko w złopiącego piwo, rozczulającego się nad sobą podglądacza bez żadnego znaczącego osiągnięcia na koncie. Jak gdyby chciał udowodnić, że ma przynajmniej odwagę pokazać się ludziom w swym przebraniu, opuścił altanę i wrócił do domu taką drogą, by było go widać z cieplarni. Okazało się jednak, że zebranie już się skończyło i Eva kładzie czworaczki spać.

Kiedy zeszła, zastała Willa przy kuchennym stole na oczyszczaniu fasolki szparagowej z włókien.

- Zdarzają się cuda - powiedziała. - Po tylu latach nagle zaczynasz pomagać w kuchni. Żle się czujesz czy co?

- Czułem się dobrze - westchnął Wilt. - Ale gdy tylko o tym wspomniałaś...

- Zostań. Jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać.

- Co takiego? - zapytał Wilt, przystanąwszy w drzwiach.

- Góra - wyjaśniła Eva, znacząco podnosząc wzrok ku sufitowi.

- Góra?

- Przecież wiesz - odparła ostrożnie Eva.

- Nie, nie wiem - stwierdził Wilt. - W każdym razie nie sądzę, żebym wiedział, a jeśli twój ton oznacza to, co myślę, nie chcę wiedzieć. Jeżeli chociaż przez chwilę przypuszczałaś, że jestem fizycznie zdolny do...

- Nie chodzi mi o nas, tylko o nich...

- O nich?

- O pannę Muller i jej przyjaciół.

- A, o nich - mruknął Wilt i usiadł z powrotem. - Co z nimi?

- Musiałeś słyszeć - powiedziała Eva.

- Co słyszeć?

- Dobrze wiesz, tylko robisz mi na złość.

- Boże - jęknął Wilt. - Wracamy do języka Kubusia Puchatka. Jeśli masz na myśli to, czy dotarło do mojej półświadomości, że oni od czasu do czasu kopulują, dlaczego nie zapytasz wprost?

- Chodzi mi o dzieci - ciągnęła Eva. - Nie jestem pewna, czy to dla nich dobre, żeby wychowywały się w otoczeniu, w którym dzieje się tyle tego, co właśnie powiedziałaś.

- Gdyby nie to coś, w ogóle by ich w tym otoczeniu nie było. Ani w żadnym innym. A zresztą twoi korespondencyjni prymitywni przyjaciele są wielkimi entuzjastami obcowania cielesnego, żeby użyć określenia, które odpowiednio zbiłoby z tropu Josephine. Ona zawsze wali prosto z mostu...

- Henry - wtrącała ostrzegawczo Eva.

- To prawda. Bardzo często. Zaledwie wczoraj powiedziała Penelope, żeby się od niej...

- Nie chcę tego słyszeć - przerwała Wiltowi Eva.

- Ja też nie chciałem, jeśli o to chodzi - stwierdził Wilt. - Ale faktem jest, że młode pokolenie dojrzewa pod każdym względem szybciej, niż dojrzewaliśmy my. Jeszcze kiedy miałem dziesięć lat, myślałem, że kurwa to jakiś termin stolarski, bo ojciec używał tego słowa przy robocie, gdy zamiast w gwóźdź trafił młotkiem we własny kciuk. A teraz nagminnie posługują się nim czterolatki.

- Mniejsza o to - odrzekła Eva. - Język twojego ojca pozostawiał wiele do życzenia.

- Ale tylko język. Za to w wypadku twojego starego wiele do życzenia pozostawiała cała jego osoba. Nieraz się zastanawiałem, jak twoja matka mogła...

- Henry Wilcie, nie będziesz do tego mieszał mojej rodziny. Chcę się tylko dowiedzieć, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić z panną Muller.

- Nie pytałaś mnie o zdanie, gdy ją tutaj zapraszałaś, a ja na pewno nie chciałem, żeby ta cholerna baba u nas mieszkała. Teraz, kiedy się okazało, że jest czymś w rodzaju krzewicielki seksualnej przyjaźni między narodami i według ciebie może zarazić dzieci przedwczesną nimfomanią, wciągasz mnie w...

- Proszę cię tylko o radę - zauważyła Eva.

- Oto moja rada - odparł Wilt. - Każ jej się wynosić.

- To będzie trudne. Zapłaciła czynsz za miesiąc z góry. Wprawdzie nie zaniósłam jeszcze pieniędzy do banku, ale...

- Więc, na miłość; boską, zwróć je. Jeżeli nie chcesz tu tej zdiury, wyrzuć ją na pysk.

- To by było takie niegościnnie - westchnęła Eva. - Ona jest w obcym kraju, daleko od domu...

- Nie dość daleko od mojego domu - warknął Wilt. - A wszyscy jej przyjaciele robią wrażenie Krezusów Młodszych. Może zamieszkać z nimi albo przeprowadzić się do Ritza. Moja rada to zwrócić jej pieniądze i wykopać babę na ulicę.

Co powiedziawszy, poszedł do salonu i do kolacji siedział przed telewizorem.

W kuchni Eva powzięła decyzję. Mavis Mottram znów nie miała racji. Panna Muller wcale Henry'ego nie interesuje. Nie musi więc jej prosić, żeby się wyprowadziła, i może poświęcić pieniądze na Inplup. Zasugeruje jej po prostu, że przez sufit słychać różne rzeczy, albo... W każdym razie przyjemnie jest wiedzieć, że Henry nie robi nic wstępnego. A to wszystko tylko dowodzi, że nie powinna słuchać Mavis. Mimo swoich dziwactw Henry jest dobrym mężem.

Eva, która tego wieczoru zawołała Wilta na kolację, była szczęśliwą kobietą.

10

Wilt, który w następną środę opuścił gabinet doktora Scally'ego, był niespodziewanie szczęśliwym mężczyzną. Zdjęcie bandaży i cewnika, dokonane po wstępnych żartach na temat obrażeń pacjenta, przebiegło stosunkowo bezboleśnie.

- Moim zdaniem to wszystko było zupełnie niepotrzebne - stwierdził lekarz. - Ale ci młodzi ludzie w szpitalu lubią pracować dokładnie, gdy się już za coś wezmą.

Uwaga ta utwierdziła Wilta w zamiarze wniesienia skargi do Wydziału Zdrowia. Doktor Scally nie zgodził się z nim.

- Niech pan pomyśli, mój drogi, jaki by to wywołało skandal, a ściśle biorąc, mieli prawo tak postąpić. Jeśli ktoś mówi, że został otruty...

Argument był przekonujący i otrzymawszy zapewnienie, że wkrótce będzie zdrow jak ryba, pod warunkiem że zachowają z małżonką umiar w wiadomych rzeczach, Will wyszedł na ulicę, czując się jeśli nie jak w siódmym niebie, to przynajmniej jak w połowie drogi do niego. Słońce złociło jesienne liście, malcy zbierali w parku kasztany, a doktor Scally dał mu jeszcze tydzień

zwolnienia. Wilt pospacerował po mieście, spędził godzinę na przeglądaniu książek w antykwariacie i chciał już wracać do domu, gdy przypomniał sobie, że musi wpłacić czynsz panny Muller. Ruszył więc w stronę banku wciąż w doskonałym nastroju. Jego namiętność wyparowała. Irmgard okazała się kolejną głupią studentką, która ma więcej pieniędzy niż rozumu oraz upodobanie do drogich samochodów i młodych ludzi wszystkich narodowości.

Lekkim krokiem wbiegł po schodach do banku, podszedł do okienka, wypisał dowód wpłaty i wręczył go kasjerowi.

- Moja żona ma tutaj specjalne konto - wyjaśnił. - Na nazwisko Wilt. Pani E. Wilt. Nie pamiętam numeru, ale zostało założone dla jakiegoś afrykańskiego plemienia i nazywa się chyba...

Ale kasjer wyraźnie go nie słuchał. Był zajęty liczeniem banknotów i podczas gdy Wilt mu się przyglądał, kilkakrotnie tę czynność przerywał. W końcu, rzuciwszy krótkie "przepraszam pana", otworzył drzwi swojej kabiny i wyszedł. Ludzie stojący za Wiltem przesunęli się do sąsiedniego okienka, zostawiając go z uczuciem niejasnego niepokoju, jakiego zawsze doznawał, gdy przy realizacji czeku urzędnik przed przybiciem pieczętki zerkał na listę klientów, którzy znacznie przekroczyli konto. Tym razem jednak Wilt wpłacał pieniądze, a nie pobierał, więc wszystko powinno być w porządku.

Nie było. Kiedy w Wilcie zaczęło już wzbierać oburzenie z powodu faktu, że każe mu się czekać, podszedł do niego goniec.

- Pozwoli pan do gabinetu dyrektora - powiedział z groźną nieco uprzejmością w głosie.

Wilt poszedł za nim.

- Pan Henry Wilt? - zapytał dyrektor.

Wilt skinął głową.

- Zechce pan usiąść.

Wilt usiadł, rzucając wściekłe spojrzenie kasjerowi, który stał obok biurka dyrektora. Przed nim na bibularzu leżały banknoty i dowód wpłaty.

- Chciałbym się dowiedzieć, o co tu chodzi - odezwał się Wilt z rosnącym zaniepokojeniem.

Stojący za nim godnie zajął pozycję przy drzwiach.

- Myślę, że wstrzymamy się z wszelkimi wyjaśnieniami do czasu przybycia policji - odparł dyrektor.

- Co to znaczy „do czasu przybycia policji”?

Dyrektor milczał, przypatrując się Willowi z wyrazem twarzy, który łączył w sobie współczucie i podejrzliwość.

- Niech pan posłucha - ciągnął Wilt. - Nie wiem, co się tutaj dzieje, ale żądam...

Protest zamarł mu na ustach, gdy dyrektor popatrzył na leżący na biurku plik banknotów.

- Dobry Boże, nie sugeruje pan chyba, że są fałszywe?

- Nie są fałszywe, proszę pana. Jak już mówiłem, będzie pan miał szansę wszystko wyjaśnić, kiedy zjawi się policja. Jestem pewien, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie. Nikt ani trochę nie podejrzewa pana...

- O co? - zapytał Wilt, ale dyrektor ponownie mu nie odpowiedział.

Nie licząc dobiegających z zewnątrz odgłosów ruchu ulicznego, w gabinecie panowała cisza i dzień, który zaledwie kilka minut wcześniej był jasny i radosny, niespodziewanie stał się ponury i straszny. Wilt rozpaczliwie szukał w myślach jakiegoś wyjaśnienia, nic mu jednak nie przychodziło do głowy i chciał już oznajmić, że nie mają prawa go zatrzymywać, gdy rozległo się pukanie i dyrektor ostrożnie otworzył drzwi. Do gabinetu wszedł inspektor Flint, a za nim sierżant Yates i dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn o złowieszczym wyglądzie.

- Nareszcie - westchnął dyrektor. - To naprawdę bardzo niezręczna sytuacja. Pan Wilt jest naszym starym i szanowanym klientem...

Dyrektor przerwał swą mowę obrońcą. Flint gapił się na Wilta.

- Wiedziałem, że w jednym mieście nie może być dwóch Wiltów - odezwał się triumfująco. - A zatem...

Wtrącił się starszy z tajniaków.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, inspektorze, my się tym zajmiemy - powiedział tonem energicznym, stanowczym i niemal czarującym, co było jeszcze bardziej złowróżbne niż poprzedni chłód dyrektora.

Podszedł do biurka, wziął do ręki kilka banknotów i zaczął się im przyglądać. Wilt obserwował go z rosnącym niepokojem.

- Czy mógłby nam pan wytłumaczyć, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tych pięcioletówek? - zapytał tajniak. - Przy okazji, nazywam się Misterson.

- To miesięczny czynsz od osoby, której wynajmujemy mieszkanie- odparł Wilt.- Przyszedłem wpłacić te pieniądze na konto Inplupu...

- Na jakie konto? - zainteresował się układny pan Misterson.

- Indywidualnej Pomocy Ludom Prymitywnym - wyjaśnił Wilt. - Moja żona jest skarbniczką tutejszego oddziału. Zaadoptowała jakieś afrykańskie plemię i...

- Rozumiem, proszę pana - przerwał mu Misterson, rzucając zimne spojrzenie inspektorowi Flintowi, który właśnie mruknął: "Typowe". Następnie usiadł i przysunął swoje krzesło bliżej Wilta. - Mówił pan, że pieniądze pochodzą od osoby wynajmującej u państwa mieszkanie. Jakiego rodzaju jest to osoba?

- Żeńskiego - odrzekł zwięźle Will, wchodząc w rolę przesłuchiwanego.

- A jak się nazywa?

- Irmgard Muller.

Dwaj tajniacy popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Wilt zauważył to i dodał pospiesznie:

- Jest Niemką.

- Dobrze, proszę pana. A czy potrafiłby pan ją zidentyfikować?

- Zidentyfikować ją? - powtórzył Wilt.- Bez problemu. Mieszka u nas od miesiąca.

- W takim razie zechce pan łaskawie pojechać z nami do komisariatu i obejrzeć kilka zdjęć - powiedział Misterson, wstając z krzesła.

- Chwileczkę. Chcę wiedzieć, o co tu chodzi - odparł Wilt stanowczym tonem, nie ruszając się z miejsca. - Byłem już na tym komisariacie i szczerze mówiąc, nie mam ochoty znaleźć się tam znowu.

Pan Misterson sięgnął do kieszeni, wyjął jakąś plastikową kartę i podsunął ją Witowi.

- Proszę się temu dokładnie przyjrzeć.

Will się przyjrzał i zrobiło mu się niedobrze. Dokument stwierdził, że nadinspektor Misterson z Brygady Antyterrorystycznej jest upoważniony do... Wilt wstał i chwiejnym krokiem skierował się do drzwi. Za jego plecami nadinspektor wydawał polecenia inspektorowi Flintowi, sierżantowi Yatesowi i dyrektorowi banku. Nikomu, z gońcem włącznie, nie wolno opuścić gabinetu. Żadnych telefonów, maksimum ostrożności, a bank ma funkcjonować tak, jakby nic się nie stało.

- A teraz proszę, aby wyszedł pan stąd zupełnie normalnie i poszedł za mną. Nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

Wilt poszedł za nadinspektorem. Kiedy po wyjściu na ulicę przystanął, zastanawiając się, co robić, zatrzymał się przy nich jakiś samochód. Misterson otworzył drzwiczki i Wilt wsiadł. Pięć minut później siedział już przy stole i pokazywano mu zdjęcia młodych kobiet. Było dwadzieścia po dwunastej, gdy w końcu wskazał pannę Muller.

- Czy jest pan całkowicie pewien? - zapytał nadinspektor.

- Oczywiście, że jestem pewien - odparł Wilt z irytacją w głosie. - Nie wiem, kim jest ta cholerna baba ani co takiego zrobiła, ale byłbym rad, gdybyście ją aresztowali albo coś w tym rodzaju. Chcę wrócić do domu na lunch.

- Naturalnie, proszę pana. A czy pańska żona jest teraz w domu?

Wilt spojrział na zegarek.

- Nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Jeśli koniecznie musi pan wiedzieć, powinna właśnie wracać z dziećmi z przedszkola i...

Nadinspektor westchnął. Było to westchnienie długie i złowieszcze.

- Obawiam się, że w takim razie aresztowanie nie wchodzi chwilowo w rachubę - powiedział. - Zakładam, że ta... hm... panna Muller jest w domu.

- Nie wiem - odrzekł Wilt. - Była, kiedy wychodziłem, a że w środy nie ma żadnych wykładów, więc prawdopodobnie nadal jest. Dlaczego nie pójdziecie sprawdzić?

- Ponieważ, proszę pana, tak się przypadkiem składa, że pańska lokatorka jest jedną z najniebezpieczniejszych terrorystek na świecie. Myślę, że to mówi samo za siebie.

- O Boże - jęknął Wilt, czując, że nagle zrobiło mu się słabo. Nadinspektor Misterson przechylił się przez biurko.

- Ma na koncie co najmniej osiem zamachów i podejrzewamy, że jest mózgiem... Wybaczy pan to melodramatyczne określenie, ale akurat w tym wypadku ono pasuje... Więc, jak mówiłem, zorganizowała kilka zamachów bombowych, a teraz już wiemy, że była zamieszana w napad z bronią w rękę na furgonetkę przewożącą pieniądze, którego dokonano w zeszły wtorek w Gantrey. Podczas napadu zginął człowiek. Mógł pan czytać o tej sprawie.

Wilt czytał. W szpitalu, czekając na lekarza. Wtedy wydała mu się jednym z tych odległych, odrażających aktów nieuzasadnionej przemocy, które czynią lekturę porannej gazety tak przygnębiającą. A jednak, ponieważ o tym czytał, zamordowanie strażnika było dla niego wówczas bardziej rzeczywiste niż w tej chwili. "Mózg", "terrorystka", "zamachy" - słowa rzucone niedbale w jakimś gabinecie przez jakiegoś ugrzeczniejszego mężczyznę w barwnym krawacie i brązowym tweedowym garniturze. Wyglądający jak prowincjonalny radca prawny nadinspektor Misterson był ostatnią osobą, po której Will by się podobnych określeń spodziewał, i właśnie ta sprzeczność tak go niepokoiła. Popatrzył na Mistersona i potrząsnął głową.

- Niestety, to prawda- stwierdził nadinspektor.

- Przecież pieniądze...

- Znaczone, proszę pana. Znaczone i ponumerowane. Przynęta w pułapce.

Wilt ponownie potrząsnął głową. Prawda była nie do zniesienia.

- Co zamierzacie zrobić? Moja żona i dzieci na pewno są już w domu i jeśli ona też tam jest... i jeszcze ci wszyscy inni cudzoziemcy.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, ilu innych... hmm... cudzoziemców jest w domu?

- Nie wiem - westchnął Wilt. - To się zmienia z dnia na dzień. Przychodzą i wychodzą jeden za drugim. Jezus Chryste.

- A więc, proszę pana - ciągnął z ożywieniem nadinspektor - jakie są pańskie zwyczaje? Czy normalnie wraca pan do domu na lunch?

- Nie. Zwykle jem lunch w college'u, ale teraz jestem na zwolnieniu, więc przypuszczam, że bym wrócił.

- To znaczy, że pańska żona byłaby zaskoczona, gdyby nie przyszedł pan do domu?

- Wątpię - odparł Wilt. - Czasami wpadam do pubu na piwo i kanapkę.

- I nie uprzedza pan żony telefonicznie?

- Nie zawsze.

- Staram się, proszę pana, ustalić, czy pańska żona nie będzie przejawiać zaniepokojenia, jeśli nie wróci pan teraz do domu ani się z nią nie skontaktuje.

- Nie będzie - orzekł Wilt. - Zaniepokoi się dopiero wtedy, gdy się dowie, że udzielaliśmy gościny... Jak się ta cholerna baba właściwie nazywa?

- Gudrun Schautz. W takim razie każę nam przysłać z kantyny coś do jedzenia i poczynimy przygotowania.

- Jakie przygotowania? - zapytał Wilt, ale nadinspektor już wyszedł, a drugi tajniak najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę. Wilt popatrzył na lekkie wybrzuszenie pod jego prawą pachą i spróbował stłumić w sobie narastający obłąd.

W kuchni na Willington Road Eva podawała czworaczkom lunch.

- Nie będziemy czekać na tatusia - powiedziała. - Prawdopodobnie wróci trochę później.

- Czy przyniesie do domu swój woreczek? - zapytała Josephine.

- Oczywiście, kochanie... Zaraz, jaki woreczek?

- Woreczek z rurkami, który miał przywiązany do nogi - wyjaśniła Penelope.

- Nie, zostawi go u pana doktora.

- Widziałam w telewizji, jak jacyś panowie w sukienkach bawili się takimi woreczkami - oznajmiła Emmeline.

- W kiltach, kochanie. To były dudy i miały piszczałki, a nie rurki.

- A ja widziałam, jak tatuś bawił się swoją piszczałką w altanie - dodała Penelope. - I też był ubrany w sukienkę.

- On bawił się nią inaczej - odparła Eva, zastanawiając się w duchu, jak Wilt się bawił.

- Piszczałki robią zresztą straszny hałas - stwierdziła Emmeline.

- Tatuś narobił straszego hałasu, kiedy weszłaś do niego do łóżka, Emmy.

- Tak, kochanie. Miał zły sen.

- On go nazwał mokrym snem, mamusiu. Sama słyszałam.

- To po prostu rodzaj złego snu - wytłumaczyła Eva. - Opowiedzcie mi, co robiłyście dzisiaj w przedszkolu.

Niełatwo było jednak odwrócić uwagę czworaczków od pasjonującego tematu najnowszej niefortunnej przygody ojca.

- Mamusia Rogera powiedziała mi, że jeśli nasz tatuś nosi rurkę, musi mieć coś nie w porządku z pęcherzem - odezwała się Penelope. - Co to jest pęcherz?

- Ja wiem - krzyknęła Emmeline. - To brzusek świnki i właśnie z niego robi się woreczki do piszczalek. Sally mi powiedziała.

- Tatuś nie jest świnką...

- Starczy tego dobrego - wtrąciła stanowczym tonem Eva. Zostawcie tatusia w spokoju i jedzcie swoją ikrę.

- Roger mówi, że ikra to dzieci rybek - odparła Penelope.

- Nie będą jej jadła.

- To nieprawda. Ryby nie mają dzieci. Składają jajeczka.

- Czy kielbaski też składają jajeczka, mamusiu? - zapytała Josephine.

- Oczywiście, że nie, skarbie. Kielbaski nie są żywe.

- Roger mówi, że kielbaska jego tatusia składa jajeczka i jego mamusia nosi...

- Nie mam ochoty dłużej słuchać tego, co mówi Roger - przerwała Eva, rozdarta między zaciekawieniem życiem prywatnym Rawstonów a nieprzyjemnym zaskoczeniem encyklopedyczną wiedzą swoich pociech. - Nie wypada rozmawiać o takich rzeczach.

- Dlaczego, mamusiu?

- Bo nie - stwierdziła Eva, nie potrafiąc wymyśleć dostatecznie postępowego argumentu.

W rozterce pomiędzy wpojonym jej poczuciem tego, co wypada, a przekonaniem, że nie należy tłumić w dzieciach wrodzonej ciekawości świata, z trudem brnęła przez lunch, żałując, że nie ma tu Henry'ego, który położyłby kres tym pytaniom jednym groźnym pomrukiem. Henry'ego nadal nie było, gdy o drugiej zadzwoniła Mavis, aby przypomnieć Evie, że obiecała wstąpić po nią w drodze na prelekcję poświęconą alternatywnemu malarstwu tajlandzkiemu.

- Przykro mi, ale Henry jeszcze nie wrócił - powiedziała Eva. - Poszedł rano do lekarza i spodziewałam się go na lunch. Nie mogę zostawić dziewczynek.

- Patrick wziął dziś mój samochód - odparła Mavis. - Jego wóz jest w naprawie i liczyłam na ciebie.

- No dobrze, pójdę poprosić panią de Frackas, żeby zajęła się nimi przez godzinę - zdecydowała Eva. - Stale ofiarowuje mi się z pomocą, a Henry powinien niedługo być z powrotem.

Poszła do sąsiedniego domu i niebawem starsza pani siedziała z czworaczkami w altanie, czytając im historię Rikki Tikki Tavi. Dla osiemdziesięciodwuletniej wdowy po generale-majorze de Frackas wspomnienia ze spędzonego w Indiach dzieciństwa były znacznie bardziej żywe niż współczesne wydarzenia. Eva pojechała po Mavis w doskonałym humorze.

Zanim jeszcze Wilt skończył lunch, rozpoznał na przedstawiających terrorystów zdjęciach z policyjnej kartoteki dwóch częstych gości jego domu, a komisariat przeżył najazd zdumiewająco ruchliwych mężczyzn w pstrokaciźnie cywilnych ubrań, którzy przybyli kilkoma dużymi furgonetkami. Kantynę zmieniono w salę odpraw, a nadinspektora Mistersona zastąpił na stanowisku dowodzenia jakiś major (nazwiska nie ujawniono) z Lądowych Służb Specjalnych.

- Obecny tu nadinspektor objaśni wstępne etapy operacji - powiedział major protekcyjnym tonem. - Ale jeszcze przedtem chcę podkreślić, że mamy do czynienia z mordercami zaliczanymi do najbardziej bezwzględnych w Europie. W żadnym wypadku nie wolno pozwolić, aby się nam wymknęli. Zarazem powinniśmy, rzecz jasna, unikać rozlewu krwi, jeśli to w ogóle okaże się możliwe. Jednakowoż należy stwierdzić, że zważywszy na okoliczności, mamy prawo najpierw strzelać, a potem zadawać pytania, o ile obiekt będzie jeszcze w stanie odpowiadać. Pełnomocnictwem udzielił mi sam minister.

Major uśmiechnął się blade i usiadł.

- Kiedy dom zostanie otoczony - zabrał głos nadinspektor Misterson - pan Wilt wejdzie do środka i jeżeli mu się uda, wyprowadzi rodzinę. Nie wolno nam uczynić niczego, co mogłoby przeszkodzić w spełnieniu tego pierwszego i podstawowego warunku. Musimy także brać pod

uwagę fakt, że mamy jedyną w swoim rodzaju sposobność aresztować co najmniej trzech czołowych europejskich terrorystów, a być może więcej, jeśli - znowu - panu Willowi uda się zorientować, ilu członków grupy przebywało w domu, w chwili gdy go opuszczał. Zajmę się teraz tym, co należy do mnie, a resztę pozostawiam panu majorowi.

Nadinspektor wyszedł z kantyny i skierował się do gabinetu, gdzie Wilt splukiwał kawą pudding królewski. Pod drzwiami stał lekarz-psycholog z LSS, który potajemnie obserwował gościa.

- Z gatunku nerwowych - stwierdził ponuro.-Trudno o gorszy materiał. Typ faceta, który bałby się skoczyć z balonu na uwięzi.

- Na szczęście nie musi skakać z balonu - zauważył nadinspektor. - Ma tylko wejść do domu i znaleźć pretekst, by wyprowadzić stamtąd rodzinę.

- Mimo to uważam, że powinien coś łyknąć na wzmocnienie morale. Nie chcemy, żeby nas wsypał, trzęsąc się już w progu.

Lekarz poszedł po swoją torbę, a nadinspektor wkroczył do gabinetu.

- A zatem - odezwał się do Wilta z niepokojącą beztroską w głosie - musi pan tylko...

- Wiem. Wejść do domu pełnego morderców i poprosić żonę, żeby z niego wyszła - dokończył Wilt.

- Nie widzę w tym nic trudnego.

Wilt popatrzył na niego niedowierzająco.

- Nic trudnego - powtórzył słabym sopranem. - Nie zna pan mojej cholernej żony.

- Istotnie nie miałem jeszcze przyjemności - przyznał nadinspektor.

- No właśnie - mruknął Wilt. - Wiec jeśli kiedykolwiek będzie ją pan miał, zda pan sobie sprawę, że gdybym przyszedł do domu i poprosił żonę, żeby wyszła, znalazłaby tysiąc powodów, żeby zostać.

- Skomplikowana kobieta, proszę pana?

- Och, nie, Eva nie jest ani trochę komplikowana. Jest po prostu przekorna jak diabli.

- Rozumiem. Więc gdyby poprosił pan, aby została w domu, sądzi pan, że mogłaby właśnie wyjść?

- Jeśli chce pan znać moje zdanie - odparł Wilt - gdybym tak zrobił, pomyślałaby, że oszalałem. Jak by pan zareagował, gdyby siedział sobie spokojnie, a pańska żona poprosiła ni z tego, ni z owego, żeby pan został w domu, podczas gdy w ogóle nie miał pan zamiaru wychodzić? Doszedłby pan do wniosku, że dzieje się coś cholernie dziwnego, prawda?

- Tak przypuszczam - westchnął nadinspektor. - Nie pomyślałem o tym.

- Więc niech pan pomyśli - poradził Wilt. - Nie zamierzam...

Przerwało mu wejście majora i dwóch komandosów ubranych w koszulki z nadrukiem "Niech żyje IRA" i dzinsy, z damskimi torebkami dość dużych rozmiarów.

- Jeśli można przeszkodzić - odezwał się major - chcielibyśmy, aby pan Wilt narysował szczegółowy plan swojego domu w przekroju zarówno poziomym, jak i pionowym.

- Po co? - zapytał Wilt, nie mogąc oderwać oczu od koszulek.

- Na wypadek, gdyby trzeba było wziąć dom szturmem - wyjaśnił major. - Musimy ustalić taktykę i nie chcemy, żeby się potem okazało, że ubicacja jest w niewłaściwym miejscu i tak dalej.

- Niech pan posłucha - odparł Wilt. - Jeśli pojawicie się na

Willington Road w tych koszulkach i z damskimi torebkami, w ogóle nie dotrzecie do mojego domu. Sąsiedzi was zlinczują. Siostrzeniec pani Fogin zginął w Belfaście, a profesor Bali nie lubi pedałów. Jego żona za jednego wyszła.

- Lepiej się chłopcy przebierzcie w koszulki "Clapham dla białych" - polecił major.

- Lepiej nie - mruknął Wilt. - Państwo Bokani spod jedenastego natychmiast poleciliby na skargę do Komitetu Stosunków Rasowych. Nie przychodzi wam do głowy nic neutralnego?

- Może Myszka Miki, sir? - podsunął jeden z komandosów.

- No dobrze - zgodził się major zrzędlivym tonem. - Ty Myszka Miki, reszta Kaczory Donaldy.

- Chryste - jęknął Wilt. - Nie wiem, iloma ludźmi pan dysponuje, ale jeśli zamierzacie zalać okolicę Kaczorami Donaldami uzbrojonymi po zęby w to, co tam chowacie w tych gigantycznych torbach, będzie mieli na sumieniu całą masę schizofrenicznych dzieciaków.

- Mniejsza o to - odrzekł major. - Niech pan zostawi aspekt taktyczny nam. Mamy doświadczenie w przeprowadzaniu tego rodzaju operacji, a od pana chcemy jedynie szczegółowego planu pańskiego terenu domowego.

- Planu wykonanego grafitowym narzędziem piszącym? - zapytał Wilt. - Nie przypuszczałem, że dożyję czasów, kiedy dom będzie się nazywało terenem domowym.

Wziął do ręki ołówek, kiedy wtrącił się nadinspektor.

- Jeżeli zaraz nie odstawimy pana Wilta do domu, ktoś może się zacząć zastanawiać, co się z nim dzieje - zaprotestował.

Jak gdyby na poparcie jego argumentu zabrzęczał telefon.

- Do was - oznajmił major. - Jakiś Flint. Mówi, że jest udupiony w banku.

- Chyba powiedziałem, że nie wolno wam nigdzie dzwonić - warknął nadinspektor do słuchawki.

- Załatwić potrzebę? Oczywiście, że mogą... Spotkanie o trzeciej z panem Danilem? A kto to?... Cholera... Gdzie?... Opróżnijcie, na miłość boską, jakiś kosz na śmieci... Nie muszę wam mówić, gdzie. Moim zdaniem to zupełnie oczywiste... Co będzie dziwnie wyglądało?... Muszą przejść przez cały bank?... Wiem, że będzie czuć. Znajdźcie jakiś dezodorant albo co... Jeśli się sprzeciwią, aresztować bydlaka. A na przyszłość dopilnujcie, żeby mieć pod ręką wiadro.

Nadinspektor rzucił słuchawkę na widełki i zwrócił się do majora:

- W banku robi się gorąco i jeśli natychmiast nie ruszymy...

- Ktoś poczuje pismo nosem? - podsunął Wilt. - Więc w końcu chcecie, żebyśmy narysował swój dom, czy nie?

- Tak - odparł major. - I to szybko.

- Ten ton jest całkowicie zbyteczny - stwierdził Wilt. - Wy możecie się palić do bitwy na mojej posesji, aleja chcę wiedzieć, kto zapłaci za straty. Moja żona to szczególna kobieta i jeśli zaczniecie zabijać ludzi na dywanie w salonie...

- Proszę pana - przerwał mu major, starając się nie stracić cierpliwości. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby uniknąć użycia siły na pańskiej posesji. Właśnie dlatego jest nam potrzebny dokładny plan terenu... hmm... domu.

- Myślę, że powinniśmy zostawić pana Wilta samego - powiedział nadinspektor, wskazując ruchem głowy drzwi.

Major wyszedł za nim na korytarz, gdzie rozpoczęli naradę.

- Słuchajcie - odezwał się nadinspektor. - Wasz konował zakomunikował mi, że ten mały sukinyń już jest kłębkim nerwów, więc jeśli zaczniecie się nad nim znęcać...

- To wy słuchajcie - odrzekł major. - Może zainteresuje was fakt, że w tej operacji dopuszcza się dziesięć ofiar i jeżeli on będzie jedną z nich, wcale mnie to nie zmartwi. Mam zgodę Ministerstwa Wojny.

- Jeśli Wilt nie wejdzie do domu i nie wyjdzie stamtąd z żoną i dziećmi, zużyjecie sześć sztuk z waszego przydziału - warknął nadinspektor.

- Mogę tylko stwierdzić, że człowiek, który stawia dywan w salonie ponad swój kraj i całą zachodnią cywilizację...

Major powiedziałby dużo więcej, gdyby nie nadszedł psycholog z kubkiem kawy.

- Przyrządziłem środek na wzmocnienie - oznajmił radośnie. - Powinien go ustawić do pionu.

- Mam nadzieję - westchnął nadinspektor. - Mnie też by się kapka przydała.

- Zadziała na bank - wtrącił major. - Wypróbowałem to draństwo na sobie w hrabstwie Armagh, kiedy miałem rozbroić wielką jak cholera bombę. Wybucho, ścierwo, zanim zdążyłem się do niej zabrać, ale, na Boga, i tak czułem się dobrze.

Lekarz wszedł do pokoju i niebawem powrócił z pustym kubkiem.

- Po kłopotcie - powiedział. - Z baranka lew.

11

Przepowiednia lekarza sprawdziła się już po dziesięciu minutach. Opuściwszy komisariat z własnej i nieprzymuszonej woli, Wilt wszedł do samochodu nadinspektora Mistersona w zupełnie niezłym humorze.

- Proszę mnie wysadzić na początku ulicy. Trafie sam do domu - powiedział. - Nie musi pan zawracać sobie głowy podwożeniem mnie pod drzwi.

Nadinspektor popatrzył na niego niepewnie.

- Nie zamierzałem tego robić. Ma pan za zadanie wejść do domu bez wzbudzania podejrzeń i skłonić żonę do wyjścia, mówiąc jej, że spotkał pan w pubie zielarza, który zaprosił was wszystkich do siebie, abyście obejrżeli jego zbiór roślin. Rozumie pan?

- Rozumiem - odparł Wilt.

- Na pewno?

- Na pewno. I co więcej - ciągnął Wilt - jeśli to nie wymiecie suki z domu, zabiorę dzieci i zostawię ją, żeby skisła we własnym sosie.

- Kierowca, zatrzymać samochód - polecił pospiesznie nadinspektor.

- Dlaczego? - zapytał Wilt. - Nie spodziewa się pan chyba, że będę szedł na piechotę dwie mile? Powiedziałem, że może mnie pan wysadzić wcześniej, ale nie, że już tutaj.

- Proszę pana - odrzekł nadinspektor. - Muszę panu uświadomić powagę sytuacji. Gudrun Schautz niewątpliwie posiada broń i nie zawaha się jej użyć. Ta kobieta jest zawodową morderczynią.

- I co z tego? Cholerna baba przychodzi do mojego domu, zabiwszy przedtem kupę ludzi, i oczekuje, że zapewnię jej wikt i opierunek. No to jeszcze zobaczy. Jedźcie dalej, kierowco.

- Boże - jęknął nadinspektor. - Niech pan zaufa wojsku. Dadzą sobie z nią radę.

- Chce pan, żebym zawrócił? - zapytał szofer.

- Oczywiście, że nie - powiedział Wilt. - Im szybciej wyprowadzę z domu rodzinę i wpuszczę tam wojsko, tym lepiej. Niech pan nie robi takiej miny. Wszystko wypali.

- Wcale bym się nie dziwił - odparł nadinspektor z przygnębieniem w głosie. - W porządku, jedźmy dalej. A pan niech się, na miłość boską, trzyma tej historyjki o zielarzu. Facet nazywa się...

- Falkirk - dokończył automatycznie Wilt. - Mieszka przy Barabas Road 45. Niedawno wrócił z Ameryki Południowej i przywiózł kolekcję roślin zawierającą tropikalne zioła, dotychczas w naszym kraju nie uprawiane...

- Przynajmniej zna swój tekst - mruknął pod nosem nadinspektor, gdy skręcili w Farringdon Avenue i stanęli przy krawężniku.

Wilt wysiadł, trochę zbyt energicznie zamknął drzwiczki i pomaszerował w dół Willington Road. Nadinspektor popatrzył za nim żałośnie i przeklął psychologa.

- Musiał mu dać jakąś miksturę dla kamikadze - powiedział do kierowcy.

- Jeszcze można go zatrzymać, sir - odparł ten, ale był w błędzie.

Wilt zniknął już za furtką. W tej samej chwili z rosnącego wzdłuż chodnika żywopłotu wynurzyła się czyjaś głowa.

- Nie chcecie nas chyba wsypać - odezwał się komandos przebrany za inkasenta z gazowni. - Odturlajcie się stąd, to zawiadomię centrum dowodzenia, że obiekt wszedł w strefę niebezpieczeństwa...

- Nie zawiadomicie - warknął nadinspektor, gdy komandos zaczął manipulować gałkami krótkofalówki. - Dopóki cała rodzina nie znajdzie się na zewnątrz, obowiązuje bezwzględna cisza w eterze.

- Mam rozkaz...

- Właśnie go cofam - stwierdził nadinspektor. - W grę wchodzi życie niewinnych ludzi i nie pozwolę, aby wystawiano je na szwank.

- W porządku - mruknął komandos. - W każdym razie teren jest dokładnie otoczony. Nawet mysz się nie prześliznie.

- Nie w tym rzecz, żeby nikt się prześliznął. Chcemy, żeby jak najwięcej terrorystów znalazło się w środku, zanim wkroczymy do akcji.

- Jasne, chcecie zgarnąć całą bandę. Nie ma to jak wziąć byka za rogi.

Komandos zniknął w żywopłocie, a nadinspektor odjechał.

- Lwy, baranki, a teraz jeszcze jakieś pieprzone myszy i byki - powiedział do kierowcy. - Wiele bym dał za to, żeby nie mieć do czynienia z Lądowymi Służbami Specjalnymi. Najwyraźniej wszyscy są tam zwariowani na punkcie zwierząt.

- Przypuszczalnie dlatego, sir, że werbuje się ich z kółek łowieckich - odparł kierowca. - Nie chciałbym być na miejscu tego Wilta.

W ogrodzie posesji przy Willington Road 9 Wilt nie podzielał jego obaw. Sprokurowany przez psychologa środek psychotropowy zmienił go w człowieka, z którym nie ma żartów. Cholerni

terroryści pakują mu się do domu, nie racząc nawet spytać o pozwolenie? Dobrze, już on im pokaże. Pomaszerował śmiało do frontowych drzwi i otworzył je, zanim zdał sobie sprawę, że na podjedzie nie ma samochodu. Widocznie Eva pojechała gdzieś z czworaczkami, a więc nie musi wchodzić do środka. "Do diabła, to mój dom i mam prawo w nim robić, co mi się żywnie podoba" - mruknął do siebie, po czym wszedł do sieni i zamknął za sobą drzwi. Wewnątrz panowała cisza, w salonie nie było nikogo. Powędrował do kuchni, zastanawiając się, co począć. W normalnych okolicznościach wyszedłby z domu, ale okoliczności nie były normalne. Według nafaszerowanego chemikaliami Wilta wymagały podjęcia stanowczych kroków. Pieprzone wojsko chce sobie urządzić bitwę na jego terenie domowym? On im da bitwę. Teren domowy, też coś. Jeśli już ludzie mają się ochotę zabijać, niech to, do diabła, robią gdzie indziej. Świetnie, tylko jak ich przekonać? Najprościej byłoby pójść na poddasze, zgarnąć walizki choleryjnej panny Schautz Muller i wyrzucić je na trawnik od frontu. Kiedy to zobaczy po powrocie, dotrze do niej, że ma wziąć dupę w troki i przenieść się na teren domowy kogoś innego.

Wymyśliwszy to nieskomplikowane rozwiązanie, Wilt wspiał się na poddasze, by stwierdzić, że drzwi są zamknięte. Zszedł do kuchni, znalazł zapasowy klucz i wrócił na górę. Po chwili wahania zapukał. Odpowiedzi nie było. Otworzył więc drzwi i wszedł do środka.

Poddasze składało się z trzech pomieszczeń: dużego pokoju z wychodzącym na ogród balkonem, małej kuchni i usytuowanej za nią łazienki. Wilt zamknął drzwi i zaczął się rozglądać. Jego eks-Muza mogła być bezlitosną terrorystką, ale dbała o porządek w mieszkaniu. Ubrania wisiały równo w szafie ściennej, a w kuchni filiżanki i spodeczki stały wymyte na półkach. Gdzie jednak schowała torby podróżne? Wilt powiódł wokół wzrokiem, zajrzał do kredensu i nagle przypomniał sobie, że kiedy urządzano łazienkę, Eva kazała przesunąć bojler pod sam dach i w ten sposób powstał niewielki stryszek. Gdzieś muszą być odpowiednie drzwi.

Znalazł je obok kuchenki elektrycznej i wczołgawszy się przez nie, odkrył, że aby dostać się wyżej, musi przejść na czworakach po wąskiej desce. Wymacał kontakt i włączył światło. Torby stały rzędem za bojlerem. Dotarł do nich nie bez trudu i chwycił za rączkę pierwszej z brzegu. Była niewiarygodnie ciężka oraz bardzo nieforemna. Ściągnął ją z półki i postawił na desce. Wydała przy tym metaliczny dźwięk. Nie miał zamiaru nigdzie draństwa taszczyć. Pomajstrowawszy chwilę przy zamkach, otworzył torbę.

Wszystkie jego wątpliwości co do profesji panny Schautz Muller zniknęły. Ujrzał lekki karabin maszynowy, stertę pistoletów, pudełka z amunicją, maszynę do pisania i coś, co wyglądało na granaty. Kiedy przyglądał się temu arsenałowi, usłyszał, że na podjazd wjeżdża samochód, i nawet jego niewprawne ucho rozpoznało warkot astona-martina. Przeklinając się za to, że nie posłuchał głosu swego wrodzonego tchórzostwa, zaczął się wycofywać do drzwi, ale torba zagroziła mu drogę. Wyrznął głową o krokiew i miał się już przeczołgać po torbie, gdy przyszło mu na myśl, że automat może być naładowany i a nuż wypali, jeśli przycisnie się go w niewłaściwym miejscu. Najlepiej cholera wyjąć. Łatwo powiedzieć! Lufa zaczęła się o brzeg torby i zanim udało mu się ją uwolnić, usłyszał kroki na drewnianych schodach. Na ucieczkę było za późno. Mógł co najwyżej zgasić światło. Pochylił się nad torbą, trzymając karabinek na odległość ramienia, wcisnął kontakt końcem lufy i przycupnął w ciemnościach.

Tymczasem czworaczki spędziły z panią de Frackas cudowne popołudnie. Najpierw staruszka przeczytała im w ogrodzie historię o Rikki Tikki Tavi, manguście i dwóch kobrach, potem zabrała je do siebie do domu, aby zobaczyły Jak wygląda prawdziwa kobra (miała jedną w szklanej gablotce, z bardzo sugestywnie obnażonymi zębami jadowymi), i zanim usiadły na werandzie do podwieczorku, opowiedziała im o swoim dzieciństwie w Indiach. Przynajmniej raz dziewczynki były grzeczne. Pod wpływem Evy wyrobiły sobie właściwe pojęcie o pozycji społecznej pani de Frackas, a poza tym w głosie staruszki dźwięczała nuta stanowczości. Wilt stwierdził kiedyś, że chociaż osiemdziesięciodwuletnia pani de Frackas nie zdołałaby już stłuc głosem kieliszka do sherry z pięćdziesięciu kroków, nadal mogła doprowadzić psa podwórzowego do wycia z czterdziestu. Tak czy inaczej, mleczarz już dawno zaniechał prób pobierania od niej opłaty co tydzień. Pani de Frackas należała do pokolenia, które płaciło, gdy miało na to ochotę. Wysyłała czek tylko dwa razy do roku, a i wtedy suma się nie zgadzała. Mleczarnia jej jednak nie kwestionowała. Wdowa po generale-majorze de Frackas, odznaczonym za zaszczytną służbę i tak dalej, była osobistością, której przez szacunek ustępowano, i Eva chodziła dumna jak paw,

ponieważ utrzymywała ze starszą panią niezwykle serdeczne stosunki, czego nie mógł o sobie powiedzieć żaden inny mieszkaniec Willington Road. Pani de Frackas patrzyła na Wiltów łaskawie niemal wyłącznie dlatego, że kochała dzieci i uważała Evę, mimo jej oczywistego braku ogłady, za doskonałą matkę. Ściśle biorąc, rzadko patrzyła łaskawie na Wilta, wyraźnie będąc zdania, że jest przypadkiem w rodzinie, a w dodatku, jeśli dobrze zaobserwowała pewnego wieczoru jego działalność w altanie, przypadkiem, który pije. Jako że generał-major zmarł na marskość wątroby, czyli -jak mawiała bez ogródek - zżarł mu ją alkohol, samotne obcowanie Wilta z butelką tylko zwiększało życzliwość wdowy dla Evy i troskę o dzieci. Poza tym, mając pewne kłopoty ze słuchem, uważała, że czworaczki są uroczymi dziewczynkami, której to opinii nie podzielał nikt w całej okolicy.

Tak więc tego pogodnego, słonecznego popołudnia pani de Frackas usadziła czworaczki na werandzie i podała podwieczorek, szczęśliwie nieświadoma faktu, że w sąsiedztwie narasta dramat. Potem pozwoliła im się pobawić tygrysią skórą z saloniku, a nawet przewrócić palmę doniczkową, aż wreszcie stwierdziła, że już czas, by wróciły do domu. Mała procesja przeszła od furki do furki dokładnie w chwili, gdy Wilt przystępował do poszukiwań na poddaszu. Ukryty w krzakach po przeciwnej stronie ulicy komandos, któremu nadinspektor Misterson zabronił używania radia, zobaczył, że staruszka i dziewczynki wchodzą do domu, i właśnie modlił się rozpaczliwie, żeby natychmiast stamtąd wyszły, gdy nadjechał aston-martin. Gudrun Schautz i dwaj młodzi mężczyźni wysiedli, otworzyli bagażnik i wyjęli z niego kilka walizek. Komandos zebrał się w sobie, ale zanim zdecydował się na atak na otwartym terenie, cała trójka zniknęła we frontowych drzwiach. Dopiero wtedy przerwał ciszę w eterze.

- Obiekt żeński i dwa obiekty męskie weszły do strefy - zameldował majorowi, który przeprowadzał obchód posterunków LSS w głębi ogrodu Wiltów. - Nie nastąpiło wycofanie się osób cywilnych. Proszę o rozkazy.

Usłyszawszy tę wiadomość, major przedarł się przez ogrody posesji nr 2 i 4, przy pomocy towarzyszących mu dwóch szeregowców bezzwłocznie ustawił na chodniku teodolit oraz tyczkę z podziałką i zaczął celować w dół Willington Road, rozmawiając jednocześnie ze schowanym w żywopłocie komandosem.

- Jak to nie mogliście ich zatrzymać? - ryknął, dowiedziawszy się, że czworaczki i jakaś staruszka wyszły z sąsiedniego domu i weszły do Wiltów.

Zanim jednak komandos zdążył wymyślić odpowiedź, pojawił się profesor Bali.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał, popatrzywszy z niesmakiem zarówno na długowłosych szeregowców, jak i na teodolit.

- Robimy pomiary do przedłużenia drogi - zaimprovizował pospiesznie major.

- Do przedłużenia drogi? Jakiego przedłużenia? - zdziwił się profesor, przenosząc pełen obrzydzenia wzrok na torebkę, którą major miał na ramieniu.

- Projektowanego przedłużenia drogi do obwodnicy - wyjaśnił major.

Profesor Bali podniósł głos.

- Do obwodnicy? Czy mnie słuch nie myli? Powiedział pan, że projektuje się przedłużenie drogi do obwodnicy?

- Ja tylko wykonuję swoje obowiązki - odparł major, pragnąc, by ten stary dureń wreszcie się od niego odczepił.

- Obowiązki? A kto je panu zlecił? - indagował profesor, wyjąwszy z kieszeni notes.

- Sekcja Miernictwa Okręgowego Wydziału Dróg i Mostów.

- Naprawdę? A pańskie nazwisko? - zapytał profesor z nieprzyjemnym błyskiem w oku i, czekając na odpowiedź, polizał czubek długopisu.

- Palliser, proszę pana - odrzekł major. - A teraz, jeśli pan pozwoli, będziemy kontynuować.

- Nie przeszkadzajcie sobie.

Profesor majestatem krokiem wszedł do domu. Po chwili wrócił z ciężką łaską.

- Może zainteresuje pana wiadomość - odezwał się, potrząsając swą zaimprovizowaną bronią - że przypadkiem zasiadam w Komisji Planowania przy Radzie Miejskiej. I niech pan zwróci uwagę na słowo "miejski". Nie mamy Okręgowego Wydziału Dróg i Mostów. Mamy Wydział Miejski.

- Przejęzyczenie, proszę pana - usprawiedliwił się major, usiłując zerkać jednym okiem na dom Wiltów, świadom równocześnie zagrożenia w postaci łaski.

- Jak mniemam, przejęczył się pan również, mówiąc, że miasto Ipford projektuje przedłużenie tej drogi do obwodnicy...

- To kwestia dalekiej przyszłości - odparł major.

Profesor Bali zaśmiał się sucho.

- Bardzo dalekiej, zważywszy na to, że nie mamy jeszcze obwodnicy oraz że będąc przewodniczącym Komisji Planowania, pierwszy usłyszałbym o jakichkolwiek projektach zmian w istniejącej sieci dróg. Przypadkiem umiem się też posługiwać teodolitem i wiem, przez który koniec należy patrzeć. Tak więc zechce pan tu pozostać do czasu przybycia policji. Moja gospodyni już zatelefonowała...

- Czy mógłbym zamienić z panem dwa słowa na osobności? - zapytał major, pospiesznie potrząsając torebką w poszukiwaniu swych pełnomocnictw.

Profesor Bali potrafił jednak rozpoznać oszusta, a poza tym, jak ostrzegał Wilt, mężczyźni z damskimi torebkami budzili w nim gwałtowną reakcję. Kiedy na majora spadł pierwszy cios, jego pełnomocnictwa w postaci jednej krótkofalówki, dwóch pistoletów i granatu z gazem łzawiącym wypadły ze stukotem na chodnik.

- Cholera - mruknął major, schylając się, by pozbierać swój arsenał, ale laska profesora znów poszła w ruch. Tym razem trafiła go w kark i rozciągnęła w rynience ściekowej. Szeregowiec piastujący teodolit błyskawicznie wkroczył do akcji. Rzuciwszy się na profesora, wykręcił mu lewą rękę, a ciosem karate wytrącił laskę z prawej.

- Zechce pan pójść spokojnie z nami - powiedział.

Była to jednak ostatnia rzecz, jaką profesor Bali zamierzał zrobić. Uznał, że jedyną metodą obrony przed uzbrojonymi w pistolety i granaty ludźmi udającymi mierniczych jest wszczęcie możliwie największego hałasu, i Willington Road została wyrwana z podmiejskiego letargu wrzaskami:

- Na pomoc! Mordercy! Wezwać policję!

- Na miłość boską, zatkajcie draniowi gębę! - krzyknął major, wciąż zbierając pistolety, ale było już za późno.

W oknie poddasza po przeciwnej stronie ulicy pokazała się czyjaś twarz, za nią druga i zanim zdążono profesora uciszyć, obydwie zniknęły.

Przycupnięty w kącie obok bojlera Wilt tylko mgliście zdawał sobie sprawę, że na ulicy dzieje się coś dziwnego. Gudrun Schautz postanowiła wziąć kąpiel i bojler głośno dudnił. Reakcje jej towarzyszy dotarły doń dostatecznie wyraźnie.

- Policja! - ryknął jeden. - Gudrun, pod domem jest policja!

- W ogrodzie jest ich jeszcze więcej! - zawołał drugi z pokoju z balkonem. - Mają karabiny.

- Szybko na dół. Weźmiemy ich z parteru.

Na schodach rozległ się stukot kroków, a Gudrun Schautz zaczęła wykrzykiwać po niemiecku polecenia. Nagle przypomniała sobie, że musi je wydawać po angielsku.

- Dzieci! - wrzasnęła. - Łapcie dzieci!

Tego było Willowi za wiele. Nie zważając na torbę i automat, który wciąż trzymał w rękach, wpadł do kuchni i przypadkowo pociągnawszy za spust, momentalnie podziurawił sufit kulami. Wywarło to efekt wręcz potężny. Gudrun Schautz krzyknęła w łazience, a znajdujący się już na parterze terroryści zaczęli strzelać do ukrytych w ogrodzie na tyłach domu komandosów i do stojącej po drugiej stronie ulicy grupki, w której był profesor Bali. Ludzie z LSS odpowiedzieli na ogień z poczworną siłą, tłukąc szyby w oknach, robiąc nowe dziury w liściach serowca szwajcarskiego Evy i odłupując tynk ze ściany salonu, gdzie pani de Frackas i czworaczki z przyjemnością oglądały western, dopóki wiszący za nimi meksykański kilim nie spadł im na głowy.

- Nie bójcie się, dzieci - odezwała się spokojnie starsza pani. - Po prostu poleżymy sobie na podłodze, dopóki to, co się dzieje, cokolwiek by to było, się nie skończy.

Czworaczki wcale się jednak nie bały. Zahartowane nieustającą strzelaniną w telewizji, czuły się zupełnie swobodnie w środku strzelaniny prawdziwej.

Nie można było tego powiedzieć o Wilcie. Kiedy posypał się na niego tynk z podziurawionego sufitu, wstał z podłogi i skierował się ku schodom, ale serie strzałów posłane z zewnątrz we frontowe i tylne okna podestu osadziły go w miejscu. Wciąż ściskając kurczowo automat, wycofał

się na chwiejnych nogach do kuchni i nagle uświadomił sobie, że piekielna fraulein Schautz jest nadal na poddaszu. Przestała już krzyczeć i w każdej chwili mogła się wyłonić uzbrojona z łazienki. Pierwszą myślą Wilta było, żeby zamknąć drzwi w środku. Klucz tkwił jednak w zamku od wewnątrz. Rozejrzał się więc za jakąś inną możliwością i znalazł ją w kuchennym krześle. Zablokował oparciem klamkę, a następnie dla pewności zasunął na niej przewód, który wyrwał ze stojącej na stole w pokoju lampki, i przywiązał drugi jego koniec do nogi kuchenki. Zabezpieczywszy sobie w ten sposób tyły, zrobił kolejny wypadek na schody, ale niżej w dalszym ciągu szalała bitwa. Miał już mimo wszystko zejść na dół, gdy na podeście pojawiła się czyjaś głowa, a za nią ręce trzymające automat, taki sam jak ten, którego niedawno użył. Nie namyślając się, zatrzasnął drzwi poddasza i zasunawszy zasuwę, przyciągnął pod nie łóżko. Na koniec podniósł swoją broń z podłogi i przyczaił się. Jeśli ktokolwiek będzie usiłował sforsować drzwi, naciśnie spust. W tym momencie jednak, równie niespodziewanie jak się zaczęła, bitwa ustała.

Na Willington Road zapanowała cisza. Nagła, błoga, zdrowa cisza. Will nasłuchiwał z zapartym oddechem, zastanawiając się, co robić. Decyzję ułatwiła mu Gudrun Schautz, próbując otworzyć drzwi łazienki. Wilt wpadł do kuchni i wycelował w nie automat.

- Jeszcze jeden ruch, a będę strzelał - powiedział i własny głos zabrzmiał dla niego dziwnie groźnie i obco. Dla Gudrun Schautz zabrzmiał jak głos uzbrojonego mężczyzny. Klamka przestała się ruszać. Ale u szczytu schodów był ktoś, kto usiłował się dostać do środka. Z łatwością, która go zdumiała, Wilt odwrócił się i pociągnął za spust. Na poddaszu ponownie zagrzmiała seria wystrzałów. Żadna z kul nie trafiła w drzwi. Rozprysnęły się po ścianach pokoju, gdyż automat gwałtownie zadrgał Wiltowi w rękach. Cholerstwo zdawało się mieć własną wolę i Wilt, który zdjął palec ze spustu i ostrożnie położył broń na kuchennym stole, był przerażony. Ktoś nadzwyczaj szybko zbiegł po schodach, a potem wszystko ucichło.

Wilt usiadł i zaczął medytować, co, do diabła, będzie się działo dalej.

12

Niemal identyczne pytanie nurtowało nadinspektora Mistersona.

- Co się, do diabła, dzieje? - zwrócił się do sponiewieranego majora, który przyszedł na róg Willington Road i Farringdon Avenue z dwoma pseudomierniczymi oraz profesorem Ballem. - Powiedziałem wam chyba, że niczego nie wolno robić, dopóki dzieci nie będą bezpieczne.

- To nic moja wina. Ten stary dureń musiał wetknąć swój pieprzony nos, gdzie nie trzeba - odparł major, macając się po karku i patrząc na profesora z odrazą.

- A kimże to pan jest? - zapytał nadinspektora profesor Bali.

- Funkcjonariuszem policji...

- Więc zechce pan spełnić swą powinność i aresztować tych bandytów. Zjawiają się tu z jakimś piekielnym teodolitem i damskimi torebkami pełnymi broni, mówią, że są z Wydziału Dróg, i urządzają sobie strzelaninę...

- Z Brygady Antyterrorystycznej, proszę pana - dokończył nadinspektor, pokazując profesorowi legitymację. Ten spojrział na nią ponuro.

- Niezła bajeczka. Najpierw atakują mnie...

- Zabierzcie stąd tego idiotę - warknął major. - Gdyby się nie wtrącił...

- Wtrącił się? Rzeczywiście! Zgodnie z przysługującym mi prawem nakładałem na tych oszustów areszt obywatelski, gdy nagle zaczęto strzelać w zupełnie zwyczajnym domu po przeciwnej stronie ulicy...

Dwóch umundurowanych funkcjonariuszy odprowadziło opierającego się gniewnie profesora do wozu policyjnego.

- Słyszeliście, co powiedział ten facet - mruknął major w odpowiedzi na ponowną prośbę nadinspektora, by mu ktoś łaskawie wyjaśnił, co się, do diabła, stało. - Czekaliśmy, żeby dzieci wyszły z domu, gdy zjawił się on i nas wyspał. Oto, co się stało. Zaraz potem te sukinsyny otworzyły ogień, sądząc po odgłosach - z jakiejś broni o piekielnej sile rażenia.

- Więc mówicie, że dzieci są nadal w domu, podobnie jak pan Wilt, a razem z nimi jest tam paru terrorystów. Zgadza się?

- Tak - odrzekł major.

- Mimo waszych zapewnień, że nie zrobicie nic, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu niewinnej ludności cywilnej?

- Niczego, do cholery, nie zrobiłem. Tak się składa, że kiedy to wszystko się zaczęło, leżałem akurat w rynience ściekowej. A jeśli się spodziewaliście, że moi chłopcy będą stać z założonymi rękami, kiedy jakieś zbiry strzelają do nich z broni automatycznej, za dużo wymagacie od natury ludzkiej.

- Zapewne - przyznał nadinspektor. - Cóż, musimy więc przystąpić do regularnego obłężenia. Ilu terrorystów jest w domu?

- Na mój gust zbyt wielu - odparł major, oczekując od swoich ludzi potwierdzenia.

- Któryś z nich strzelał przez dach, sir - odezwał się jeden z szeregowców. - Pierwsza seria przeszła dachówki.

- Widać, nie brakuje im amunicji, skoro tak ją marnują.

- Dobrze. Przede wszystkim należy ewakuować całą ulicę - stwierdził nadinspektor. - Nie chcę wplątywać w tę historię nikogo więcej.

- Wygląda na to, że ktoś jeszcze został już w nią wplątany - zauważył major, gdy spod numeru dziewiętego doleciał ich stłumiony grzmot, wieńczący drugi eksperyment Wilta z automatem. - Dlaczego strzelają w środku?

- Przypuszczalnie zaczęli zabijać zakładników - odrzekł ponuro nadinspektor.

- Mało prawdopodobne, bracie. Chyba że ktoś z zakładników próbował uciec. A skoro o tym mowa, nie pamiętam, czy wspomniałem, że jest tam również jakaś staruszka. Weszła do domu razem z dziewczynkami.

- Weszła do domu razem z... - zaczął siny ze złości nadinspektor, ale przerwało mu nadejście kierowcy, który przyniósł wiadomość, że inspektor Flint dzwonił z pytaniem, czy może się odmeldować, ponieważ jest godzina zamknięcia banku i personel...

Nadinspektor wyładował na kierowcy złość na Flinta, a major, korzystając z okazji, czmychnął.

Wkrótce małe grupki uchodźców zaczęły okrężną drogą opuszczać Willington Road. Na ich miejsce napływało coraz więcej uzbrojonych mężczyzn. Ulicą przetoczył się samochód pancerny, z usadowionym bezpiecznie na wieżyczce majorem.

- Sztab i centrum łączności są pod numerem siódmym. Moi chłopcy założyli wam bezpośrednią linię - krzyknął major i odjechał, zanim nadinspektor zdążył wymyślić odpowiednią ripostę.

- To cholerne wojsko zawsze musi się we wszystko wpięprzać - mruknął i wydał rozkaz, żeby dostarczono mu urządzenia podsłuchowe oraz zainstalowano w centrum łączności magnetofony

i analizatory zapisu głosu. Tymczasem zamknięto dla ruchu Farringdon Avenue, obsadzono posterunki umundurowanymi policjantami i urządzono w komisariacie centrum prasowe.

- Musimy rzucić społeczeństwu jakiś ochłap - wyjaśnił nad-inspektor swoim ludziom. - Nie życzę sobie jednak żadnych kamer telewizyjnych w strefie. Te sukinsyny będą nas obserwować z domu i szczerze mówiąc, gdyby to ode mnie zależało, zarządziłbym ciszę w środkach masowego przekazu. Te świny tuczą się na rozgłosie.

Co powiedziawszy, skierował się na Willington Road 7, aby zacząć pertraktacje z terrorystami.

Eva odwiozła Mavis Moltram i wracała do domu w złym humorze. Wykład na temat alternatywnego malarstwa tajlandzkiego odwołano, ponieważ artysta i wykładowca w jednej osobie został aresztowany za przemyt narkotyków i czekała go ekstradycja. W zamian Eva musiała przesiedzieć dwie godziny na dyskusji o alternatywnym porodzie, o którym, wydawszy na świat czwórkę dzieci z nadwagą w ciągu czterdziestu minut, wiedziała znacznie więcej niż prelegent. W dodatku kilku zagorzałych rzeczników aborcji wykorzystało tę okazję, aby przedstawić swoje poglądy, a Eva była zdecydowanie przeciwna aborcji.

Gdy siedziały później z Mavis w barku kawowym, powiedziała z właściwą sobie prostotą, która tak rozwścieczyła jej znajomych.

- To nienaturalne. Jeśli ludzie nie chcą mieć dzieci, nie powinni ich mieć.

- Oczywiście, kochanie - odparła Mavis. - Ale to nie takie proste.

- To bardzo proste. Mogą je oddać do adopcji małżeństwom, które nie mogą mieć własnych dzieci. Takich małżeństw są tysiące.

- Tak, ale w wypadku nastolatek...

- Nastolatki nie powinny uprawiać seksu. Ja w ich wieku tego nie robiłam.

Mavis popatrzyła na Evę uważnie.

- Ty jesteś wyjątkiem, kochanie. Współczesna młodzież chce od życia więcej, niż chcieliśmy my.

Dzisiejsze nastolatki są bardziej rozwinięte fizycznie.

- Być może, ale Henry mówi, że umyślowo są opóźnione.

- No tak, on się rzeczywiście na tym zna - stwierdziła Mavis.

Do Evy jednak tego typu aluzje nie docierały.

- Gdyby nie były opóźnione, zapobiegałyby takim sytuacjom.

- Przecież sama stale powtarzasz, że pigułka jest nienaturalna.

- Bo jest. Chodziło mi o to, że dziewczęta nie powinny pozwalać chłopcom posuwać się tak daleko. Ostatecznie mogą mieć tego tyle, ile chcą, kiedy wyjdą za żonę.

- Pierwszy raz słyszę, żebyś mówiła coś takiego, kochanie. Ciągłe się skarżysz, że Henry jest zbyt zmęczony na te rzeczy.

W końcu Eva musiała się odciąć wzmianką o Patricku, więc Mavis skwapliwie skorzystała ze sposobności, by wyliczyć jego najnowsze zdrady.

- Można by pomyśleć, że Patrick jest pępkiem świata - mruknęła Eva do siebie, odjeżdżając spod domu Mottramów. - I niech inni myślą, co chcą, ale ja w dalszym ciągu uważam, że aborcja jest zła.

Kiedy skręciła w Farringdon Avenue, natychmiast ją zatrzymano. Ulica była zablokowana, a przy krawężniku stało kilka wozów policyjnych.

- Przykro mi, ale musi pani zawrócić. Nikomu nie wolno tędy przejeżdżać - oznajmił umundurowany funkcjonariusz.

- Ja tu mieszkam - odparła Eva. - Jadę tylko na Willington Road.

- Właśnie tam jest to zamieszanie.

- Jakie zamieszanie? - spytała Eva, tknięta złym przeczuciem. - Co tu robi ten drut kolczasty?

Gdy otworzyła drzwiczki samochodu i wysiadła, podszedł do niej jakiś sierżant.

- Proszę wykręcić i odjechać tą samą drogą, którą pani przyjechała - polecił.

- Mówi, że mieszka na Willington Road - powiedział do niego policjant.

W tejże chwili dwaj uzbrojeni w automaty komandosi z LSS wyłonili się zza rogu i weszli do ogrodu pani Granberry, przycinając klomb jej nagrodzonych na wystawie begonii. To wystarczyło, by najgorsze obawy Evy się potwierdziły

- Ci ludzie mają broń! - zawołała. - Boże, moje dzieci! Gdzie są moje dzieci?

- Znajdzie pani wszystkich mieszkańców Willington Road w Memoriał Hali. A pod którym numerem pani mieszka?

- Pod dziewięciym. Zostawiłam czworaczki z panią de Frackas i...

- Pozwoli pani tędy, pani Wilt - wtrącił łagodnie sierżant, ujmując ją pod ramię.

- Skąd pan zna moje nazwisko? - zapytała Eva, wpatrując się w niego z rosnącym przerażeniem. -

Nazwał mnie pan panią Wilt.

- Proszę zachować spokój. Wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie będzie.

Eva odepchnęła jego rękę i ruszyła biegiem w dół ulicy. Czterech funkcjonariuszy zatrzymało ją i zaciągnęło do wozu policyjnego.

- Wezwijcie lekarza i jakąś policjantkę - polecił sierżant. - Proszę usiąść z tyłu.

Zapakowano Evę do środka.

- Co się stało z dziećmi? Niech ktoś mi powie, co się stało z dziećmi!

- Nadinspektor wszystko pani wyjaśni. Proszę się nie niepokoić. Są całkowicie bezpieczne.

- Skoro są bezpieczne, dlaczego nie mogę do nich pójść? Gdzie jest Henry? Chcę zobaczyć mojego Henry'ego.

Zamiast Wilta zobaczyła nadinspektora Mistersona, któremu towarzyszyły dwie policjantki i lekarz.

- Proszę posłuchać - odezwał się nadinspektor. - Niestety, mam dla pani złą wiadomość. Mogło być jednak jeszcze gorzej. Pani dzieci żyją i raczej nic im nie grozi, ale znajdują się w rękach kilku uzbrojonych ludzi. Próbuje je wydostać z domu.

Eva utkwiała w nim błędne spojrzenie.

- W rękach uzbrojonych ludzi? Jakich uzbrojonych ludzi?

- Kilku cudzoziemców.
- Chce pan powiedzieć, że moje dzieci są zakładnikami?
- Nie mamy jeszcze co do tego pewności. Jest z nimi pani mąż. Wtrącił się lekarz.
- Podam pani środek uspokajający i... - zaczął, ale Eva cofnęła się na siedzeniu.
- Niczego mi pan nie poda. Nie wezmę żadnego środka uspokajającego. Nie ma pan prawa mnie zmuszać.

- Proszę się nie denerwować...

Eva była jednak nieugięta i zbyt silna, by pozwolić zrobić sobie zastrzyk w ciasnym wnętrzu samochodu. Gdy po raz drugi wytrąciła lekarzowi strzykawkę z ręki, ten dał za wygraną.

- Dobrze, nie musi pani niczego brać - stwierdził nadinspektor. - Proszę tylko siedzieć spokojnie. Zawieziemy panią do komisariatu i będziemy szczegółowo informować o rozwoju wypadków.

Mimo protestów, że chce zostać tu, gdzie jest, albo iść do domu, Eva odjechała w towarzystwie dwóch policjantek.

- Jeśli jeszcze kiedyś będziecie chcieli, żebym podał środek uspokajający tej cholерnej babie, pożyczę z zoo strzelbę z nabojami usypiającymi - powiedział lekarz, masując sobie nadgarstek. - Jak macie choć trochę rozsądku, zamknijcie ją w celi. Jeśli zostawicie jej swobodę ruchów, może wszystko dokładnie spieprzyć.

- Jakby już się wszystko nie spieprzyło - mruknął nadinspektor i wrócił do centrum łączności. Znajdowało się ono w saloniku pani de Frackas, gdzie wśród pamiątek z imperialnych Indii, pokrowców na meble i roślin doniczkowych, pod groźnym okiem nieboszczyka generała-majora spoglądającego z portretu, ludzie z LSS i Brygady Antyterrorystycznej zainstalowali nie pasującą do otoczenia łącznicę telefoniczną, wzmacniacz, magnetofony i analizator zapisu głosu.

- Wszystko gotowe, sir - zameldował wywiadowca odpowiedzialny za sprzęt. - Podłączyliśmy się do linii telefonicznej w sąsiedztwie.

- Założyliście podsłuch?

- Jeszcze nie - odparł major. - Z tej strony nie ma okien, a teraz nie możemy się przedrzeć przez trawnik. Spróbujemy po zmroku, pod warunkiem że te dranie nie mają noktowizorów.

- No dobrze, połączcie mnie z nimi - polecił nadinspektor.

- Im szybciej przystąpimy do pertraktacji, tym wcześniej pójdziemy wszyscy do domu. O ile znam się na swojej robocie, zaczną od potoku wyzwisk, więc niech się każdy przygotuje na to, że zostanie nazwany faszystowską świnią.

W tym wypadku nadinspektor był w błędzie. Słuchawkę podniosła pani de Frackas.

- Ipford 23... Niestety, nie mam okularów, ale wydaje mi się, że to... Chwileczkę, młody człowieku...

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której ktoś najwyraźniej zastąpił starszą panią przy telefonie.

- Mówi Misterson, nadinspektor Misterson - odezwał się nadinspektor.

- Zakłamana faszystowska świnió! - krzyknął jakiś głos, spełniając w końcu przepowiednię. - Jeśli myślisz, że się poddamy, gówniana mordo, to się grubo mylisz. Prędzej umrzemy, rozumiesz? Słyszysz mnie, świnió?

Nadinspektor westchnął i powiedział, że słyszy.

- Świetnie. Więc wbij sobie do tego świńskiego faszystowskiego łba pełnego gówna, że w żadnym wypadku się nie poddamy. Jeśli chcesz nas dostać, przyjdź tu i pozabijaj nas, a wiesz, co to oznacza.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał...

- Nie dostaniesz tego, czego chcesz, ty świnió. Zrobisz to, czego chcemy my, albo komuś stanie się krzywda.

- Właśnie czekam, żeby usłyszeć, czego chcecie - odparł nadinspektor, ale terroryści zaczęli się naradzać między sobą i po chwili słuchawka opadła na widełki.

- Cóż, przynajmniej wiemy, że nie zrobili nic złego tej małej staruszce, a sądząc z ich słów, również dzieci są całe i zdrowe. Nadinspektor podszedł do ekspresu i nalał sobie kubek kawy.

- Trochę to nudne być cały czas nazywanym świnią-odezwał się współczująco major. - Mogliby wymyślić coś nieco bardziej oryginalnego.

- Nie liczcie na to. Próbuja stworzyć marksistowskie tysiąclecie królestwo na Ziemi i ta odrobina mózgu, jaką mieli, wyprała im się już dawno temu. Miałem wrażenie, że to ten Meksykanin Chinanda.

- Intonacja i akcent się zgadzają - stwierdził sierżant obsługujący magnetofon.

- Jaką ma kartotekę? - zapytał major.

- Typową. Bogaci rodzice, dobre szkoły, rzucił uniwersytet i postanowił zbawić świat, usuwając z niego ludzi. Jak dotąd usunął pięcioro. Specjalizuje się w podkładaniu bomb w samochodach, w dodatku prymitywnych samoróbek. Niezbyt subtelny młodzieniec z naszego Miguela. Trzeba przekazać tę taśmę do analizy. Chcę usłyszeć opinię specjalistów o jego wykresie głosowym. A teraz przygotujmy się na długą i żmudną operację.

- Spodziewacie się, że zadzwonią, aby przedstawić swoje żądania?

- Nie. Następnym razem będziemy mieć na linii uroczą fraulein Schautz. U niej jednej mózg jeszcze pracuje.

Było to mimowolnie trafne sformułowanie. Unieruchomiona w łazience Gudrun Schautz spędziła znaczną część popołudnia na zachodzeniu w głowę, co się wydarzyło i dlaczego nikt ani jej nie zabił, ani nie aresztował. Zastanawiała się również, jak uciec, ale paraliżował ją brak ubrania, które zostawiła w pokoju, oraz pogrożka Wilta, że będzie strzelał, jeśli ona zrobi jeszcze jeden ruch. Oczywiście nie wiedziała, że to on jej groził. Odgłosy życia rodzinnego dolatujące przez podłogę z sypialni Wiltów w najmniejszym stopniu nie wskazywały, żeby był zdolny do jakiegokolwiek heroizmu. Uważała go za zramolałego, zdegenerowanego i tchórzliwego dzemojada tyranizowanego przez głupią żonę.

Fraulein Schautz mogła doskonale władać angielskim, ale zrozumienie Anglików przekraczało jej możliwości. Gdyby Wilt miał okazję zapoznać się z powyższą oceną swojego charakteru, w dużej mierze by się z nią zgodził. Chwilowo jednak był zbyt pochłonięty ważniejszymi sprawami, żeby tracić czas na introspekcję. Próbował odgadnąć, co się stało na dole podczas strzelaniny. W żaden sposób nie mógł się dowiedzieć, czy czworaczki są nadal w domu, i jedynie obecność uzbrojonych ludzi w głębi ogrodu i po przeciwnej stronie ulicy mówiła mu, że terroryści w dalszym ciągu zajmują parter. Z okna balkonowego widział altanę, gdzie spędził tyle leniwych wieczorów, wdychając do kobiety, która w rzeczywistości była nie Muzą, lecz morderczynią. Teraz altanę okupowali mężczyźni z karabinami, a pole za ogrodem otaczały zasieki z drutu kolczastego. Ze świetlika w kuchni rozpościerał się jeszcze mniej zachęcający widok. Pod frontową bramą stał samochód pancerny zwrócony wieżyczką w stronę domu, a w ogrodzie profesora Balia rozlokowała się druga grupa komandosów.

Wilt zsunął się na podłogę i właśnie zaczynał się dość rozpaczliwie zastanawiać, co ma, do diabła, począć, gdy zadzwonił telefon. Poszedł do pokoju i podniósł słuchawkę w momencie, kiedy pani de Frackas kończyła swą krótką kwestię. Wysłuchał potoku wyzwisk, który spłynął na anielsko cierpliwego nadinspektora, i zrobiło mu się faceta żal. To, co usłyszał, brzmiało jak jedna z tyrad Bilgera, tyle że w tym wypadku wygłaszający ją człowiek miał broń. Prawdopodobnie miał również czworaczki. Wilt nie mógł być tego pewien, ale przemawiała za tym obecność pani de Frackas. Słuchał dalej, aby się przekonać, czy nie padnie jego nazwisko, i doznał ulgi, gdy nie padło. Kiedy ta jednostronna rozmowa dobiegła końca, odłożył słuchawkę bardzo ostrożnie i z cieniem optymizmu, a właściwie z cieniem cienia optymizmu, będącym po prostu skutkiem ustąpienia napięcia oraz nagłego przyływu poczucia siły. Dała mu je nie broń, lecz świadomość, że wie o czymś, o czym najwyraźniej nie wiedział nikt inny: że poddasze zajmuje człowiek, który zdolny jest zabić najwyżej muchę, a umiejętność posługiwania się bronią palną predestynuje go bardziej do roli samobójcy niż mordercy. O karabinach maszynowych i pistoletach Wilt wiedział tylko tyle, że gdy pociąga się za spust, z lufy wylatują kule. Ale było to bez znaczenia, dopóki terroryści nie mieli pojęcia, co się stało na poddaszu. Według nich na górze roiło się od uzbrojonych policjantów, a strzały, które Wilt oddał zupełnie przypadkowo, mogły zabić cholerną fraulein Schautz. Jeżeli tak sądzą, nie podejmą próby jej odbicia. W każdym razie zdecydowanie warto ich utrzymywać w fałszywym mniemaniu, że poddasze okupują desperaci gotowi zabijać bez namysłu. Już sobie gratulował, gdy nagle przyszła mu do głowy myśl przeciwna. Co by się, do diabła, stało, gdyby odkryli, kto naprawdę jest na górze?

Opadł na krzesło i zaczął rozważać tę przerażającą możliwość. Jeżeli czworaczki są na dole... Boże... Brakuje tylko, żeby ten przeklęty inspektor zadzwonił z pytaniem, czy pan Wilt czuje się dobrze. Wystarczy sama wzmianka o nim. W chwili gdy dranie zdadzą sobie sprawę, że to on jest na poddaszu, zabiją dzieci. A jeżeli nawet tego nie zrobią, zagrozą, że je zabiją, jeśli nie zejdzie, co na to samo wychodzi. Jediną odpowiedzią Wilta na takie ultimatum mogłaby być groźba, że jeśli dzieciom spadnie choć włos z głowy, zabije tę sukę Schautz. Tylko że nie byłaby to żadna groźba. Nie był zdolny do zabicia nikogo, a gdyby nawet był, nie uratowałoby to dzieci. Szaleńcy, którzy uważają, że porywając, torturując i mordując polityków i biznesmenów, budują szczęście ludzkości, a przyparciu do muru zasłaniają się kobietami i dziećmi, nie posłuchaliby głosu rozsądku. Zależy im wyłącznie na nadaniu maksymalnego rozgłosu swojej "sprawie", a zabicie czworaczek w pełni to gwarantowało. Była jeszcze teoria terroryzmu. Wilt słyszał, jak Bilger przedstawiał ją w pokoju nauczycielskim. Wtedy przypawiła go o mdłości. Teraz wzbudziła w nim paniczny strach. Musiało być coś, co mógłby zrobić.

Cóż, po pierwsze mógłby wyjąć z torby resztę broni i spróbować się zorientować, jak się ją obsługuje. Wstał, przeszedł przez kuchnię do drzwi na stryszek i wyciągnął torbę. Były w niej trzy pistolety, w tym jeden automatyczny, cztery zapasowe magazynki do lekkiego karabinu maszynowego, kilka pudełek amunicji i trzy granaty ręczne. Wilt rozłożył całą kolekcję na stole, stwierdził, że nie podoba mu się wygląd granatów, i schował je z powrotem. Wtedy zobaczył, że z bocznej kieszeni torby wystaje jakiś papier. Wyjąwszy go, przekonał się, że trzyma w ręku coś, co miało być KOMUNIKATEM CZWARTEJ GRUPY ARMII LUDOWEJ. Tak w każdym razie brzmiał nagłówek, bo kartka pod nim pozostała czysta. Najwyraźniej komuś nie chciało się zwracać sobie głowy wypisywaniem szczegółów. Albo nie miał nic do zakomunikowania.

Niemniej jednak było to interesujące, bardzo interesujące. Jeśli ta banda jest Grupą Czwartą, istnieje również Grupa Pierwsza, Druga i Trzecia, a może nawet Piąta, Szósta i Siódma albo jeszcze inne. Z drugiej strony wcale nie musiało tak być. Przypomniał sobie o taktyce samopowiększania. Mikroskopijne mniejszości zwykle utrzymują, że stanowią część dużo większej całości. Mogło istnieć wiele grup. Ile? Dziesięć? Dwadzieścia? Przy komórkowej strukturze organizacji członkowie poszczególnych grup nie znają się wzajemnie. O to właśnie w tym modelu chodzi. Jeśli jedna grupa zostanie zdemaskowana, w żaden sposób nie może nikogo zdradzić. Uświadomiwszy to sobie, Wilt stracił zainteresowanie spoczywającym na stole arsenałem. Jest oręż skuteczniejszy od broni palnej. Wyjął długopis i zaczął pisać. Wkrótce potem zamknął drzwi kuchenne i podniósł słuchawkę telefonu.

13

Nadinspektor Misterson zażywał właśnie wytchnienia na mahoniowym sedesie pani de Frackas, gdy w saloniku zadzwonił telefon i sierżant przybiegł z meldunkiem, że terroryści są znów na linii.

- To dobry znak - stwierdził nadinspektor, opuszczając pospiesznie łazienkę. - Na ogół nie zaczynają pertraktacji tak szybko. Może uda się nam przemówić draniom do rozumu.

Wnet jednak pozbawiono go złudzeń w tym względzie. Skrzek, który wydobył się z głośnika, brzmiał nader dziwnie. Nawet na twarzy majora, zastygłej zwykle w kamienną maskę pozorowanej bezmyślności, odmalowało się zdumienie. Głos Wilta, wysoki ze strachu i gardłowy z potrzeby nadania mu akcentu cudzoziemskiego, najchętniej niemieckiego, na przemian to wypiskiwał, to wywarkiwał niezwykle żądania.

- Komunikat numehjeten Altehnyatfnej Ahmii Lutofej. Szątamy natychmiastofego ufolnienia fszystkich naszych tofarzyszy przetrzymylanych bezphafnie i bes sądu f bhytyjskich fięsieniach. Hosumiecie?

- Nie - odparł nadinspektor. - Ja na pewno nie rozumiem.

- Faszystofska schweinfleisch! - krzyknął Wilt. - Po thugie, sądamy...

- Chwileczkę - przerwał mu nadinspektor. - Nie trzymamy w więzieniu żadnych waszych... hmm... towarzyszy. Nie możemy więc spełnić...

- Łżesz jak pies - wrzasnął Wilt. - Gunther Jong, Erica Grass. Friedrich Boli, Heinrich Musil, szeby fymienić nur kilku. Alles f bhylyjskich fięsieniach. Ufolnić f ciągu fiinf godzin. Po thugie, szątamy natychmiastofego fstrzymania f telefisji, hadiu i der phasie finansofanych przes kapitalistyczno-militarische-libehalistyczno-pseudodemokratische-multinazionalistische und

finanzialisti-sche konspirazion fszystkich fałszyfych przekasóf o naszej falce o folność, ja. Dritte, szątamy natychmiastofego fycofania aus der oghód unter den linden und die strasse Fillington Hoad fszystkich militahnych truppen. Yierte, sządamy gfahancji bspieczestfa tłą członkóf Altehnatyfnej Ahmii Lutofej ohas sdemaskofania defia-cjonistycznej i hefohmistycznej shtaty klasofei uknutej przez moh-dehcóf s syjonistyczno-nihiiistische agenthuhy CIA, potszyfających się pot Czfahtą Ghupę Ahmii Lutofej, którzy tłą celóf phopaganto-fych nastają na życie kobiet i dzieci i phóbują fphofadzić f bład śfiatomość pholetahiatu f kfestii phafdzifej falki fysfoleńczej o folność na całym śfiecie. Koniec komunikatu. Na linii zapadła cisza.

- Co to, do jasnej chory, było? - zapytał major.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł nadinspektor, patrząc na niego nieprzytomnym wzrokiem. - Bez wątpienia coś obłąkanego. Jeśli nie zwiódł mnie słuch i upiorny akcent tego drania, zdaje się, że facet uważa Chinandę i Schautz za agentów CIA pracujących dla Izraela. Czy nie tak?

- Tak właśnie powiedział - potwierdził sierżant. - Czwarta Grupa Armii Ludowej to brygada Schautz i ten gość wyzwał ich od najgorszych. Możemy mieć do czynienia z jakimś odłamek Armii Ludowej.

- Możemy też mieć do czynienia z jakimś szaleńcem - mruknął nadinspektor. - Jesteście stuprocentowo pewni, że ten alternatywny terrorysta dzwonił z domu?

- Nie mógł dzwonić z innego miejsca, sir. Jesteśmy podłączeni tylko do tego numeru.

- Moim zdaniem ktoś nam wszedł na linię - stwierdził major. - Chyba że banda Schautz wymyśliła coś nowego.

- Rzeczywiście to coś nowego, żeby ugrupowanie terrorystyczne żądało wstrzymania przekazów prasowych i telewizyjnych. To wiem na pewno - odrzekł nadinspektor. - Nie wiem natomiast, skąd on, do diabła, wytrzasnął tę listę więźniów, których mamy wypuścić. O ile mi wiadomo, nie więzimy nikogo, kto by się nazywał Gunther Jong.

- Może warto to sprawdzić, stary. O niektórych z tych spraw nie mówi się głośno.

- Jeśli to aż taka tajemnica, wątpię, żeby MSW zechciało ją zdradzić akurat teraz. Tak czy owak, posłuchajmy tego bełkotu jeszcze raz.

Ale skomplikowana elektroniczna aparatura zawiodła.

- Nie mam pojęcia, co się stało z magnetofonem - powiedział sierżant. - Mógłbym przysiąc, że wszystko się nagrało.

- Prawdopodobnie szlag trafił jakiś bezpiecznik, kiedy ten świr wszedł na linię - podsunął major. - W każdym razie mało nie trafił mnie.

- Na przyszłość dopilnujcie, żeby cholera działała - warknął nadinspektor. - Chcę mieć zapis głosu tej bandy.

W oczekiwaniu na telefon nalał sobie kolejny kubek kawy i usiadł.

O ile w szeregach Brygady Antyterrorystyczne i LSS niezwykła interwencja Wilta wywołała zamieszanie, o tyle w domu zapanował kompletny chaos. Chinanda i Baggish już wcześniej wepchnęli dzieci i panią de Frackas do piwnicy, a sami zabarykadowali się w kuchni. Telefon stał dla bezpieczeństwa na podłodze. Pierwszy dopadł go Baggish i to on wysłuchał początku komunikatu. Zaniepokojony wyrazem jego twarzy Chinanda wyrwał mu słuchawkę i dowiedział się, że jest izraelskim nihilistycznym mordercą na usługach CIA, próbującym wprowadzić w bład świadomość proletariatu.

- To kłamstwo - krzyknął do Baggisha, który usiłował pogodzić wysunięte przez Alternatywną Armię Ludową żądanie uwolnienia towarzyszy przetrzymywanych w brytyjskich więzieniach ze swym dotychczasowym przeświadczeniem, że poddasze zajmują ludzie z Brygady Antyterrorystycznej.

- Co kłamstwo?, - To, co mówią. Że jesteśmy syjonistami z CIA.

- Kłamstwo! - ryknął Baggish, rozpaczliwie szukając wyrazistszego słowa na określenie tak skandalicznego zniekształcenia prawdy. - To... Kto to powiedział?

- Ktoś, kto twierdzi, że jest z Alternatywnej Armii Ludowej.

- Przecież Alternatywna Armia Ludowa domaga się uwolnienia towarzyszy bezprawnie przetrzymywanych w więzieniach przez brytyjskich imperialistów.

- Naprawdę?

- Słyszałem na własne uszy. Najpierw mówili o tym, potem zaatakowali fałszywe przekazy telewizyjne, a na koniec zażądali wycofania całego wojska.

- Więc dlaczego nazywają nas syjonistycznymi mordercami na usługach CIA? - zdziwił się Chinanda. - I gdzie oni są?

Obydwoj postali podejrzliwe spojrzenie w kierunku sufitu.

- Myślisz, że są na górze? - zapytał Baggish.

Podobnie jednak jak nadinspektor Misterson, Chinanda nie wiedział, co ma myśleć.

- Na górze jest Gudrun. Kiedy schodziliśmy, była tam strzelanina.

- Więc może Gudrun nie żyje - zauważył Baggish. - A to jest jakiś podstęp.

- Możliwe - przyznał Chinanda. - Ci z wywiadu brytyjskiego są sprytni. Umieją się posługiwać bronią psychologiczną.

- Więc co teraz zrobimy?

- Wysuniemy własne żądania. Pokażemy im, że się nie nabraliśmy.

- Jeśli mogę panom na chwilę przerwać - powiedziała pani de Frackas, wyłaniając się z piwnicy - już czas, żebym dała czworaczkom kolację.

Terrorysty popatrzyli na nią morderczym wzrokiem. W zupełności wystarczało im to, że dom jest otoczony przez oddziały wojska i policji, więc kiedy na dodatek stanęli w obliczu niezrozumiałych żądań przedstawiciela Alternatywnej Armii Ludowej i niewzruszonej pewności siebie pani de Frackas jednocześnie, poczuli potrzebę pokazania, kto tu rządzi.

- Słuchaj, kobieto - odezwał się Chinanda, wymownie machając jej przed nosem automatem,. - Tutaj my wydajemy polecenia i będziesz robić, co ci każę, albo cię zabijemy.

Pani de Frackas nie dała się jednak tak łatwo zastraszyć. Będąc w swoim długim życiu musztrowana przez guwernantki, ostrzeliwana przez Afgańczyków, zasypana gruzami dwóch domów w czasie dwóch wojen światowych i zmuszona przez kilka dziesięcioleci siedzieć przy śniadaniu naprzeciwko męża wątrobiarza - rozwinęła w sobie prawdziwie wybitną elastyczność oraz jeszcze bardziej pożyteczną dyplomatyczną głuchotę.

- Z całą pewnością - odparła pogodnie. - A teraz zobaczę, gdzie pani Wilt trzyma jajka. Zawsze byłam zdania, że dzieci powinny jeść dużo jajek. To dobrze wpływa na trawienie.

I nie zważając na wymierzony w nią automat, zaczęła się kręcić po kuchni. Podczas gdy zaglądała do szatek, Chinanda i Baggish naradzali się półgłosem.

- Zastrzele to stare pudło - stwierdził Baggish. - W ten sposób udowodnię jej, że nie blefujemy.

- W ten sposób uniemożliwisz nam wydostanie się stąd. Trzymając ją i dzieci, mamy na to jakieś szansę i możemy prowadzić wojnę propagandową.

- Bez telewizji nie będzie wojny propagandowej - zauważył Baggish. - A to jedno z żądań wysuniętych przez Alternatywną Armię Ludową. Żadnej telewizji, żadnego radia, żadnej prasy.

- Więc wysuniemy kontrżądanie. Informacja we wszystkich środkach przekazu - odrzekł Chinanda i podniósł słuchawkę.

Odezwał się w niej Wilt, który leżał na podłodze poddasza z uchem przy telefonie.

- Tu Althebnatyfna Ahmia Lutofa. Komunikat Thugi. Szątamy...

- Niczego nie szątacie. To my jesteśmy od stawiania żądań - krzyknął Chinanda. - Znamy się na brytyjskiej broni psychologicznej.

- Syjonistyczne świnię. Snamy się na mohdehcach s CIA - odparował Wilt. - Falczymy o fyszfole nie fszystkich lutóf.

- My walczymy o wyzwolenie Palestyny.

- My też. falczymy o tbnłość na całym śfiecie.

- Gdybyście się łaskawie zdecydowali, kto o co walczy - włączył się nadinspektor Misterson - moglibyśmy porozmawiać rozsądnie.

- Faszystofska policyjna świnię - ryknął Wilt. - F ogóle nie będziemy s tobą hosmafiać. Fiemy, s kim mamy to czynienia.

- Żebym tak ja to wiedział - westchnął nadinspektor i natychmiast usłyszał od Chinandy, że Grupa Armii Ludowej to...

- ...hefisyjonistyczno-defiacjonistyczne lumpen schweinen - dokończył Will. - Hefolucyjna ahmia lutu phacującego otszuca faszystofską taktykę bhania sakłatnikóf und...

Przerwał mu łoskot, który rozległ się w łazience, zadając kłam jego słowom i umożliwiając Chinandzie przedstawienie własnych żądań. Obejmowały one pięć milionów funtów, samolot

odrzutowy i przewóz samochodem pancernym na lotnisko. Chcąc stłumić odgłosy działalności Gudrun Schautz, Wilt zamknął drzwi kuchni i wrócił do telefonu w samą porę, by podbić stawkę.

- Sześć milionów funtów i tfa samochoty pancehne...

- Dla mnie możecie żądać nawet okrągłych dziesięciu milionów - stwierdził nadinspektor. - To niczego nie zmieni. Nie wchodzę w żadne układy.

- Siedem milionów albo zabijemy zakładników. Macie czas do ósmej rano. Prędzej umrzemy, niż się poddamy - krzyknął Chinanda i zanim Wilt zdążył złożyć następną ofertę, rzucił słuchawkę.

Wilt z westchnieniem odłożył swoją i zaczął się zastanawiać, co, u licha, ma teraz zrobić. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli policja nie ustąpi, terroryści spełnią pogroźkę. I równie pewne było, że policja nie zamierza dać terrorystom ani samochodu pancernego, ani samolotu. Będą po prostu grać na zwłokę, w nadziei, że złamią ich ducha. Jeśli to się nie uda i dzieci zginą, władze niespecjalnie się tym przejmą. Polityka oficjalna nie pozwala wychodzić naprzeciw żądaniom terrorystów. Dotąd Wilt się z nią zgadzał. Teraz jednak jego polityka osobista pozwoliłaby na wszystko, co mogłoby uratować rodzinę. Potrzebę wymyślenia nowego planu działania podkreślały dźwięki dobiegające z łazienki, które brzmiały tak, jakby fraulein Schautz zrywała z podłogi linoleum. Wilt wahał się przez chwilę, czy nie zagrozić, że jeśli nie przestanie, strzeli w drzwi, ale zdecydował się tego nie robić. Nie miałyby to sensu. Nie był zdolny do zabicia nikogo, chyba że przez przypadek. Musiało istnieć jakieś inne wyjście.

Również w centrum łączności było krucho z pomysłami. Kiedy ucichło echo ostatnich sprzecznych żądań nadinspektor ze znużeniem potrząsnął głową.

- Mówiłem, że to banda pomyleńców, i miałem całkowitą rację. Czy ktoś może mi powiedzieć, co się tam, do cholery, dzieje?

- Na mnie nie licz, stary - odparł major. - Jestem tu tylko po to, żeby trzymać kocioł, podczas gdy wy z Antyterrorystycznej pertraktujecie z tymi bydlakami. Takie są reguły.

- Może i są, ale wobec faktu, że, jak się zdaje, mamy do czynienia z dwiema konkurencyjnymi brygadami zbawców świata jednocześnie, nie sposób tych reguł przestrzegać. Czy nie da się czegoś zrobić, żebyśmy mieli oddzielną linię dla każdej z grup?

- Wątpię, sir - powiedział sierżant. - Alternatywna Armia Ludowa najwyraźniej używa drugiego aparatu na górze. Trzeba by się dostać do domu.

Major przestudiował nieporadny plan Wilta.

- Mógłbym wezwać helikopter i spuścić kilku moich chłopców na dach, żeby sprzątnęli tych drani z poddasza.

Nadinspektor Misterson popatrzył na niego podejrzliwie.

- Mam nadzieję, że nie używacie słowa "sprzątnąć" w znaczeniu potocznym.

- W znaczeniu potocznym? Ach, rozumiem. Nie. Nie sądzę. Mogłoby z tego wyniknąć trochę zamieszania.

- Do czego właśnie nie wolno nam dopuścić. Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś wymyślił jakiś system, który by mi umożliwił rozmowę zjedną grupą bez zagłuszeń ze strony drugiej.

Tymczasem zabrzączał interkom. Sierżant odebrał wiadomość i zameldował:

- Psychiczni i idioci, sir. Chcą wiedzieć, czy mogą tu przyjść.

- Myślę, że tak - odparł nadinspektor.

- Psychiczni i idioci? - zdziwił się major.

- Doradcy do spraw psychologii i Zespołów Analizy Działań Ideologicznych. MSW żąda, żebyśmy korzystali z ich pomocy. Czasami rzeczywiście podrzucają nam sensowne pomysły.

- Chryste - jęknął major. - Nie mam zielonego pojęcia, dokąd zmierza ten świat, skoro wojsko nazywa się siłami pokojowymi, a w Scotland Yardzie pracują psychoanalitycy.

- Alternatywna Armia Ludowa znowu na linii - zawołał sierżant.

Z głośnika ponownie popłynął strumień wyzwisk, ale Wilt zmienił taktykę. Gardłowa niemczyzna podrażniła mu struny głosowe i tym razem mówił z mniej kategorięcznym, jak również mniej przekonującym akcentem irlandzkim.

- Na świętego Patryka, jeśli zastrzelimy tę biedną niewinną Irmgard Muller, bo do ósmej maleństwa nie wrócą do swojej mamy, będzie to wyłącznie wasza winy.

- Co? - zapytał nadinspektor, zbity z tropu tą nową pogroźką.

- Nie chce mi się strześcić języka, żeby dogodzić zachciankom takich reakcyjnych świń, jakimiście są, ale skoro jesteście głusi, powiem to jeszcze raz.

- Nie trzeba - odparł inspektor stanowczym tonem. - Usłyszeliśmy za pierwszym.

- Mam nadzieję, że te syjonistyczne gady również.

Słumiony potok hiszpańszczyzny wskazywał, że usłyszały.

- Więc to by było na tyle. Po co niepotrzebnie nabijać rachunek telefoniczny, no nie?

I Wilt odłożył słuchawkę. Nadinspektorowi nie pozostało nic innego, jak możliwie najwierniej przekazać to ultimatum Chinandzie, co było zadaniem trudnym, jeśli nie niewykonalnym, gdyż terrorysta upierał się, że Alternatywna Armia Ludowa to banda faszystowskich policyjnych świń pod dowództwem nadinspektora.

- Wiemy, że Brytyjczycy są specami od broni psychologicznej! - krzyknął. - Nie tak łatwo nas oszukać.

- Zapewniam cię, Miguel...

- Nie próbuj mnie podejść, zwracając się do mnie po imieniu. Znamy się na waszej taktyce. Najpierw grozicie, a potem zmuszacie domówienia...

- Jeśli o to chodzi, wcale cię nie...

- Zamknij się, świniu! Teraz ja mówię.

- Właśnie to miałem zamiar powiedzieć, nic więcej - zaprotestował nadinspektor. - I chcę, żebyście uwierzyli, że na poddaszu nie ma żadnej policji.

- Gówno prawda. Usiłowaliście nas schwytać w pułapkę, a teraz grozicie, że zabijecie Gudrun. Mamy gdzieś wasze pogrożki. Jeśli zabijecie Gudrun, zabijemy zakładników.

- Nie mam możliwości powstrzymania osoby lub osób, w których rękach jest fraulein Schautz...

- Nie próbuj nam dłużej mydlić oczu, bo ci to nie wychodzi. Wiemy, jacy sprytni są brytyjscy imperialiści.

I Chinanda odłożył słuchawkę.

- Muszę powiedzieć, że ten bydlak jest lepszego zdania o Imperium Brytyjskim niż ja - odezwał się major. - Przede wszystkim nie wydaje mi się, żebyśmy je jeszcze mieli, chyba że policzymy Gibraltar.

Nadinspektor nie był jednak w nastroju do dyskusji o rozmiarach Imperium.

- W tym cholernym oblężeniu jest coś obłąkanego - mruknął. - Po pierwsze potrzebujemy oddzielnej linii telefonicznej do rozmów z tymi szaleńcami z góry. To sprawa najważniejsza. Jeśli zastrzelą... Jak on, do diabła, nazwał tę Schautz, sierżancie?

- Użył chyba określenia "biedna niewinna Irmgard Muller", sir. Chce pan, żebym cofnął taśmę?

- Nie - odparł nadinspektor. - Zaczekamy na analityków. Tymczasem poproście o przysłanie helikoptera, żebyśmy mogli zrzucić na balkon poddasza telefon polowy. Dzięki temu przynajmniej się dowiemy, kto tam właściwie jest.

- Telefon polowy z wbudowaną kamerą telewizyjną, sir? - zapytał sierżant.

Nadinspektor skinął głową.

- Druga sprawa to założenie podsłuchu.

- Nie możemy tego zrobić, dopóki się nie ściemni - oznajmił major. - Nie poślę moich chłopców pod kule, chyba że będzie im wolno odpowiedzieć na ogień.

- No cóż, musimy więc poczekać - stwierdził nadinspektor. - Zawsze tak jest z tymi cholernymi oblężeniami. Siedzi się tylko i czeka. Chociaż przyznam, że po raz pierwszy mam do czynienia z dwiema grupami terrorystów jednocześnie.

- Żal się człowiekowi robi tych biednych dzieci - westchnął major. - Strach pomyśleć, co muszą przechodzić.

W tym jednak wypadku major niepotrzebnie okazywał współczucie. Czworaczki wspaniale się bawiły. Po wstępnych emocjach, kiedy to kule roztrzaskiwały szyby, a terroryści ostrzeliwali się z kuchni i przedpokoju, zapędzono je wraz z panią de Frackas do piwnicy. Ponieważ staruszka nie dała się wyprowadzić z równowagi i bitwę, która rozegrała się na górze, uważała najwyraźniej za rzecz całkowicie normalną, dziewczynki przyjęły taką samą postawę. Poza tym piwnica była zawsze obszarem zakazanym. Wilt zabraniał im tam wchodzić pod pozorem, że organiczna toaleta

jest niehigieniczna i grozi wybuchem, a Eva miała na względzie swoje zapasy konfitur i wypełnioną domowymi lodami zamrażarkę. Czworaczki pobiegły prosto do niej i zanim oczy pani de Frackas przywykły do nikłego światła, opróżniły duże opakowanie. Potem inne interesujące rzeczy przyciągnęły ich uwagę. Pryzma węgla i stos drewna dostarczyły im okazji, by się gruntownie pobrudzić, a zgromadzone przez Evę zapasy organicznie wyhodowanych jabłek posłużyły jako deser po lodach. Dziewczynki niewątpliwie upiłyby się także do nieprzytomności domowym piwem Wilta, gdy pani de Frackas nie nadepnęła wcześniej na stłuczoną butelkę.

- Nie wolno wam wchodzić do tej części piwnicy - powiedziała, obrzucając surowym spojrzeniem dowody piwowarskiej nieudolności Wilta, czyli kilka butelek, które eksplodowały. - To nie jest bezpieczne.

- Więc dlaczego tatuś to pije? - zapytała Penelope.

- Kiedy będziesz trochę starsza, przekonasz się, że mężczyźni robią wiele rzeczy, które nie są ani bezpieczne, ani rozsądne - odparła pani de Frackas.

- Jak noszenie torebki na końcu dyndaska? - spytała Josephine.

- Cóż, o tym mi raczej nic nie wiadomo - odrzekła starsza pani, wyraźnie rozdarta między ciekawością i niechęcią do zagłębiania się w prywatne życie Wiltów.

- Mamusia powiedziała, że kazał mu ją nosić pan doktor - ciągnęła Josephine, pozwalając pani de Frackas wzbogacić dossier Wilta o wstydliwą chorobę.

- A ja nadepnęłam na nią i tatuś krzyknął- oznajmiła z dumą Emmeline. - Krzyknął bardzo głośno.

- Wcale mu się nie dziwię, kochanie - odparła pani de Frackas, próbując sobie wyobrazić, jaka byłaby reakcja jej cierpiącego na wątrobę nieboszczyka męża, gdyby jakieś dziecko okazało się tak niemądre, by mu nadepnąć na członek. - Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

To rozróżnienie nie dotarło do świadomości czworaczek.

- Mamusia powiedziała, że kiedy tatuś wróci od pana doktora, jego dyndasek będzie zdrowy i tatuś nie będzie już mówił "kurwa" przy psipsianiu.

- Czego nie będzie mówił, kochanie? - zapytała pani de Frackas, regulując swój aparat słuchowy w nadziei, że winę za to, co usłyszała, ponosi on, a nie Samantha.

Czworaczki unisono pozbawiły ją złudzeń.

- Kurwa, kurwa, kurwa- zapiszczały.

Pani de Frackas przyciszyła aparat.

- Cóż, doprawdy - westchnęła. - Moim zdaniem nie powinnyście używać tego słowa.

- Mamusia też nam nie pozwala, ale tatuś Michaela powiedział mu, że..,

- Nie chcę tego słyszeć - wtrąciła pospiesznie starsza pani. - Za moich czasów małe dziewczynki nie rozmawiały o tych sprawach.

- Więc jak się wtedy rodziły dzieci? - zapytała Penelope.

- Tak samo jak teraz, kochanie, ale inaczej nas wychowywano. Nie wolno nam było wspominać o takich rzeczach.

- Jakich rzeczach? - indagowała Penelope.

Pani de Frackas popatrzyła na nią niepewnie. Zaczynała dochodzić do wniosku, że czworaczki Wiltów wcale nie są takimi miłymi dziećmi, jak sądziła. W rzeczywistości były wysoce denerwujące.

- Po prostu takich - powiedziała w końcu, - Jak chuje i cipy? - zapytała Emmeline.

Pani de Frackas zmierzyła dziewczynkę wzorkiem pełnym odrazy.

- Sądzę, że można to tak ująć - odparła chłodno. - Wolabym jednak, żebyś w ten sposób nie mówiła.

- Jeżeli taksie nie mówi, to jak się mówi? - spytała Penelope.

Starsza pani bezskutecznie szukała w myślach jakiejś alternatywy.

- Nie mam pojęcia - stwierdziła wreszcie, zaskoczona swoją ignorancją. - Przypuszczam, że ta kwestia nigdy nie powstała.

- Tatusiowi powstaje - powiedziała Josephine. - Raz to widziałam.

Pani de Frackas odwróciła się do niej z niesmakiem, usiłując stłumić ciekawość.

- Widziałas? - zapytała mimo woli.

- Tatuś był z mamusią w łazience. Zajrzałam przez dziurkę od klucza i...

- Już pora, żebyście wy też poszły do łazienki - orzekła pani de Frackas i podniosła się, zanim Josephine zdążyła wyjawiać dalsze szczegóły życia seksualnego Wiltów.

- Nie jadłyśmy jeszcze kolacji - zaprotestowała Josephine.

- Więc przygotuję wam coś do jedzenia - odparła pani de Frackas i poszła po schodach do kuchni, aby poszukać jajek.

Kiedy wróciła z tacą, czworaczki nie były już głodne. Skończyły słoje marynowanej cebuli i znajdowały się w połowie drugiej paczki suszonych fig.

- Musicie zjeść te jajka - oznajmiła stanowczo starsza pani. - Nie po to z takim trudem je zrobiłam, żeby się zmarnowały.

- Pani ich nie zrobiła - powiedziała Penelope. - Zrobiły je kury mamusi.

- A tatuś ma swoje własne jajeczka - pisnęła Josephine.

Pani de Frackas, która dopiero co stawiała czoło dwóm uzbrojonym bandytom, nie była w nastroju do sporów z czterema dziewczynkami o brudnych myślach.

- Nie będziemy o tym dłużej dyskutować - odrzekła. - Mam absolutnie dosyć.

Wkrótce się okazało, że czworaczki również. Kiedy poganiała je po schodach do góry, Emmeline poskarżyła się, że boli ją brzuszeczek.

- Zaraz przestanie, skarbie - zapewniła dziewczynkę pani de Frackas. - I nic ci nie pomoże, jeśli będziesz tak ckać.

- To nie czkawka - odburknęła Emmeline i chwilę później zwymiotowała na kuchenną podłogę.

Pani de Frackas rozejrzała się w półmroku za kontaktem. Właśnie go znalazła i zapaliła światło, gdy wpadł na nią Chinanda i z powrotem je wyłączył.

- Chcesz, żeby nas wszystkich pozabijali?! - wrzasnął.

- Nie wszystkich - sprostowała pani de Frackas. - A jeśli nie będzie pan patrzył pod nogi...

Łoskot, jaki się rozległ, kiedy terrorysta przejechał przez całą kuchnię na mieszance na wół strawionej marynowanej cebuli i suszonych fig, wskazywał, że jednak nie spojrzął pod nogi.

- Ostrzegałam - stwierdziła pani de Frackas. - I nie powinien pan używać przy dzieciach takiego języka. Daje pan bardzo zły przykład.

- Dopiero mogę dać zły przykład! - krzyknął Chinanda. - Wypruję wam flaki.

- Wydaje mi się, że ktoś już to robi - odparowała starsza pani, ponieważ trzy pozostałe dziewczynki, wyraźnie dzieląc z Emmeline niezdolność do poradzenia sobie z tak eklektycznym wiktem, poszły w jej ślady.

W pełnej obrzydliwego zapachu kuchni znajdowały się więc teraz cztery wyjące i upaprane wymiocinami dziewczynki, pełna dumy i godności pani de Frackas oraz dwóch oszalałych terrorystów, gdyż Baggish, jakby nie dość już było zamieszania, opuścił posterunek w przedpokoju i wpadł do kuchni, grożąc, że zabije pierwszą osobę, która się poruszy.

- Nie mam zamiaru się poruszać - odrzekła pani de Frackas. - A ponieważ jedyną osobą, która to robi, jest to indywiduum tarzające się w kącie, proponuję, żeby mu pan skrócił cierpienia.

Od strony zlewu dochodziły odgłosy świadczące, iż Chinanda wyplątuje się z robota kuchennego Ewy, który wylądował wraz z nim na podłodze.

Pani de Frackas ponownie włączyła światło. Tym razem nikt się nie sprzeciwił. Chinanda był chwilowo zbyt oszołomiony, a Baggish zbyt przerażony wyglądem kuchni.

- A teraz - odezwała się starsza pani - jeśli panowie już skończyli, zabiorę dzieci na górę, żeby je wykąpać i położyć do łóżek.

- Do łóżek?! - wrzasnął Chinanda, podnosząc się chwiejnie. - Nikt nie pójdzie na górę. Będziecie spać w piwnicy. Macie tam natychmiast zejść.

- Jeśli pan sądzi, że pozwolę, aby te biedne dzieci zeszły do piwnicy, zanim je dokładnie umyję, to bardzo się pan myli.

Chinanda szarpnął za sznur od żaluzji, aby zasłonić kuchnię od strony ogrodu.

- Więc umyj je tutaj - powiedział, wskazując zlew.

- A gdzie macie, panowie, zamiar przebywać w tym czasie?

- Tam, skąd będziemy widzieć, co robicie.

Pani de Frackas prychnęła szyderczo.

- Znam się na takich jak wy. Jeżeli pan myśli, że wystawię te niewinne małe ciała na pastwę waszych lubieżnych spojrzeń...

- O co jej, do cholery, chodzi? - zapytał Baggish.

Starsza pani skierowała swą pogardę na niego.

- Do pana też mówię. Nie na darmo zobaczyłam Kanał Sueski i Port Said.

Baggish wbił w nią wzrok.

- Port Said? Kanał Sueski? W życiu nie byłem w Egipcie.

- A ja byłam. I co wiem, to wiem.

- O czym my rozmawiamy? Ty wiesz, co wiesz. Ale ja nie wiem, co ty wiesz.

- Pocztówki - odparła pani de Frackas. - Chyba nie muszę mówić dalej.

- Jeszcze nic nie powiedziałaś. Najpierw Kanał Sueski, potem Port Said, a teraz pocztówki. Czy ktoś mi wyjaśni, co to ma, do diabła, wspólnego z myciem dzieci?

- Cóż, jeśli koniecznie musi pan wiedzieć, chodzi mi o nieprzyzwoite pocztówki. Mogłabym też napomknąć o osłach, ale tego nie zrobię. A teraz, gdybyście obydwaj zechcieli opuścić to pomieszczenie...

Do Baggisha dotarło jednak wreszcie znaczenie imperialnych uprzedzeń pani de Frackas.

- Chodzi ci o pornografię? W którym stuleciu twoim zdaniem żyjemy? Jeśli ktoś szuka pornografii, przyjeżdża do Londynu. W Soho...

- Nie szukam pornografii i nie zamierzam dłużej roztrząsać tej kwestii.

- Więc złaż do piwnicy, zanim cię zabiję - wrzasnął rozwścieczony Baggish.

Ale starej pani de Frackas nie mogły skłonić do posłuchu byle pogróżki i żeby wepchnąć ją z czworaczkami w drzwi piwnicy, trzeba było użyć siły fizycznej. Gdy schodziły po schodach, terroryści usłyszeli, jak Emmeline pyta, czemu ci okropni panowie nie lubią osiołków.

- Mówię ci, Anglicy to wariaci - stwierdził Baggish. - Dlaczego musieliśmy wybrać ten obłąkany dom?

- To on wybrał nas - odparł ponuro Chinanda.

O ile pani de Frackas nie przyjęła do wiadomości faktu, że jej życie jest w niebezpieczeństwie, o tyle Wilt jasno zdawał sobie sprawę, że jego taktyka obróciła się przeciwko niemu. Wymyślając Alternatywną Annie Ludową, znakomicie spotęgował zamieszanie, ale grożąc, że zlikwiduje, a ściślej - zamorduje Gudrun Schautz, popełnił straszliwy błąd, gdyż takiego blefu nie mógł przeciągać w nieskończoność. Rejestr wypadków zastosowania przez Wilta przemocy fizycznej, obejmujący czterdzieści lat, notował tylko sporadyczne i zwykle nieudane starcia z muchami i komarami. Nie, postawienie ultimatum było niemal równie głupie jak to, że nie opuścił domu, kiedy jeszcze mógł. Teraz już nie mógł, a dochodzące z łazienki odgłosy świadczyły, że Gudrun Schautz uporała się z linoleum i przechodzi do podłogi. Gdyby się wymknęła i przyłączyła do znajdujących się na parterze mężczyzn, jej intelektualny zapał zlałby się z ich bezmyślnym fanatyzmem. Z drugiej jednak strony nie przychodził Willowi do głowy żaden pomysł, jak ją powstrzymać, z wyjątkiem groźby, że będzie strzelał przez drzwi łazienki, i jeśli ta groźba nie poskutkuje... Musi być jakaś alternatywa. A gdyby tak sam otworzył drzwi i przekonał ją, że zejście na dół jest niebezpieczne? Dzięki temu zapobiegłby spotkaniu całej grupy i fraulein Schautz nie mogłaby wesprzeć swych towarzyszy broni. Cóż, wystarczy to tylko wykonać.

Wilt podszedł do telefonu i wyrwał przewód z gniazdka. Jedno z głowy, ale pozostawała jeszcze drobna kwestia broni. Przebywanie w jednym mieszkaniu z kobietą, która z zimną krwią zamordowała osiem osób, nie należy do przyjemności w żadnych okolicznościach, a kiedy w tym mieszkaniu znajduje się również broń palna w liczbie wystarczającej do zabicia kilkuset dalszych - to już zakrawa na samobójstwo. Trzeba się tego arsenału pozbyć. Ale jak? Nie mógł przecież wyrzucić draństwa przez okno. Deszcz pistoletów i granatów prawdopodobnie skłoniłby terrorystów do sprawdzenia, co się, do diabła, dzieje na górze. Zresztą granaty pewnie by wybuchły, a było już dość zamieszania i bez dodatkowych eksplozji. Najlepiej będzie broń ukryć. Włożył ją bardzo ostrożnie z powrotem do torby i przeszedł przez kuchnię do wejścia na stryszek. Gudrun Schautz najwyraźniej zrywała teraz klepkę, więc korzystając z hałasu, Wilt wspiął się na górę. Przepchnąwszy się do bojlera, spuścił torbę do wody i zasunął pokrywę. Potem, upewniwszy się, że nie zapomniał o automacie, zebrał odwagę do następnego posunięcia. Było ono jego zdaniem równie bezpieczne, jak otwarcie klatki z tygrysem i zachęcenie bydlaka do wyjścia, ale nie miał wyboru. W obłądnej sytuacji tylko akt kompletnego szaleństwa mógł uratować dzieci. Wilt podszedł do drzwi łazienki.

- Irmgard - szepnął.

Panna Schautz kontynuowała swą niszczycielską działalność. Wilt wziął kolejny głęboki oddech i szepnął głośniejszym głosem. Praca w łazience ustała i za drzwiami zaległa cisza.

- Irmgard - powtórzył Wilt. - Czy to ty?

Dał się słyszeć jakiś ruch, a potem cichy głos zapytał:

- Kto tam?

- To ja - odparł Wilt, z całego serca żałując, że to on. - Henry Wilt.

- Henry Wilt?

- Tak. Tamci sobie poszli.

- Kto sobie poszedł?

- Nie wiem. Ale kimkolwiek byli, już ich tu nie ma. Możesz wyjść.

- Wyjść? - spytała Gudrun Schautz tonem świadczącym o kompletnym oszołomieniu, na którym właśnie Wiltowi zależało.

- Odblokuję drzwi.

Zaczął odpłatywać przewód z klamki, co nie było łatwe w zapadających ciemnościach, ale po paru minutach rozwiązał supeł i odstawił krzesło.

- Gotowe - oznajmił. - Możesz wyjść.

Gudrun Schautz jednak nawet się nie poruszyła.

- Skąd mam wiedzieć, że to pan?

- Nie wiem - odrzekł Wilt, zadowolony, że dodatkowo zyskuje na czasie. - To po prostu ja.

- Czy ktoś jest z panem?

- Nie. Tamci zeszli na dół.

- Cały czas pan powtarza "tamci". Kim oni są?

- Nie mam pojęcia. Jacyś ludzie z bronią. W domu roi się od ludzi z bronią.

- Więc dlaczego pan tu jest? - indagowała panna Schautz.

- Bonie mogą być gdzie indziej - odparł Wilt zgodnie z prawdą. - Chyba nie sądzisz, że chcę tu być. Oni strzelali do siebie. O mało mnie nie zabili. Nie wiem, co tu się, do diabła, dzieje.

Odpowiedziała mu cisza. Gudrun Schautz również trudno było zrozumieć, co się dzieje. W mroku kuchni Wilt uśmiechnął się pod nosem. Tak trzymać, a dziwka kompletnie zgłupieje.

- I jest pan sam? - zapytała.

- Oczywiście.

- Więc skąd pan wiedział, że to ja jestem w łazience?

- Słyszałem, że się kąpiesz - wyjaśnił Wilt. - A potem ci wszyscy ludzie zaczęli krzyczeć i strzelać, i...

- Gdzie pan wtedy był?

- Posłuchaj - odezwał się Wilt, postanawiając zmienić taktykę. - Nie rozumiem, dlaczego mnie tak wypytyjesz. Zadałem sobie trud, żeby tu przyjść i odblokować drzwi, a ty nie chcesz wyjść i maglujesz mnie, gdzie byłem, kim oni są i tak dalej, jakbym mógł to wiedzieć. Ściśle biorąc, kimałem sobie w sypialni...

- Co pan robił?

- Co robiłem? Kimałem. Uciałem sobie poobiednią drzemkę. Spałem, rozumiesz? W każdym razie kiedy ta cała kołomyja się zaczęła, to strzelanie i w ogóle, usłyszałem, że wołasz: "Bierzcie dzieci", i pomyślałem sobie, jak to miło z twojej strony, że...

- Miło z mojej strony? Pomyślał pan, że to miło z mojej strony? - zapytała panna Schautz, wyraźnie tłumiąc niedowierzanie.

- Chodzi mi o to, że postawiłaś bezpieczeństwo dzieci ponad własne. Większości ludzi nie przyszłoby do głowy, żeby je ratować.

Bulgoczące dźwięki, które rozległy się w łazience, wskazywały, że Gudrun Schautz nie przyszła do głowy możliwość takiej interpretacji jej poleceń i dziewczyna weryfikuje właśnie swoją opinię o inteligencji Wilta.

- Rzeczywiście nie - przyznała w końcu.

- Naturalnie po czymś takim nie mogłem cię zostawić zamkniętej w łazience - ciągnął Wilt, uświadomiwszy sobie, że udawanie tępego naiwniaka ma swoje dobre strony. - Noblesse oblige i tak dalej.

- Noblesse oblige?

- No, wiesz, przystuga za przystugę czy coś w tym rodzaju - wyjaśnił. - Więc gdy tylko droga była wolna, wyszedłem spod łóżka i przybiegłem tutaj.

- Jaka droga? - zapytała podejrzliwie panna Schautz.

- Kiedy te bydlaki zdecydowały się zejść na dół - odparł Wilt. - Wydawało mi się, że tu będzie najbezpieczniej. Zresztą mniejsza o to. Może byś tak wyszła i usiadła? Musi ci tam być trochę niewygodnie.

Panna Schautz rozważyła tę propozycję oraz fakt, że Wilt mówi jak skończony idiota, i postanowiła zaryzykować.

- Nie mam na sobie ubrania - powiedziała, uchylając drzwi na szerokość cala.

- Cholera - mruknął Wilt. - Strasznie przepraszam. Nie pomyślałem o tym. Zaraz ci coś przyniosę.

Poszedł do pokoju, pogmerał w szafie i wymacawszy po ciemku coś, co robiło wrażenie płaszcza przeciwdeszczowego, wrócił pod drzwi łazienki.

- Masz tu jakiś płaszcz - oznajmił, podając go jej przez szparę. - Nie chcę zapalać światła, bo ci faceci z dołu mogliby je zobaczyć i znowu zacząć strzelać z tych swoich automatów. Ale nie bój się. Zamknąłem drzwi na zasuwę i zabarykadowałem je, więc nieźle by się musieli namęczyć, żeby tu wejść.

Panna Schautz włożyła płaszcz i gdy ostrożnie wyszła z łazienki, zastała Wilta na nalewaniu wrzątku z elektrycznego czajnika do imbryczka.

- Pomyślałem, że filiżanka herbaty dobrze ci zrobi - powiedział. - Bo mnie na pewno.

Stojąca za jego plecami Gudrun Schautz usiłowała pojąć, co się wydarzyło. Od chwili gdy została zamknięta w łazience, była przekonana, że poddasze zajęła policja. Teraz wyglądało na to, że ktokolwiek tu był, już sobie poszedł, a ten wymoczkowaty i głupi Anglik jak gdyby nigdy nic robi herbatę. Przyznanie się Wilta do czegoś tak haniebnego, jak spędzenie popołudnia pod łóżkiem w sypialni piętro niżej, potwierdziło wrażenie, które wyniosła z jego nocnego starcia z frau Wilt, a mianowicie, że nie stanowi on żadnego zagrożenia. Z drugiej jednak strony musiała wybadać, ile wie.

- Ci ludzie z bronią - zaczęła. - Co to za jedni?

- No cóż, nie bardzo mogłem ich obejrzeć - odparł Wilt. - Leżałem przecież pod łóżkiem i w ogóle. Niektórzy byli w wysokich butach, a niektórzy nie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Gudrun Schautz nie rozumiała.

- W wysokich butach?

- Tak. A propos, słodzisz?

- Nie.

- Bardzo mądrze - pochwalił Wilt. - Cukier okropnie szkodzi na zęby. Proszę, to twoja filiżanka. Och, przepraszam. Zaczekaj, wezmę jakąś ścierkę i pomogę ci się wytrzeć.

W ciasnej kuchni Wilt znalazł po omacku zmywak i po chwili wycierał płaszcz Gudrun Schautz z herbaty, którą wylał rozmyślnie.

- Już wystarczy - powiedziała dziewczyna, gdy przeniósł swe zabiegi z jej piersi w niższe rejony.

- Zrobione. Należę ci drugą filiżankę.

Panna Schautz precyzyjnie się obok Wilta do pokoju, a on zaczął się zastanawiać, jakie inne jeszcze domowe katastrofy mogłyby spowodować, aby rozproszyć jej uwagę. Oczywiście zawsze miał w odwodzie seks, ale zważywszy na okoliczności, wydawało się mało prawdopodobne, żeby suka była nim szczególnie zainteresowana, a gdyby nawet, świadomość kochania się z profesjonalną morderczynią wybitnie by mu utrudniła pobudzenie. Ze strachu wędnie człowiekowi jeszcze bardziej niż po whisky. Parę komplementów mogło jednak coś dać, a ona niewątpliwie ma ładne cycuszki. Wilt zabrał świeżą filiżankę herbaty do pokoju, gdzie zastał pannę Schautz na wyglądaniu przez okno balkonowe do ogrodu.

- Na twoim miejscu nie zbliżałbym się do okna - powiedział. - Na zewnątrz jest mnóstwo szaleńców w koszulkach z Kaczorem Donaldem.

- W koszulkach z Kaczorem Donaldem?

- Iz karabinami - dodał Wilt. - Według mnie to jeden wielki obłąd.

- I nie ma pan pojęcia, co się dzieje?

- Słyszałem, że ktoś krzyczał coś o Izraelczykach, ale to mi się jakoś nie widzi. Po kiego licha Izraelczycy mieliby najeżdżać Willington Road?

- Mój Boże - westchnęła Gudrun Schautz. - Więc co my teraz zrobimy?

- Co zrobimy? - powtórzył Wilt. - Nie sądzę, żebyśmy mogli zrobić coś poza tym, że wypijemy herbatę i postaramy się nie zwracać na siebie uwagi. To na pewno jakieś okropne nieporozumienie. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by to mogło być innego, a ty?

Gudrun Schautz potrafiła, i to doskonale. Woląa jednak milczeć, dopóki nie będzie w stanie zmusić tego idioty do posłuchu. Przeszła do kuchni zaczęła się wspinać na stryszek. Wilt podążył za nią, sącząc herbatę.

- Oczywiście dzwoniłem na policję - powiedział, przybierając jeszcze bardziej tępy wyraz twarzy.

Panna Schautz znieruchomiła.

- Na policję? Dzwonił pan na policję?

- Ale się nie dodzwoniłem. Jakies bydlę wyrwało przewód z gniazdka. Nie rozumiem dlaczego. Przy całej tej strzelaninie...

Gudrun Schautz już go jednak nie słuchała. Gramoliła się po desce w stronę swoich bagaży i po chwili usłyszał, że szpera wśród toreb. Oby tylko dziwka nie zajrzała do bojlera. Chcąc rozproszyć jej uwagę, wsadził głowę w drzwi i przekreślił kontakt.

- Nie powinniśmy włączać światła - tłumaczył, gdy dziewczyna, klnąc, potykała się w ciemnościach. - Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, że tu jesteśmy. Najlepiej przycupnąć gdzieś cichutko i poczekać, aż sobie pójdą.

Gudrun Schautz przywitała tę sugestię potokiem niezrozumiałej, ale wyraźnie gniewnej niemczyzny i po kilku minutach bezowocnych prób znalezienia po omacku torby z bronią zesła zasapana do kuchni.

Wilt postanowił uderzyć ponownie.

- Niepotrzebnie się lak denerwujesz, kochanie. Jesteś przecież w Anglii, a tu nie może ci się stać nic złego.

Objął ją ramieniem w geście pocieszenia.

- No i jesteś pod moją opieką. Niczego się nie bój.

- Mój Boże - powiedziała Gudrun Schautz i niespodziewanie zaczęła się trząść od bezgłośnego śmiechu.

Myśl, że jest pod opieką tego wymoczkowatego i głupiego małego tchórza, była dla morderczyni już nie do zniesienia. "Niczego się nie bój". Nagle to zdanie nabrało nowego, straszliwego sensu i objawiła się jej zawarta w nim prawda. Prawda, z którą walczyła przez całe swoje życie. Jedyne, czego się bała, było właśnie - nic. Gudrun Schautz zobaczyła wokół siebie pustkę, nieskończoną nicość i napełniło ją przerażenie. Rozpaczliwie pragnąc uciec przed tą wizją, przylgnęła do Wilta i poły jej płaszcz się rozsunęły.

- Co ty... - zaczął Wilt, uświadomiwszy sobie nowe zagrożenie, ale usta panny Schautz były już na jego ustach, jej język trzepotał, a dłoń przyciągnęła jego palce do piersi. Istota, która dotąd sprowadzała na świat tylko śmierć, teraz, ogarnięta paniką, uległa najstarszemu ze wszystkich instynktów.

15

Gudrun Schautz nie była jedyną osobą w Ipford, która widziała wokół siebie pustkę. Dyrektor banku Wilta spędził niezmiernie denerwujące popołudnie w towarzystwie inspektora Flinta, który nie przestawał go zapewniać, że dla dobra państwa nie powinien dzwonić do żony, aby odwołać umówioną kolację, ani komunikować się z personelem i klientami. Dyrektor uważał to powątpiewanie w jego dyskrecję za obraźliwe, a obecność Flinta za absolutnie zabójczą dla reputacji uczciwego finansisty.

- Co, do diabła, waszym zdaniem myśli sobie mój personel, kiedy przez cały dzień siedzę zamknięty w gabinecie z trzema cholernymi gliniarzami? - zapytał, przechodząc z dyplomatycznego języka bankowości na formę bardziej potoczną.

Szpecially irytował go fakt, że jest zmuszony wybierać między siusianiem do pożyczonego od sprzątaczkii kubła i poniżającą asystą policyjną w toalecie.

- Do czego to podobne, żeby człowiek nie mógł się już spokojnie odlać we własnym banku, tylko ktoś musi mu stać nad głową.

- Bardzo trafnie pan to ujął - odparł Flint - ale ja wykonuję jedynie rozkazy przełożonych i skoro Brygada Antyterrorystyczna mówi, że coś leży w interesie państwa, to znaczy, że tak jest.

- Nie rozumiem, jak może leżeć w interesie państwa zabranianie mi załatwienia naturalnej potrzeby na osobności - stwierdził dyrektor. - Dopilnuję, żeby dowiedziało się o tym MSW.

- Proszę bardzo - odrzekł Flint, który miał własne powody do niezadowolenia.

Wkroczenie do akcji Brygady Antyterrorystycznej podkopało jego władzę. Fakt, że jest temu winien Wilt, jeszcze powiększał jego wściekłość i inspektor rozmyślał właśnie o talencie Wilta do rujnowania mu życia, gdy zadzwonił telefon.

- Ja odbiorę, jeśli pan pozwoli - powiedział i podniósł słuchawkę.

- Pan Fildroyd z Inwestycji Centralnych - oznajmiła telefonistka.

Flint popatrzył na dyrektora.

- Jakiś Fildroyd. Zna pan takiego?

- Fildroyda? Oczywiście, że znam.

- Można mieć do niego zaufanie?

- Na miłość boską, człowieku! Czy można mieć zaufanie do Fildroyda? On kieruje polityką inwestycyjną banku.

- Akcje i papiery wartościowe, co? - mruknął Flint, który ulokował kiedyś pewną sumę w australijskich boksytach i jeszcze nie zapomniał tego doświadczenia. - W takim razie nie ufałbym draniowi za grosz.

Przekazał swą opinię - w nieco tylko mniej obraźliwej formie - dziewczynie z centrali. Daleki grzmot na linii wskazywał, że jego słowa dotarły również do pana Fildroyda.

- Pan Fildroyd pyta, kto mówi - odparła telefonistka.

- Proszę mu powiedzieć, że inspektor Flint z policji fenlandzkiej i że jeśli nie chce mieć kłopotów, niech trzyma gębę na kłódkę.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do dyrektora, który wyglądał dość niewyraźnie.

- Co panu jest? - zapytał Flint.

- Co mi jest? Nic, zupełnie nic. Tylko teraz cały Oddział Inwestycji Centralnych będzie myślał, że podejrzewacie mnie o jakieś poważne wykroczenie.

- Zwalenie mi na kark Henry'ego Wilta jest poważnym wykroczeniem - odrzekł kwaśno Flint. - I jeśli chce pan znać moje zdanie, to Wilt ukartował całą tę historię, żeby znowu zwrócić na siebie uwagę.

- O ile dobrze zrozumiałem, pan Wilt jest niewinną ofiarą...

- Niewinną ofiarą, akurat. W dniu kiedy ten sukinsyn będzie niewinny, przestanę być gliną i wykonywać te pieprzone rozkazy.

- Muszę przyznać, że ma pan uroczy sposób wyrażania się - powiedział dyrektor.

Flint był jednak zbyt pogrążony w myślach, by zauważyć ironię. Przypomniały mu się te upiorne dni i noce, które spędził z Wiltem na rozmowach o zniknięciu pani Wilt. Wciąż jeszcze budzi się czasem przed świtem zlany potem i wspominając niezwykle zachowanie Wilta, przysięgał sobie, że pewnego dnia przyłapie drania na jakimś poważnym przestępstwie. Dzisiaj miał idealną okazję, a raczej miałby, gdyby nie wtrąciła się Brygada Antyterrorystyczna. Cóż, przynajmniej to oni muszą się teraz borykać z sytuacją, ale gdyby decyzja należała do Flinta, zignorowałby całą tę bzdurną gadaninę o niemieckich pomocach domowych i aresztował Wilta pod zarzutem posiadania skradzionych pieniędzy, bez względu na jego wyjaśnienia.

Ale kiedy o piątej opuścił bank i wrócił do komisariatu, przekonał się, że znowu, choć wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, wyjaśnienia Wilta odpowiadają faktom.

- Oblężenie? - zapytał oficera dyżurnego. - Na Willington Road? Oblężenie domu Wilta?

- Żywy dowód ma pan tam - odparł policjant, wskazując drzwi jednego z pokoi. Flint podszedł do nich i zajrzał przez szybę.

Skamieniała w posąg macierzyństwa Eva Wilt siedziała na krześle, patrząc w przestrzeń. Myślami wyraźnie była gdzie indziej, w domu na Willington Road, przy dzieciach. Flint odwrócił wzrok i po raz Bóg wie który zaczął się zastanawiać, co takiego połączyło tę kobietę z jej niezaprzeczalnie zdominowanym mężem i na skutek jakiejś niewytłumaczalnej fuzji przeciwieństw uczyniło ich katalizatorem katastrof. To małżeństwo między kobietą, którą Wilt nazwał kiedyś centryfugą w ludzkim ciele, i mężczyzną, którego wyobraźnia rodziła krwawe obrazy morderstwa i gwałtu oraz dziwaczne rojenia ujawnione podczas długich godzin przesłuchania, wciąż pozostawało

dla Flinta zagadką. Ponieważ jego własny związek był tak konwencjonalnie udany, jak tylko można sobie tego życzyć, w Willach widział nie tyle małżeństwo, co jakiś dość ponury związek symbiotyczny o niemal roślinnym charakterze, przypominający zrosnięcie się jemioly z dębem. Niewątpliwie było coś z rośliny w siedzącej w milczeniu pani Wilt, i inspektor Flint potrząsnął ze smutkiem głową.

- Biedna kobieta jest w szoku - powiedział i oddalił się pospiesznie, aby osobiście zbadać, co się właściwie dzieje na Willington Road.

Flint jak zwykle źle ocenił sytuację. Eva nic była w szoku. Już dawno uświadomiła sobie bezcelowość mówienia siedzącym z nią policjantkom, że chce iść do domu, i teraz jej myśli spokojnie, lecz nieubłaganie obracały się wokół spraw praktycznych. Gdzieś tam w narastających ciemnościach są jej dzieci, zdane na łaskę i niełaskę morderców, a Henry już pewnie nie żyje. Nic nie mogło jej powstrzymać przed dotarciem do czworaczków i podjęciem próby ich ratowania. O tym, co będzie później, nie myślała. Ogarniała ją tylko ponura zaciekłość.

- Może chciałaby pani, żeby przysłała tu i posiedziała z panią jakąś przyjaciółką? - podsunęła jedna z policjantek. - Albo mogłybyśmy panią do kogoś zawieźć.

Eva potrząsnęła głową. Nie potrzebowała współczucia. Miała dość siły wewnętrznej, by stawić czoło nieszczęściu. W końcu do komisariatu przyjechała opiekunka społeczna.

- Czekaj na panią w naszym schronisku miłutki, przytulny pokójek - powiedziała z natrętną wesołością, która w przeszłości zirytowała niejedną maltretowaną przez męża kobietę. - I nie musi się pani martwić o takie drobiazgi, jak koszula nocna czy szczoteczka do zębów. Będzie pani miała wszystko, czego dusza zapagnie.

"Nie wszystko" - pomyślała Eva, ale podziękowała policjantkom, poszła za opiekunką i potulnie wsiadła do samochodu. Podczas jazdy kobieta ani na chwilę nie przestawała trąkotać, wypytywać o czworaczki, ile mają lat i tak dalej, jak trudno musi być wychowywać cztery dziewczynki jednocześnie, jakby udawanie, że nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, mogło jakimś cudem odbudować szczęśliwy, normalny świat, który rozpadł się tego popołudnia na oczach Ewy. Ta prawie nic nie słyszała. Banalne słowa brzmiały wobec kłębiących się w niej myśli tak groteskowo, że tylko budziły gniew i utwierdzały ją w straszliwym postanowieniu. Żadne głupie babsko, które nie ma dzieci, nie zrozumie, jak to jest, kiedy grozi im niebezpieczeństwo. Eva nie zamierzała dać się przekonać, że powinna się pogodzić z sytuacją.

Na rogu Diii Road i Persimmon Street spostrzegła tablicę wystawioną przed kioskiem z prasą. **NAJNOWSZE WIADOMOŚCI Z OBLĘŻENIA TERRORYSTÓW.**

- Chcę gazetę - powiedziała ostrym tonem.

Opiekunka społeczna zatrzymała samochód przy krawężniku.

- Nie dowie się pani niczego, czego by pani już nie wiedziała.

- Wiem. Chcę po prostu zobaczyć, co piszą - wyjaśniła Eva, otwierając drzwiczki, ale kobieta ją powstrzymała.

- Proszę tu zostać. Przyniosą pani gazetę. Chciałaby pani również jakieś pismo ilustrowane.

- Tylko gazetę.

Z niemiłą myślą, że nawet w obliczu straszliwej tragedii niektórzy ludzie pocieszają się, widząc swoje nazwisko w gazecie, opiekunka przecięła chodnik i wstąpiła do kiosku. Po trzech minutach wyszła i dopiero gdy otworzyła samochód, uświadomiła sobie, że miejsce obok kierowcy jest puste. Eva Wilt zniknęła w ciemności.

Zanim inspektor Flint pokonał blokadę drogową na Farringdon Avenue i przy pomocy komandosa z LSS przedarł się przez kilka ogrodów do centrum łączności, zaczął wątpić w swoją teorię, że cała historia jest jeszcze jednym matactwem Wilta. A jeśli nim była, tym razem drań posunął się za daleko. Samochód pancerny na ulicy i reflektory wokół numeru dziewiątego świadczyły o powadze, z jaką Brygada Antyterrorystyczna i Lądowe Służby Specjalne podchodzą do oblężenia. Na werandzie na tyłach domu pani de Frackas montowano zagadkowo wyglądający sprzęt.

- Paraboliczne urządzenie podsłuchowe - wyjaśnił Flintowi jakiś technik. - Kiedy je zainstalujemy, będziemy mogli usłyszeć pierdnięcie karalucha w dowolnym pomieszczeniu tego domu.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia, że karaluchy pierdzą - odparł Flint. - Człowiek ciągle dowiaduje się czegoś nowego.

- Teraz się dowiemy, co te dranie mówią i gdzie dokładnie są.

Flint przeszedł z werandy do saloniku i znalazł tam nadinspektora Mistersona z majorem. Słuchali doradcy do spraw ideologii międzynarodowego terroryzmu, który omawiał nagrania rozmów telefonicznych.

- Jeśli chcecie usłyszeć moją opinię - zaczął profesor Mearlis, choć nikt go o nią nie pytał - zaryzykowałbym stwierdzenie, że Alternatywna Armia Ludowa jest podfrakcją lub odłamek pierwotnej organizacji znanej jako Grupa Armii Ludowej.

Flint usiadł w kącie i z przyjemnością odnotował fakt, że nadinspektor i major są równie zdezorientowani jak on.

- Czy chce pan powiedzieć, że mamy do czynienia z dwiema frakcjami tego samego ugrupowania?

- Ściśle biorąc, nie - odrzekł profesor. - Mogę tylko wnosić z wyrażonych w ich komunikatach inherentnych sprzeczności, że istnieje między nimi silne zróżnicowanie poglądów w kwestii podejścia taktycznego, podczas gdy podstawowe założenia ideologiczne obu grup są takie same. Jednakowoż na skutek molekularnej struktury organizacji terrorystycznych identyfikacja członka jednej grupy przez członka innej grupy lub podfrakcji tej samej grupy jest w najwyższym stopniu problematyczna.

- Cała ta pieprzona sytuacja jest problematyczna - powiedział nadinspektor. - Jak dotąd odebraliśmy dwa komunikaty od kogoś, kto mówił głosem połowicznie wykastrowanego Niemca, jeden od astmatycznego Irlandczyka, żądanie jumbo jeta i sześciu milionów funtów od Meksykanina i kontrżądanie siedmiu milionów od Szwaba, nie wspominając o potoku arabskich wyzwisk, wzajemnych oskarżeniach o pracę dla CIA na rzecz Izraela i dyskusjach, kto walczy za czyją wolność.

- Nie rozumiem, jak można mówić o wolności, trzymając jako zakładników niewinne dzieci i grożąc, że sieje zabije - zauważył major.

- Nie mogę się tutaj z panem zgodzić - stwierdził profesor. - W kategoriach neoheglowskiej i postmarksistowskiej filozofii politycznej jednostka osiąga wolność jedynie w kolektywnie wolnym społeczeństwie. Członkowie Grupy Armii Ludowej uważają się za bojowników idei całkowitej wolności i równości, i jako tacy nie mają obowiązku przestrzegać norm moralnych, które ograniczają działania sługusów imperialistycznego, faszystowskiego i neokolonialnego ucisku.

- Słuchaj no, stary - odezwał się gniewnie major, zdejmując swą perukę w stylu afro. - Po czyjej ty właściwie jesteś stronie?.

- Ja tylko przedstawiam teorię terroryzmu. Jeśli chcecie się z nią zapoznać bardziej szczegółowo... - zaczął profesor nerwowym tonem, ale przerwał mu szef Zespołu do spraw Działań Psychologicznych, badającego nagrania.

- Analiza parametrów akcentowych wykazała, że u członków grupy, w której rękach znajduje się fraulein Schautz, występują silniejsze objawy zaburzeń emocjonalnych niż u dwóch pozostałych terrorystów - oznajmił. - Uważam, że powinniśmy się skoncentrować na obniżeniu poziomu pobudzenia.

- Chce pan powiedzieć, że ta Schautz może zostać zastrzelona? - zapytał nadinspektor.

Psycholog skinął głową.

- To dość intrygująca sprawa. Mamy tu do czynienia z bardzo dziwnym przypadkiem odchylenia od normalnego modelu reakcji narządów mowy i moim zdaniem panna Schautz jest najbardziej narażona na kulkę w łeb.

- Nie będę się martwił, jeśli ją dostanie - mruknął major. - Od dawna jej się to należy, a nam odpadnie jeden kłopot.

- Jeśli do czegoś takiego dojdzie, kłopoty dopiero na nas spadną - odparł nadinspektor. - Otrzymałem polecenie, by operację przeprowadzić na spokojnie, a jeżeli oni zaczną zabijać zakładników, rozpęta się piekło.

- Tak - wtrącił się profesor. - To bardzo interesująca sytuacja dialektyczna. Powinniście wiedzieć, że teoria terroryzmu jako siły postępu dziejowego głosi konieczność zaostrzenia walki klas i polaryzacji poglądów politycznych. Rozpatrując problem w kategoriach czystej skuteczności

działania, musimy przyznać, że przewaga leży po stronie Czwartej Grupy Armii Ludowej, a nie Alternatywnej Armii Ludowej.

- Niech pan to powie jeszcze raz - poprosił major.

Profesor wyświadczył mu tę uprzejmość.

- Mówiąc prościej, z politycznego punktu widzenia lepiej jest zabić te dzieci niż fraulein Schautz.

- Może według pana - odrzekł major, zaciskając dłoń na kolbie pistoletu. - Ale radzę nie rozgłaszać tej opinii.

- Wyrażałem się tylko w kategoriach politycznej polaryzacji - wyjaśnił niespokojnym tonem profesor. - Jeżeli zginie fraulein Schautz, wzburzy to jedynie bardzo małą część populacji, natomiast zlikwidowanie czwórki małych dzieci, będących w dodatku jednocześnie początkiem rodzeństwa płci żeńskiej, wywołałoby znaczący efekt.

- Dziękuję panu, panie profesorze - odezwał się pospiesznie nadinspektor i zanim major zdążył odszyfrować tę złowieszczą przepowiednię, wypchnął doradcę do spraw ideologii terroryzmu z pokoju.

- Właśnie tacy cholerni jajogłowi doprowadzili ten kraj do ruiny - powiedział major. - Kiedy się go słucha, można pomyśleć, że na każde pieprzone pytanie są dwie różne 'odpowiedzi.

- Co jest dokładnym przeciwieństwem wyników naszej analizy - odparł psycholog. - Wskazują one, że w imieniu Alternatywnej Armii Ludowej zabiera głos tylko jeden człowiek.

- Jeden człowiek? - powtórzył nadinspektor z niedowierzaniem. - Miałem raczej wrażenie, że to pół tuzina obłąkanych brzuchomówców.

- No właśnie. Dlatego sądzymy, że powinniście się postarać obniżyć poziom pobudzenia tej grupy. Prawdopodobnie mamy do czynienia z przypadkiem rozdwojenia osobowości. Puszczę te taśmy jeszcze raz i może wtedy lepiej zrozumiecie, o co mi chodzi.

- Czy to konieczne?. Ja...

A sierżant już włączył magnetofon i w zapchanym sprzętem i ludźmi saloniku znów rozległy się gardłowe warknięcia i piski komunikatów Wilta. Siedzący w ciemnych kącie inspektor Flint, który już prawie zasypiał, zerwał się nagle na równe nogi.

- Wiedziałem! - krzyknął triumfalnie. - Wiedziałem. Po prostu wiedziałem, że to musi być to, i na Boga jest!

- Że to musi być co'? - zapytał nadinspektor.

- Że za całym tym zamieszaniem stoi Henry Pieprzony Wilt. Te nagrania są dowodem.

- Jesteście pewni, inspektorze?

- Jestem więcej niż pewny. Poznałbym tego sukinsyna po głosie, nawet gdyby udawał rodzącą Eskimoskę.

- Nie sądzę, żeby doszło aż do tego - odparł doradca do spraw psychologii. - Czy chce pan powiedzieć, że zna człowieka, którego przed chwilą słyszeliśmy?

- Czy go znam? - powtórzył Flint. - Oczywiście, że znam drania. Jak mógłbym nie znać po tym, jak mnie załatwił. A teraz robi w konia was wszystkich.

- Trudno mi w to uwierzyć - stwierdził nadinspektor. - Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej nieszkodliwego faceta.

- Ja potrafię - odparł Flint z przekonaniem.

- Żeby dał się namówić na wejście do domu, musieliśmy go nafaszerować chemikaliami - przypomniał major.

- Jakimi chemikaliami? - zapytał psycholog.

- Nie mam pojęcia. Jakąś miksturą, którą nasz lekarz prokuruje dla gości, co trzęsą portkami. W wypadku saperów czyni cuda.

- Najwyraźniej w tym wypadku nie zadziałała równie dobrze - zauważył nerwowo psycholog. - Ale na pewno tłumaczy te szczególne przekazy, które odbieraliśmy. Możemy mieć do czynienia z przypadkiem wywołanej chemicznie schizofrenii.

- Na pana miejscu dałbym sobie spokój z określeniem "wywołana chemicznie" - powiedział Flint. - Wilt tak czy inaczej jest szurnięty. Stawiam sto do jednego, że sam to wszystko od początku do końca namotał.

- Chyba nie sugerujecie, że pan Wilt z premedytacją wpakował własne dzieci w ręce bandy międzynarodowych terrorystów? - oburzył się nadinspektor. - Kiedy z nim rozmawiałem, robił wrażenie autentycznie zdumionego i wstrząśniętego.

- Jakie Wilt robi wrażenie i jaki naprawdę jest, to dwie zupełnie różne rzeczy. Mogę wam tylko powiedzieć", że człowiek, który potrafi ubrać nadmuchiwana lalkę w ciuchy swojej żony, wrzucić ją do wykopu i zalać trzydziestoma tonami szybko twardniejącego betonu...

- Przepraszam, sir - wtrącił się sierżant. - Właśnie przyszła wiadomość z komisariatu, że pani Wilt wyfrunęła.

Czterej mężczyźni popatrzyli na niego baranym wzrokiem.

- Co zrobiła? - zapytał nadinspektor.

- Uciekła spod straży, sir. Nikt nie wie, gdzie teraz jest.

- Zgadza się - powiedział Flint. - Zgadza się bezbłędnie.

- Co się, na rany Chrystusa, zgadza - jęknął nadinspektor, który zaczynał się czuć bardzo nieszczególnie.

- Schemat, sir. Zaraz się dowiemy, że po raz ostatni widziano ją na łodzi motorowej płynącej w dół rzeki, tylko że wcale jej tam nie będzie.

Nadinspektor utkwił we Flincie błędne spojrzenie.

- I wy to nazywacie schematem? O Boże!

- Niech mi pan wierzy, to właśnie rzecz w stylu Wilta. Ten mały sukinsyn potrafi wykombinować więcej sposobów, żeby obrócić całkowicie normalną i zdrową sytuację w obłąkańczy koszmarny, niż którykolwiek ze znanych mi łajdaków.

- Przecież musi się kierować jakimś motywem. Flint zaśmiał się sucho.

- Motywem? Henry Wilt? Nigdy w życiu. Może pan wymyślić tysiąc rozsądnych motywów jego postępowania, dziesięć tysięcy, jeśli pan chce, a on i lak wyskoczy na koniec z tym jednym jedynym, o którym nawet się panu nie śniło. Wilt to najbardziej przypominająca Erniego kreatura, jaką sobie można wyobrazić.

- Erniego? - powtórzył nadinspektor. - Kim, do diabła, jest Ernie?

- To ten sakramencki komputer, którego używają do losowania obligacji premiowych. Wie pan, ten, co wybiera numery na chybił trafił. Za Wiltem też nie można trafić, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

- Nie sądzę, żebym chciał rozumieć - odparła nadinspektor.

- Myślałem, że będę miał do czynienia ze zwyczajnym, prostym i przyjemnym obłączeniem, tymczasem to jeden wielki dom wariatów.

- Skoro o tym mowa - wtrącił się psycholog - moim zdaniem to naprawdę bardzo istotne, żeby ponownie nawiązać łączność z ludźmi z poddasza. Ktokolwiek tam jest, ma wyraźnie zachwianą równowagę i ta Schautz może być w poważnym niebezpieczeństwie.

- Nie "może być" - sprostował Flint. - Jest.

- W porządku. Chyba musimy zaryzykować - powiedział nadinspektor. - Sierżancie, przekażcie załodze helikoptera sygnał do rozpoczęcia zrzutu telefonu polowego.

- Jakież rozkazy dotyczące pani Wilt, sir?

- Lepiej zapytajcie o to inspektora. Wydaje się ekspertem od rodziny Wiltów. Jaką kobietą jest pani Wilt? Tylko mi nie mówcie, że nie można za nią trafić.

- Wolałbym się w tej kwestii nie wypowiadać - odrzekł Flint. - Powiem tylko tyle, że jest bardzo energiczną kobietą.

- Więc co waszym zdaniem zamierza zrobić? To oczywiste, że opuściła komisariat, bo powstał w jej umyśle jakiś plan.

- Znając Wilta tak dobrze, sir, muszę stwierdzić, że poważnie wątpię, czy ona w ogóle ma jakiś umysł. Żyjąc z takim człowiekiem, każda normalna kobieta już dawno znalazłaby się w domu dla obłąkanych.

- Chyba nie sugerujecie, że ona też jest jakąś psychopatką?

- Nic, sir - odparł Flint. - Chcę tylko powiedzieć, że jakakolwiek dyskusja o nerwach Evy Wilt jest bezprzedmiotowa.

- To rzeczywiście duże ułatwienie. Mamy więc bandę uzbrojonych po zęby terrorystów, jakiegoś świra w osobie Wilta i gruboskórną jak nosorożec babę, która biega nie wiadomo gdzie. Po złożeniu tego wszystkiego do kupy otrzymujemy niezłą kombinację. Dobrze, sierżancie, ogłoście pogotowie w sprawie ucieczki pani Wilt i dopilnujcie, żeby zamknięto ją w areszcie, zanim zrobi komuś krzywdę.

Nadinspektor podszedł do okna i popatrzył na dom Wiltów. W blasku reflektorów rysował się na tle nocnego nieba jak pomnik wzniesiony ku czci estetycznej niewrażliwości i niezachwianego przywiązania do nudy, tak typowych dla angielskiej klasy średniej. Nawet majora widok ten poruszył i skłonił do wygłoszenia uwagi.

- Podmiejski spektakl son-et-lumiere, co?

- Lumiere być może - odparł nadinspektor. - Ale na szczęście oszczędzony nam został son.

Nie na długo jednak. Skądś, na pozór z bardzo bliska, dobiegło ich okropne wycie. Czworaczki Wiltów dawały głos.

16

Tymczasem Eva Wilt zmierzała w stronę domu z niezłomną determinacją, całkowicie sprzeczną z jej wyglądem. Nieliczni przechodnie, którzy zauważyli ją, gdy pędziła wąskimi uliczkami, widzieli jedynie zwyczajną gospodynię domową spieszącą do rodziny, aby przygotować mężowi kolację i położyć dzieci do łóżek. Ale pod tą swojską powłoką Eva była już kimś innym. Odrzuciwszy pogodną bezmyślność i zapożyczony pogląd, miała w głowie wyłącznie jedno. Idzie do domu i nie pozwoli, by ktokolwiek ją zatrzymał. Nie wiedziała, co zrobi, kiedy już tam dotrze, niejasno zdawała sobie jednak sprawę, że dom jest nie tylko miejscem. Jest tożsamy z nią, żoną Henry'ego Wilta i matką czworaczków, pracującą kobietą z linii pracujących kobiet, które szorowały podłogi, gotowały posiłki i mimo chorób, zgonów i męskich wybryków nie dopuszczały do rozpadu rodziny. Myśl ta nie była sformułowana wyraźnie, ale istniała i niczym instynkt pchała Evę naprzód. Instynktowi towarzyszyło jednak zastanowienie.

Będą na nią czekać na Farringdon Avenue, więc musi ją ominąć. Uda się na drugą stronę rzeki żelaznym mostkiem dla pieszych, pójdzie okrężną drogą przez Barnaby Road, a później na przełaj przez pola, gdzie zaledwie przed dwoma miesiącami zbierała z czworaczkami jeżyny, i wejdzie do ogrodu od tyłu. Co potem? Poczeka i zobaczy. Wykorzysta każdą sposobność, byle się dostać do domu i spotkać z dziećmi. A jeśli terroryści ją zabiją, lepsze już to, niżby miała stracić czworaczki. Najważniejsze, że będzie razem z nimi i będzie mogła ich bronić. Pod tą zagmatwaną logiką kipiał gniew. Podobnie jak myśli Evy, był niejasny, rozproszony i obejmował zarówno terrorystów, jak i policję. W gruncie rzeczy tę ostatnią winiła bardziej. Według niej terroryści byli przestępcami i mordercami, a policjantów powołano po to, aby chronili społeczeństwo przed tego rodzaju ludźmi. Taki mieli obowiązek i nie wywiązali się z niego. Pozwolili, żeby jej dzieci stały się zakładnikami, a teraz grają w jakąś grę, w której czworaczki służą im za pionki. Był to prosty pogląd na sprawę, ale umysł Evy widział rzeczy prosto i jednoznacznie. Cóż, skoro policja nie chce działać, Eva będzie działać sama.

Dopiero gdy dotarła do mostku, uświadomiła sobie ogrom trudności, jakie będzie musiała pokonać. Oddalony o pół mili dom przy Willington Road otaczała łuna światła. Okoliczne latarnie żarzyły się nikłym blaskiem, a inne domy były pogrążone w cieniu. Przystanęła na chwilę, uchwyciwszy się balustrady, aby się zastanowić, co ma robić. Zrozumiała jednak, że zwlekanie na nic się nie zda. Musi iść dalej. Zbiegła po żelaznych stopniach i ruszyła w dół Barnaby Road. Po pewnym czasie skręciła w przecinającą pole ścieżkę i doszła nią do błotnistej zagony przy następnej bramie. Nieopodal pasło się w ciemnościach stado byków, ale Eva nie bała się bydła. Było częścią świata natury, do którego, jak czuła, należy i ona.

Po drugiej stronie ogrodzenia wszystko wydawało się jednak nienaturalne. W złowieszczym jasnym blasku reflektorów widziała ludzi z karabinami, a gdy wspięła się na bramę i wychyliła do przodu, dostrzegła zasieki z drutu kolczastego, które biegły przez pole od Farringdon Avenue. Dostęp do Willington Road został całkowicie zamknięty. Jeszcze raz instynkt obudził spryt. Z lewej strony ma rów melioracyjny i gdyby nim poszła... Ale człowiek stojący przy rowie może ją zatrzymać. Musi jakoś odwrócić jego uwagę. Byki w sam raz się do tego nadają. Otworzyła bramę i zapadając się po kostki w błoto, przepędziła zwierzęta na sąsiednie pole. Potem zamknęła bramę i pognęła je jeszcze dalej, aż stado się rozproszyło i byki z właściwą sobie ciekawością zajęły się penetracją nowego otoczenia. Eva weszła do rowu i zaczęła brnąć naprzód. Rów był błotnisty, do połowy napełniony wodą i gdy się nim posuwała, zielsko owijało się wokół jej kolan, a gałązki jeżyn drapały twarz. Dwukrotnie włożyła dłoń w kępę ostów, ale prawie tego nie poczuła. Za bardzo pochłaniały ją inne kwestie. Przede wszystkim reflektory. Dawały tak silny blask, że dom

wyglądał nierealnie, niemal jak na negatywie fotograficznym z odwróconymi barwami, a okna, które powinny się świecić, były czarnymi kwadratami na jasnym tle. Do tego cały czas dobiegał skądś warkot silnika. Eva wyjrzała z rowu i rozpoznała ciemny kształt generatora. Wiedziała, co to takiego, ponieważ John Nye wytłumaczył jej, skąd się bierze prąd, kiedy próbował ją namówić do zainstalowania wirnika Savoniusa, który wprawia w ruch siła wiatru. Więc w ten sposób oświetlili dom! Nic to jednak Evie nie dawało. Generator stał pośrodku pola i nijak nie mogłaby do niego dotrzeć nie zauważona. W każdym razie byki na coś się przydały. Zbiły się w stado wokół jednego z uzbrojonych ludzi, a on usiłował je odpędzić, Eva ponownie skuliła się w rowie i potykając się, doszła do zasieków z drutu kolczastego.

Tak jak się spodziewała, schodziły do rowu i dopiero gdy zanurzyła rękę po pachę, udało się jej dosięgnąć dolnego drutu. Pociągnęła go do góry i pochyliwszy się tak nisko, że niemal cała znalazła się pod wodą, prześliznęła się na drugą stronę. Kiedy dotarła do żywopłotu, który biegł wzdłuż wszystkich ogrodów, była przemoczona do suchej nitki, a ręce i nogi miała oblepione błotem. Nie czuła jednak zimna. Nie czuła nic oprócz strachu, że zostanie zatrzymana, zanim podkradnie się do domu. A w ogrodzie z pewnością będzie jeszcze więcej uzbrojonych ludzi.

Stojąc po kolana w błocie, Eva czekała i obserwowała. Z ciemności dochodziły ją różne dźwięki. Na pewno był ktoś w ogrodzie pani Haslop. Powiedział jej to zapach dymu papierosowego. Przede wszystkim jednak skupiła uwagę na własnym ogrodzie i reflektorach, których blask wtrącał jej dom w przerażającą izolację. Jakiś człowiek wyłonił się zza altany, minął furtkę i wyszedł na pole. Eva przyglądała się, jak wolnym krokiem zmierza w stronę generatora. I nadal czekała, wiedzona sprytem, który wypływał z głębokiego instynktu. Za altaną przesunął się drugi mężczyzna, w mroku błysnął płomień zapalniczki, gdy przypalał sobie papierosa, a Eva, niczym jakieś prehistoryczne zwierzę ziemnowodne, wypełzła powoli z rowu i po-czołgała się wzdłuż żywopłotu. Oczywiście miała cały czas utkwione w żarzącym się czubku papierosa. Dotarłszy do furtki, mogła już widzieć twarz mężczyzny za każdym razem, kiedy zaciągał się dymem. A furтка była otwarta. Kołysała się lekko na wietrze, ale się nie zamykała. Eva zaczęła przez nią przepęłzać, gdy nagle dotknęła kolaniem czegoś cylindrycznego i śliskiego. Sięgnąwszy ręką, natrafiła na gruby izolowany przewód biegnący od generatora do trzech reflektorów ustawionych na trawniku. Wystarczy go przeciąć, a reflektory zgasną. W szklarni jest sekator. Ale jeśli użyje sekatora, może ją porazić prąd. Lepiej wziąć siekiere z długim trzonkiem. Leży przy stosie drewna z drugiej strony altany. Gdyby tylko mężczyzna z papierosem sobie poszedł, dotarłaby do niej w mgnieniu oka. Co by go mogło ruszyć z miejsca? Gdyby rzuciła czymś w szklarnię, na pewno chciałby sprawdzić, co się stało.

Zaczęła po omacku szukać na ścieżce jakiegoś kamienia, ale gdy go znalazła, nie było już potrzeby czymkolwiek rzucać. Z tyłu dobiegł ją głośny terkot i odwróciwszy głowę, zobaczyła lecący nisko nad polem helikopter. Mężczyzna z papierosem zerwał się na równe nogi i wpadł za altanę. Eva przeczołgała się przez furtkę, wstała i popędziła do stosu drewna. Mężczyzna niczego nie usłyszał. Helikopter był już blisko i warkot silnika zagłuszył jej kroki. Porwała siekiere, wróciła do furtki i kiedy helikopter znalazł się nad nią, przecięła kabel. W jednej sekundzie dom zniknął, a noc stała się czarna jak sadza. Potykając się, Eva ruszyła naprzód. Stratowawszy grządki z ziołami, dotarła już do trawnika, gdy nagle zdała sobie sprawę, że jest w oku cyklonu. Helikopter się kołysał, śmigło mlóciło powietrze, coś przeleciało obok jej głowy i po chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Weranda pani de Frackas legła w gruzach. Eva stanęła jak wryta, po czym rzuciła się na ziemię. W domu zaszczekały automaty i na altanę posypał się grad kuł. Była w środku jakiejś okropnej bitwy i cały jej plan spalił na panewce.

Nadinspektor Misterson obserwował z werandy pani de Frackas, jak helikopter z dyndającym pod nim telefonem polowym zbliża się do balkonu numeru dziewiątego, gdy nagle cały świat zniknął. Przyzwyczajony do blasku reflektorów nadinspektor jakby stracił wzrok. Nie stracił jednak ani czucia, ani słuchu i zanim zdążył wycofać się po omacku do saloniku, zarówno coś poczuł, jak i usłyszał. Wyraźnie poczuł telefon polowy na swojej głowie i jak przez mgłę usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Chwilę później leżał na podłodze, po całej werandzie fruwały wazony oraz doniczki z geranium i begonią semperflorens, a z sufitu sypał się tynk, który uniemożliwił inspektorowi wyrażenie przepęłniających go uczuć.

- Ty cholerny kretynie... - zaczął, po czym udławił się pyłem. Próbuąc uniknąć zasypania, przeturlał się na bok, ale przedmioty nadal spadały z półek i ukochany dzwonecznik katedralny pani

de Frackas, oderwawszy się od ściany, oplótł go swoimi wąsami. Na koniec, gdy nadinspektor usiłował się przedrzeć do wyjścia przez tę domową dżunglę, olbrzymia kamera japońska w ciężkiej glinianej donicy runęła ze stojaka i położyła kres jego cierpieniom. Szef Brygady Antyterrorystycznej zapadł w błogą nieświadomość i nie powiedział już ani słowa.

Za to w centrum łączności "iłowia padały gęsto i szybko. Major wyrzaskiwał rozkazy do pilota helikoptera, a dwaj technicy w słuchawkach krzyczeli, trzymając się za uszy, że jakiś pieprzony wariat skacze po parabolicznych urządzeniach podsłuchowych. Jedynie inspektor Flint zachował spokój i względną obojętność. Odkąd się dowiedział, że w sprawę zamieszany jest Wilt, był przekonany, że stanie się coś koszmarnego. Dla Flinta nazwisko Wilt oznaczało chaos, rodzaj kosmicznego fatum, przed którym nie ma innego ratunku oprócz - a i to nie na pewno - modlitwy, i teraz, gdy katastrofa się wydarzyła, był w głębi ducha zadowolony, ponieważ dowiodła ona, że jego złe przeczucia były słuszne, a optymizm nadinspektora całkowicie nieuzasadniony. Tak więc kiedy major polecił pilotowi helikoptera, żeby spieprzał w cholere, Flint przedarł się ostrożnie przez rumowisko werandy i wyplątał nieprzytomnego zwierzchnika z listowia.

- Nie pan lepiej wezwie karetkę - powiedział do majora, przywłókłszy poszkodowanego do centrum łączności. - Wygląda na to, że szef nieźle oberwał.

Major był zbyt zajęty, aby się tym przejąć.

- To wasza sprawa, inspektorze - odparł. - Ja muszę pilnować, żeby te bydlaki nam nie drapnęły.

- Sądząc po odgłosach, są nadal w domu - odrzekł Flint, gdy z numeru dziewiątego oddano kolejną serię, ale major potrząsnął głową.

- Niekoniecznie. Mogli zostawić oddział samobójczy, by osłaniał ich odwrót, albo podłączyć do karabinu mechanizm zegarowy, żeby broń strzelała sama w stałych odstępach czasu. Tym sukinsynom nie można ufać za grosz.

Inspektor Flint wezwał przez radio pomoc lekarską i polecił dwóm policjantom, aby zanieśli nadinspektora przez okoliczne ogrody na Farringdon Avenue, co w związku z toczącymi się poszukiwaniami domniemanych zbiegów nastąpiło pewnych trudności. Minęło pół godziny, zanim na Willington Road ponownie zapanowała cisza i urządzenia podsłuchowe potwierdziły, że w oblężonym domu nadal znajdują się istoty ludzkie.

Jakiś przedstawiciel podtypu kręgowców znajdował się niewątpliwie również na trawniku Wiltów. Wróciwszy od karetki, Flint zastał majora z pistoletem w dłoni, gotowego ruszyć na rekonesans.

- Wygląda na to, że mamy jednego z tych drani - powiedział, gdy z podłączonego do podsłuchu wzmacniacza wydobyło się ciężkie bicie serca. - Idę po niego. Prawdopodobnie dostał się w krzyżowy ogień i został ranny.

Major wybiegł w ciemność i kilka minut później rozległ się czyjś wrzask, a po nim odgłosy zaciętej walki, w której uczestniczyło jakieś niezwykle energiczne indywiduum uzbrojone w sztachtetę z dzielącego ogrody parkanu. Flint wyłączył wzmacniacz. Gdy w głośniku przestało dudnić serce, maszyna zaczęła wypluwać inne, jeszcze bardziej niepokojące dźwięki. Ale to, co w końcu przywleczono do saloniku przez zrujnowaną werandę, było najgorsze ze wszystkiego. Nigdy nie uchodząc w oczach Flinta za najatrakcyjniejszą z kobiet, oblepiona błotem i zielskiem oraz przemoczona do gołej skóry, która wyzierała w kilku miejscach przez rozdarcia sukienki, Eva Wilt zdecydowanie przypominała jakiego prehistorycznego stwora. Wciąż się szarpała, gdy sześciu ludzi z LSS wpełnęło ją do pokoju. Za nimi wszedł major z podbitym okiem.

- Złapaliśmy przynajmniej jedną z tych świń - powiedział.

- Nie jestem jedną z tych świń! - krzyknęła Eva. - Jestem panią Wilt. Nie macie prawa tak mnie traktować. Inspektor Flint wycofał się za krzesło.

- To na pewno pani Wilt - stwierdził. - Czy mogłaby nam pani wyjaśnić, co chciała zrobić?

Leżąca na dywanie Eva rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

- Chciałam być razem z dziećmi. Mam do tego prawo.

- Już to kiedyś słyszałem - mruknął Flint. - Pani i pani prawa. Przypuszczam, że to Henry panią podpuścił.

- Nic podobnego. Nawet nie wiem, co się z nim stało. Pewnie już nie żyje.

I Eva wybuchnęła płaczem.

- W porządku, puście ją, chłopcy - polecił major, uwierzywszy wreszcie, że jego jeniec nie jest jednym z terrorystów. - Mogła pani zostać zabita.

Eva zignorowała go i wstała z podłogi.

- Pan też ma dzieci, panie inspektorze. Musi pan rozumieć, co to znaczy nie móc być przy maleństwach, kiedy nas potrzebują.

- No cóż... - zaczął Flint niepewnym tonem.

Płaczące kobiety neandertalskie budziły w nim mieszane uczucia, a jego maleństwa były dwoma gburowatymi nastolatkami o kłopotliwym upodobaniu do wandalizmu. Z ulgą przyjął więc meldunek technika z obsługi podsłuchu.

- Obieramy coś dziwnego, panie inspektorze. Chce pan to usłyszeć?

Flint skinął głową, pomyślawszy, że wszystko będzie lepsze od apeli o współczucie ze strony Ewy Wilt. Mylił się głęboko. Technik włączył wzmacniacz.

- Pluskwa numer cztery - wyjaśnił, gdy z głośnika dobiegła seria pomruków, jęków i ekstatycznych krzyków oraz uporczywe odgłosy skrzypienia łóżka.

- Pluskwa numer cztery? To nie pluskwa, to,...

- Jakiś pieprzony maniak seksualny, za przeproszeniem pani - dokończył major.

Eva słuchała jednak zbyt pilnie, aby zwrócić uwagę na jego język.

- Skąd to odbieracie?

- Z poddasza, sir. Stamtąd, gdzie jest wie pan kto.

Dyplomacja technika była całkowicie zbędna.

- Ja też wiem - wrzasnęła Eva. - Mój Henry. Poznałabym ten jęk na końcu świata.

Kilkanaście par oczu popatrzyło na nią z niesmakiem, ale Eva bynajmniej się nie zmieszała. Po tym wszystkim, co przeszła w tak krótkim czasie, to nowe odkrycie pozbawiło ją resztek zahamowań.

- Kocha się z inną kobietą. Niech no go tylko dostanę w swoje ręce! - zawołała z wściekłością i gdyby jej nie powstrzymano, byłaby wybiegła w noc.

- Załóżcie tej babie kajdanki i zawieźcie ją z powrotem do komisariatu! - krzyknął inspektor Flint. - Tylko pilnujcie, żeby znowu nie uciekła. Chcę, żebyście tym razem zastosowali maksymalne środki ostrożności, i nic żartujecie.

- Wygląda na to, że jej mąż też nie - mruknął major, gdy Ewę wywleczono z saloniku, a centrum łączności dalej tętniło niedwuznacznymi świadectwami pierwszej zdrady małżeńskiej Wilta.

Flint wyszedł zza krzesła i usiadł.

- Przynajmniej mamy dowód, że się nie myliłem. Mówiłem, że drań siedzi w tym po jaja. Major się wzdrygnął.

- Można by to ująć w subtelniejszy sposób, ale macie chyba rację.

- Oczywiście, że mam rację - odparł Flint, wyraźnie z siebie zadowolony. - Znam się na sztuczki naszego przyjaciela Wilta.

- Ja na szczęście nie - powiedział major. - Moim zdaniem powinniśmy poprosić psychicznych o analizę.

- Wszystko się nagrywa, sir - zapewnił go technik.

- W takim razie wyłączcie ten ohydny łomot - polecił Flint.

- Nic muszę słuchać, jak Wilt sobie używa. I bez tego mam pełne ręce roboty.

- Całkowicie się zgadzam - odrzekł major, uderzony trafnością określenia "łomot". - A swoją drogą facet musi mieć stalowe nerwy. Mnie prędzej by szlag trafił, niż byłbym zdolny do tych rzeczy w takich okolicznościach.

- Zdumiałby się pan, gdyby pan wiedział, do jakich rzeczy ten sukinsyn jest zdolny w każdych okolicznościach - - stwierdził Flint.

- Zresztą nic dziwnego, skoro ma za żonę takiego macierzyńskiego mastodonta. Wolałbym iść do łóżka z ośmiornicą niż z Ewą Wilt.

- Niewątpliwie coś w tym jest - przyznał major, ostrożnie przesuwając palcem po sińcu pod okiem. - Z całą pewnością baba ma niezły prawy sierpowy. Nie mogę tu tak tkwić. Trzeba włączyć te reflektory.

Major wyszedł, a Flint dalej siedział na krześle, zastanawiając się, co robić. Teraz, gdy nadinspektor był niezdolny do pełnienia obowiązków służbowych, dowództwo nad operacją powinien objąć on. Niezbyt się z tego awansu cieszył. Jedyłą osłodę dawała mu myśl, że już niedługo Henry Wilt dostanie wreszcie to, o co się od dawna prosił.

Wilt skupiał tymczasem wszystkie siły na czymś wręcz przeciwnym. Wymagał tego stan jego niedawno odrestaurowanej męskości. Poza tym cudzołóstwo nigdy nie było jego mocną stroną i nie uważał uprawiania miłości wbrew własnej chęci za coś szczególnie pociągającego. Ponieważ zaś gdy on miał chęć, Eva jej zwykle nie miała, odkładając chwile namiętności do czasu, kiedy czworaczki były już bezpiecznie uśpione, a jemu przestawało na tym zależeć, przyzwyczał się do czegoś, co można by nazwać rozdwojoną seksualnością i co polegało na tym, że robił jedną rzecz, myśląc o innej. Nie, żeby Eva zadowalała się jedną rzeczą. Jej zainteresowania, choć zasadniczo bardziej jednostronne niż jego, były nieskończenie eklektyczne w odniesieniu do procedury i Wilt musiał się pogodzić z faktem, że jest wyginany, miażdżony, wykręcany i ogólnie biorąc, maltretowany zgodnie ze wskazówkami poradników, z których korzystała Eva.

Nosiły one tytuły w rodzaju: Jak zachować młodość małżeństwa albo Seks naturalny. Wilt protestował, mówiąc, że ich małżeństwo nie jest młode i że nie ma nic naturalnego w narażaniu się na uwięzienie przepukliny wskutek stosowania pozycji koitalnej zalecanej przez doktora Eugene'a van Yonka, ale te argumenty nigdy nic nie dawały. Eva odcinała się nieprzyjemnymi aluzjami do jego okresu dojrzewania oraz niczym nie uzasadnionymi oskarżeniami o to, co wyprawia w łazience, gdy jej tam nie ma, i w końcu musiał udowodniać, że jest normalny, robiąc coś, co uważał za całkowicie nienormalne. O ile jednak Eva była w łóżku energiczną eksperymentatorką, o tyle Gudrun Schautz zachowywała się jak obłąkana samica z rzędu drapieżnych.

Od chwili gdy ogarnięta szałem nienasyconej żądzzy rzuciła się na niego w kuchni, Wilt został pogryziony, podrapany, wylizany, przeżuty oraz gwałtownie wyspany wszędzie, bez różnicy, co było jego zdaniem obraźliwe, nie mówiąc już o tym, że niebezpieczne, i co sprawiło, że zaczął się zastanawiać, dlaczego dziwka zawraca sobie głowę strzelaniem do ludzi, skoro równie dobrze mogłaby ich uśmiercać w legalny i zdecydowanie bardziej paskudny sposób. Tak czy inaczej, żadna osoba przy zdrowych zmysłach nie mogłaby mu zarzucić wiarołomstwa. Wręcz przeciwnie. Tylko najbardziej lojalny i troskliwy mąż i ojciec dobrowolnie naraziłby się na niebezpieczeństwo pójścia do łóżka z morderczynią, której ujęcia wszyscy pragnęli. Wilt uznał ten czasownik za wybitnie nie na miejscu i jedynie dzięki temu, że przywołał w pamięci obraz Ewy z czasów, gdy się poznali, udało mu się wykrzesać z siebie odrobinę zapału. Właśnie ta mizerność reakcji sprowokowała Gudrun Schautz. Dziwka była nie tylko morderczynią, lecz także feministką. Łączyła terror polityczny z przekonaniem, że Wilt jest męską szowinistyczną świnią, która powinna rzucić się na nią bez namysłu.

Wilt miał odmienny pogląd na tę sprawę. Jednym z dogmatów jego poplątanej filozofii życiowej było, że kiedy człowiek jest żonaty, nie zadaje się z innymi kobietami. A podskakiwanie na niezwykle atrakcyjnej osobie płci żeńskiej niewątpliwie pod kategorię "zadawania się" podchodziło. Z drugiej strony interesujący paradoks stanowił fakt, że Eva była mu teraz duchowo bliższa niż wtedy, gdy się z nią kochał, myśląc o czym innym. Rozpatrując kwestię od strony praktycznej, nie miał najmniejszych szans na orgazm. Cewnik na jakiś czas go ich pozbawił. Mógłby podskakiwać do sądnego dnia, ale prędzej by odfrunął, niż doczekał się prawidłowej erekcji. Aby się przed tą przerażającą możliwością zabezpieczyć, zastąpił obraz młodzieńczej Ewy wizją siebie i tej ohydnej Schautz połączonych w śmiertelnym coitus interruptus na stole sekcyjnym. Zważywszy na hałas, jaki robili, wydawało się to wysoce prawdopodobne i myśl ta była wyjątkowo skutecznym antyafrodyzjakiem, co niosło tę dodatkową korzyść, że zbijało terrorystkę z tropu. Najwyraźniej przywykła do bardziej zaangażowanych kochanków i kapryśne zapały Willa wprawiły ją w zakłopotanie.

- Chciałbyś to zrobić w jakiś inny sposób, Liebling? - zapytała, gdy po raz licho wie który opadł z sił.

- W wannie - odparł Wilt, uświadomiwszy sobie nagle, że terroryści mogą się zdecydować na atak, a wanny są bardziej kuloodporne niż łóżka.

Gudrun Schautz wybuchnęła śmiechem.

- Zabawne, ja. W wannie!

W tym momencie zgasty reflektory i dał się słyszeć warkot helikoptera. Hałas wywołał u dziewczyny nowy przypływ szału zmysłów.

- Szybko, szybko -jęknęła. - Są już blisko.

- Niech mnie diabli, jeśli ja jestem - mruknął Wilt, ale morderczyni była zbyt zajęta egzorcyzmowaniem pustki, aby go słyszeć, i w chwili, gdy weranda pani de Frackas przestała

istnieć, a na parterze odezwały się szybkie serie z karabinów maszynowych, został jeszcze raz porwany w wir żądz, która nie miała nic wspólnego z seksem. Pod pozorami życia kryła się śmierć i Wilt, nieświadom faktu, że jego udział w tym niesmacznym przedstawieniu jest rejestrowany dla potomności, zrobił co w jego mocy, aby dobrze zagrać swoją rolę. Znow zaczął myśleć o Evie.

17

Trzymający straż w kuchni Chinanda i Baggish mieli z myśleniem trudności. Wszystkie zawłóści życia, przed którymi usiłowali uciec w idiotyczny i morderczy fanatyzm terroryzmu, jakby się przeciwko nim sprzysięgły. Zaczęli strzelać jak szaleni w ciemności i przez jedną dumną chwilę wydawało im się, że trafili helikopter. Tymczasem draństwo najwyraźniej zbombardowało sąsiedni dom. Kiedy w końcu przerwali ogień, zaatakowały ich dobiegające z piwnicy wrzaski czworaczków. Na domiar złego przebywanie w kuchni stało się niebezpieczne dla zdrowia. Wyfroterowana przez Evę do połysku podłoga była teraz wymiocinową ślizgawką i gdy Baggish po raz drugi wylądował na tyłku, terroryści wycofali się do przedpokoju, aby obmyślić następne posunięcie. Wtedy właśnie usłyszeli niezwykle dźwięki dochodzące z poddasza.

- Gwałcą Gudrun - powiedział Baggish i gdyby go Chinanda nie powstrzymał, byłby pobiegł jej na ratunek.

- To te policyjne świny zastawiają na nas pułapkę. Chcą, żebyśmy poszli na górę, a wtedy wpadną do domu i uwolnią zakładników. Zostajemy tutaj.

- W tym hałasie? Jak długo według ciebie tu wytrzymamy przy tych wrzaskach? Powinniśmy się na zmianę trochę przespać, a gówniary tak się drą, że nie sposób zmrużyć oka.

- Więc je uciszmy - odparł Chinanda i ruszył do piwnicy, gdzie pani de Frackas siedziała na drewnianym krześle, a czworaczki domagały się mamy.

- Zamknijcie się, słyszycie? - ryknął Baggish, ale dziewczynki rozwrzeszczały się jeszcze bardziej.

- Myślałam, że radzenie sobie z małymi dziećmi wchodziło w zakres waszego szkolenia - powiedziała pani de Frackas pozbawionym współczucia tonem.

Baggish doskoczył do staruszki. Nie przyszedł jeszcze do siebie po jej sugestii, że odpowiednim dlań ineter byłby handel pornograficznymi pocztówkami w Port Saidzie.

- Sama je ucisz! - krzyknął, wymachując w dowódzie przed nosem automatem. - Albo...

- Drogi chłopcze, z wielu rzeczy nie zdaje pan sobie jeszcze sprawy - odparła starsza pani. - W moim wieku ma się tak niewiele życia przed sobą, że pańskie pogroźki niezbyt mnie wzruszają. Zresztą zawsze byłam zwolenniczką eutanazji. Nie sądzi pan, że to dużo rozsądniejsze niż podłączanie człowieka do kroplówki albo do któregoś z tych urządzeń służących do podtrzymywania funkcji organizmu czy jak tam je zwą? Komu zależy na życiu zgrzybiałej staruszki czy starca, którzy nie są już nikomu do niczego potrzebni?

- Mnie na pewno nie zależy - zapewnił ją gorliwie Baggish.

Pani de Frackas popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Poza tym, będąc muzułmaninem, tylko wyświadczyłby mi pan przysługę. O ile dobrze rozumiem, śmierć w walce z niewiernymi jest według nauki proroka gwarancją zbawienia, i chociaż nie mogę powiedzieć, że bym rzeczywiście walczyła, myślę, że śmierć z ręki mordercy ocenia się tak samo.

- Nie jesteśmy mordercami! - ryknął Baggish. - Jesteśmy bojownikami o wolność i prowadzimy walkę z międzynarodowym imperializmem.

- Co tylko dowodzi, że mam rację - ciągnęła niewzruszenie pani de Frackas. - Wy prowadzicie walkę z imperializmem, a ja jestem typowym produktem Imperium. Jeśli mnie zabijecie, według waszej filozofii powinnam pójść prosto do nieba.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby dyskutować o filozofii - wtrącił się Chinanda. - Co ty, głupia starucho, wiesz o cierpieniach ludu pracującego?

Pani de Frackas obrzuciła wzrokiem jego ubranie.

- Sądząc po kroju pańskiego płaszcza, więcej niż pan, młody człowieku. Może tego po mnie nie widać, ale pracowałam przez kilka lat w szpitalu dziecięcym w slumsach Kalkuty i myślę, że wiem, czym jest nędza. Czy pan przepracował solidnie chociaż jeden dzień w życiu?

Chinanda udał, że nie słyszy pytania.

- I co zrobiłaś, żeby skończyć z tą nędzą?! - wrzasnął, przysuwając twarz do twarzy starszej pani.
- Wracałaś ze szpitala do życia w luksusie i umywałaś od wszystkiego ręce.

- Zjadałam trzy ucziwe posiłki dziennie, jeśli to pan nazywa luksusem. I na pewno nie stać mnie było na taki drogi samochód jak ten, którym pan się rozbija - odparowała pani de Frackas. - A skoro mówimy o myciu, myślę, że dzieci by się uciszyły, gdybyście pozwolili mi je wykąpać.

Terroryści popatrzyli na czworaczki i wyrazili zgodę. Dziewczynki nie przedstawiały przyjemnego widoku.

- Dobrze, przyniesiemy ci wodę i umyjesz je tutaj - powiedział Chinanda i poszedł do kuchni.

Po długich poszukiwaniach w ciemnościach znalazł pod zlewem plastikowe wiadro, nalał do niego wody i zaniósł do piwnicy wraz z kostką mydła. Pani de Frackas zajrzała do wiadra z powątpiewaniem.

- Powiedziałaś "wykąpać". Nie - ufarbować.

- Ufarbować? Dlaczego ufarbować?

- Sami popatrzcie - odparła starsza pani.

Terroryści popatrzyli i przerazili się. Woda miała kolor ciemnoniebieski.

- Teraz próbują nas otruć! - wrzasnął Baggish i pomknął na górę, aby wnieść nową skargę przeciwko Brygadzie Antyterrorystycznej.

Telefon odebrał inspektor Flint.

- Próbowujemy was otruć, wpuszczając coś do sieci wodociągowej? Zaręczam, że nic mi o tym nie wiadomo.

- Więc jakim cudem woda jest niebieska?

- Nie mam pojęcia. Jesteście tego pewni?

- Oczywiście, kurwa, że jesteśmy! - krzyknął Baggish. - Z kranu leci niebieska woda. Myślisz, że masz do czynienia z idiotami?

Flint zawahał się, ale ostatecznie dla dobra zakładników przemilczał swą prawdziwą opinię.

- Mniejsza o to, co myślę - odparł. - Chcę wam tylko powiedzieć, że nie zrobiliśmy absolutnie nic z siecią wodociągową i...

- Kłamiesz, świniou! - przerwał mu Baggish. - Najpierw zastawiasz na nas pułapkę, gwałcąc Gudrun, a teraz zatruwasz wodę. Nie będziemy dłużej czekać. Jeśli w ciągu godziny nie oczyścicie wody i nie wypuścicie Gudrun, zlikwidujemy tę staruchę.

I terrorysta odłożył słuchawkę, pozostawiając Flinta zdumionego bardziej niż kiedykolwiek.

- Gwałcę Gudrun? Ten facet oszalał. Nawet bym się do dziwki nie zbliżył, a poza tym nie rozumiem, jak mogę być w dwóch miejscach równocześnie. I jeszcze twierdzi, że woda zrobiła się niebieska.

- Możliwe, że są naćpani - podsunął sierżant. - To czasem wywołuje halucynacje, zwłaszcza w połączeniu ze stresem.

- Ze stresem? Nie mówcie mi o stresie - odrzekł Flint i wyładował złość na techniku obsługującym podsłuch. - A wy z czego się, do cholery, tak głupio śmiejecie?

- Zabawiają się teraz w wannie, sir. Pomysł Wilta. Stary lubieżnik z niego.

- Jeśli sugerujecie, że kopulacja w wannie może zafarbować wodę w całym domu na niebiesko, to stuknijcie się w czoło - warknął Flint.

Opadł na przykryte pokrowcem krzesło i zamknął oczy. Myśli kłębiły mu się w głowie. Wilt jest szalony. Wilt jest terrorystą. Wilt jest szalonym terrorystą. Wilt jest opętany. Wilt jest jedną cholerną niewiadomą. Tylko to ostatnie było pewne. To i gorące pragnienie inspektora, żeby Wilt znalazł się tysiąc mil od niego i żeby wszelki słuch o draniu zaginał. W końcu Flint wziął się w garść.

- W porządku. Dajcie mi z powrotem len helikopter i tym razem bez głupich numerów. Dom jest oświetlony i ma pozostać oświetlony. Muszą tylko wrzucić telefon przez okno balkonu, a biorąc pod uwagę, czego dokonali tutaj, powinno to być dziecinną igraszką. Powiedzcie pilotowi, że może zerwać dach, jeśli sobie życzy, ale chcę mieć bezpośrednią linię na poddasze, i to szybko. To jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, w co się Wilt właściwie bawi.

- Zrobi się - mruknął major i zaczął wydawać nowe polecenia.

- Teraz bawi się w politykę, sir - powiedział technik. - Marks mógłby przy nim uchodzić za prawnicowca. Chce pan posłuchać?

- Chyba powinienem - odparł Flint przygnębionym tonem.

Włączono głośnik. Wśród trzasków dał się słyszeć perorujący z zapamiętaniem Wilt.

- Musimy unicestwić system kapitalistyczny doszczętnie. Bez najmniejszego wahania musimy zlikwidować resztki klasy panującej i zaszczepić proletariacką świadomość w umysłach robotników. Najłatwiej będzie to osiągnąć, demaskując faszystowski charakter pseudodemokracji poprzez stosowanie terroru wobec policji i lumpenkierownictwa międzynarodowej finansjery. Jedynie wykazując fundamentalną sprzeczność między...

- Chryste, brzmi to, jakby recytował jakiś cholerny podręcznik - stwierdził mimo woli trafnie Flint. - Mamy na poddaszu małego Mao. Przekażcie te taśmy Brygadzie Idiotów. Może będą nam mogli wyjaśnić, co to takiego lumpenkierownictwo.

- Helikopter jest w drodze - zameldował major. - Telefon ma wbudowaną mikrokamerę telewizyjną. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce zobaczymy, co się tam na górze dzieje.

- Jakbym miał na to ochotę - mruknął Flint i wycofał się, aby poszukać schronienia w toalecie.

Pięć minut później helikopter przeleciał nad rosnącym w głębi posesji sadem, zawisł na chwilę nad numerem dziewiątym i telefon połowy śmignął przez okno balkonowe na poddasze. Gdy pilot uniósł maszynę, widać było kabel snujący się za nią jak nić mechanicznego pająka.

Inspektor Flint wyłonił się z toalety, aby usłyszeć, że Chinanda jest znowu na linii.

- Chce wiedzieć, dlaczego nie oczyściliśmy wody, sir:- zameldował technik.

Flint usiadł z westchnieniem na krześle i odebrał telefon.

- Posłuchaj, Miguel - zaczął, naśladowując przyjazny ton nadinspektora. - Możesz mi nie uwierzyć, ale...

Potok wyzwisk zaświadczył aż nadto wyraźnie, że terrorysta nie wierzy.

- Już dobrze. Ze wszystkim się zgadzam - wtrącił Flint, kiedy Chinandzie zabrakło epitetów. - Chcę ci tylko powiedzieć, że nie ma nas na poddaszu i nie wrzuciliśmy niczego do wody.

- Więc dlaczego dostarczacie im helikopterem broń?

- To nie była broń. Tak się składa, że dostarczyliśmy im telefon, aby móc z nimi rozmawiać...

Tak, rzeczywiście nie brzmi to prawdopodobnie. Sam to przyznaję... Nie, to nie my. Może to ta...

- Alternatywna Armia Ludowa - odpowiedział sierżant.

- Alternatywna Armia Ludowa - powtórzył Flint. - To oni musieli wrzucić coś do wody, Miguelu... Co?... Nie lubisz, jak się ciebie nazywa Miguelem... Ściśle biorąc, ja niespecjalnie lubię, jak się mnie nazywa policyjną świnią... Tak, słyszałem. Słyszałem za pierwszym razem. Jeśli łaskawie zejdziesz z linii, porozmawiam z tymi draniami z góry.

I Flint odłożył słuchawkę.

- W porządku, teraz połączcie mnie z poddaszem. I to migiem. Czas ucieka.

I uciekał jeszcze przez następny kwadrans. Niespodziewane powtórne pojawienie się helikoptera, dokładnie w chwili, gdy Wilt alternatywnie przerzucił się z seksu na politykę, pomieszało mu szyki. Osłabiwszy swą ofiarę fizycznie, zaczął ją osłabiać psychicznie, cytując tego skończonego kretyna Bilgera w jego najbardziej markuzjańskim wydaniu. Nie było to zbyt trudne, zwłaszcza że sam Wilt od lat rozmyślał nad niesprawiedliwością ludzkiego losu. Kontakty z czwartą tynkarską nauczyły go, że należy do społeczeństwa stosunkowo uprzywilejowanego. Wprawdzie tynkarze zarabiali więcej od niego i byli wręcz bogaci, ale nie zmieniało to faktu, że urodził się w zamożnym kraju o łagodnym klimacie i wyrafinowanych instytucjach politycznych, które kształtowały się przez wieki. A przede wszystkim urodził się w społeczeństwie industrialnym. Tymczasem ogromna większość rodzaju ludzkiego żyła w skrajnym ubóstwie i strachu, pod groźbą śmierci głodowej, zapadała na uleczalne choroby, których nie leczono, i podlegała despotycznym rządóm. Do pewnego stopnia Wilt solidaryzował się z tymi, którzy próbowali zlikwidować te nierówności. Wysiłki Inplupu Ewy mogły być niezbyt skuteczne, ale przynajmniej wynikały ze szczerych pobudek i nikomu nie szkodziły. Natomiast terroryzowanie niewinnych ludzi, mordowanie mężczyzn, kobiet i dzieci było jednocześnie nieskuteczne i barbarzyńskie. Co różniło terrorystów i ich ofiary? Tylko poglądy. Chinanda i Gudrun Schautz pochodzili z zamożnych rodzin, a i Baggisha, syna bejruckiego sklepikarza, też trudno byłoby nazwać biednym. Żadnego z tych samozwańczych katów nie pchnęła do zabijania rozpacz nędzy i o ile Wilt zdołał się zorientować, ich fanatyzm nie miał źródła w żadnej konkretnej idei. Nie próbowali wypędzić Brytyjczyków z Ulsteru, Izraelczyków ze wzgórz

Golan ani nawet Turków z Cypru. Byli politycznymi pozerami, którzy upatryli sobie na wroga samo życie. Krótko mówiąc, byli mordercami z wyboru, psychopatami zasłaniającymi swe motywacje parawanem utopijnej teorii. Podniecała ich władza, władza zadawania bólu i siania strachu. Nawet ich gotowość na śmierć była demonstracją władzy, jakąś chorą, infantylną formą masochistycznej pokuty nie za własne ohydne zbrodnie, lecz. za to, że w ogóle żyją. Istniały niewątpliwie również inne przyczyny takiego stanu rzeczy, związane z domem rodzinnym czy nauką siadania na nocniku, ale Wilt już w to nie wnikał. Wystarczył mu fakt, że terroryści są nosicielami tej samej politycznej wścieklizny, która doprowadziła Hitlera do stworzenia Oświęcimia i samobójstwa w bunkrze, a Kambodżan do bratobójczych masowych mordów. Terrorystom nie należało się współczucie. Wilt musiał bronić swoich dzieci i mógł mu w tym pomóc jedynie własny rozum.

Tak więc rozpaczliwie starając się utrzymać Gudrun Schautz w izolacji i niepewności, recytował markuzjańskie dogmaty, dopóki nie przerwał mu helikopter. Kiedy zamknięty w drewnianej skrzynce telefon wleciał przez okno, Wilt rzucił się na kuchenną podłogę.

- Do łazienki! - wrzasnął w przekonaniu, że to bomba z gazem łzawiącym. Zupełnie niepotrzebnie, bo panna Schautz już tam była. Poczłogał się do niej.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - wyszeptwała.

- Wiedzą, że ja tu jestem - sprostował Wilt, wdzięczny policji za dostarczenie dowodu na to, że jest człowiekiem ściganym przez prawo. - Czego moglibyście od ciebie?

- Zamknęli mnie w łazience. Po co mieliby to robić, gdyby nie chodziło im o mnie?

- Po co mieliby to robić, gdyby chodziło im o ciebie? - odparł Wilt. - Zgarnęliby cię natychmiast.

- Zamilkł na chwilę i popatrzył na nią twardo w odbitym od sufitu świetle. - Ale jak wpadli na mój trop? Cały czas zadaję sobie to pytanie. Kto im powiedział?

Gudrun Schautz odwzajemniła jego spojrzenie, zadając sobie w duchu wiele pytań.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie? - zapytał Wilt, zdecydowawszy, że sytuacja dojrzała do rozpętania kompletnego szaleństwa. - Wiesz, tylko udajesz. Wprowadzasz się do mojego domu, gdy operacja przebiega zgodnie z planem, a potem nagle pojawiają się Izraelczycy i sprawa jest kaput. Nie dojdzie do zamachu na królową, użycia gazu paralizującego, unicestwienia za jednym uderzeniem wszystkich pseudodemokratycznych sił w Izbie Gmin...

Dzwonek telefonu przerwał tę obłąkańczą wyliczankę. Wilt przyjął go z ulgą, podobnie jak Gudrun Schautz. Paranoja, która była częścią jej natury, z każdą zmianą stanowiska Wilta przybierała większe rozmiary.

- Odbiorę - powiedziała, ale Wilt spojrzał na nią groźnie.

- Donosicielka - warknął. - Narobiłaś już dość szkód. Siedź na dupie. To twoja jedyna szansa.

Zostawiwszy ją, aby rozpracowała tę dziwną logikę, Wilt przeczołgał się przez kuchnię do pokoju i otworzył skrzynkę.

- Słuchaj, ty faszystowska świni! - wrzasnął, nie dając Flintowi dojść do słowa. - Nie myśl, że wciągniesz Alternatywną Armię Ludową w te wasze oszukańcze pertraktacje. Żądamy...

- Zamknij się, Wilt - warknął inspektor. Wilt się zamknął. Więc sukiny syny wiedzą. A konkretnie wie Flint. Co nie byłoby takie złe, gdyby nie miał na karku cholernej morderczyny. - Nie próbuj nam dłużej mydlić oczu. Dla twojej wiadomości: jeśli chcesz jeszcze zobaczyć córki żywe, lepiej przestań podtruwać swoich towarzyszy z parteru.

- Co mam przestać? - zapytał Wilt, tak oszołomiony tym nowym oskarżeniem, że odezwał się swoim normalnym głosem.

- Słyszałeś. Zatrujesz czymś wodę i tamci chcą, żeby została natychmiast odtruta.

- Zatruję... - zaczął Wilt, zanim przypomniał sobie, że ze względu na towarzystwo nie może mówić otwarcie.

- ...wodę - dopowiedział Flint. - Czas na jej oczyszczenie skończy się za pół godziny. A razem z nim czyjeś życie.

Przez chwilę panowała cisza. Wilt usiłował zebrać myśli. Pewnie było coś trującego w tej cholernej torbie podróźnej. Może terroryści zaopatrzyli się w zapasy cyjanku. Będzie musiał wyjąć torbę z bojlera, ale nie wolno mu wypaść z roli. Wrócił do poprzedniego sposobu mówienia.

- Nie wchodzimy w żadne układy! - krzyknął. - Jeśli do ósmej rano nie spełnicie naszych żądań, zakładniczka zginie.

Na drugim końcu linii rozległ się śmiech.

- Nie żartuj, Wilt - powiedział inspektor Flint. - Jak zamierzasz ją zabić? Może zajebiesz ją na śmierć? - Zamilkł na moment, aby do Wilta dotarł sens tych słów, po czym mówił dalej: -Mamy na taśmie każdy najmniejszy numer, jaki odstawieś. Będzie niezła zabawa, kiedy puścimy ją w sądzie.

- Kurwa - mruknął Wilt.

- My już się ubawiliśmy. A zwłaszcza pani Wilt. Tak, dobrze słyszałeś. Więc oczyścisz wodę czy chcesz, żeby twoje córki musiały się jej napić?

- W porządku, zgadzam się. Podstawicie samolot na pas startowy. Nie ruszę się stąd, dopóki nie przyjedzie samochód. Jeden kierowca i żadnych sztuczek, bo inaczej ta kobieta umrze. Rozumiecie?

- Nie - odparł Flint, któremu zaczynało się kręcić w głowie, ale Wilt już odłożył słuchawkę.

Siedział na podłodze, próbując znaleźć wyjście z nowej sytuacji. Nie może nic zrobić z bojlerem na oczach tej Schautz. Będzie musiał ciągnąć swój bluff. Wróciwszy do kuchni, zastał dziewczynę stojącą niepewnie przy drzwiach do łazienki.

- Więc teraz już wiesz - skonstatował.

Gudrun Schautz nie wiedziała.

- Dlaczego powiedziałaś, że mnie zabijesz? - spytała.

- A jak myślisz? - odrzekł Wilt, zbierając się na odwagę, aby odegrać coś zbliżonego do groźby. - Ponieważ jesteś donosicielką. Gdyby nie ty, nasz plan...

Ale fraulein Schautz usłyszała już dość. Wpadła do łazienki, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na zasuwę. Ten facet był obłąkany. Cała sytuacja była obłąkana. Nic nie miało sensu, jedna sprzeczność goniła drugą, dając w wyniku niezrozumiałą gmatwaninę. Gudrun usiadła na sedesie i próbowała wymyślić jakiś sposób wydostania się z tego chaosu. Jeśli ten dziwny człowiek opowiadający o zamachu na królową rzeczywiście jest poszukiwany przez policję, a wszystko zdawało się na to wskazywać, z uchodzenia za jego zakładniczkę płynęła pewna korzyść, choćby na pozór brzmiało to nielogicznie. Wiedziała, że nie należy podejrzewać brytyjskich policjantów o głupotę, ale mogli ją jednak wypuścić, nie zadając zbyt wielu kłopotliwych pytań. To jej jedyna szansa. A przez drzwi słyszała, jak Wilt mruczy coś groźnie pod nosem, na nowo owijając kłamek przewodem.

Skończywszy, wspiął się na stryszek i chwilę później chlapał się w bojlerze. Woda rzeczywiście przybrała bardzo ciemny kolor i gdy w końcu udało mu się wyciągnąć torbę, całe ręce miał niebieskie. Położył toboł na podłodze, aby przetrząsnąć jego zawartość. Na dnie znalazł przenośną maszynę do pisania i dużą poduszczkę do tuszu z gumową pieczątką. Nic nie wskazywało na obecność trucizny, ale taśma maszyny i poduszcзка do tuszu niewątpliwie farbowały. Wilt wrócił do kuchni i puścił wodę.

- Nic dziwnego, że dranie myślały, że ktoś ich podtruwa - mruknął i zostawiwszy kran odkręcony, ponownie wspiął się na stryszek. Zanim wczołgał się z torbą za bojler i schował ją pod izolacją z włókna szklanego, światło reflektorów zaczął już przełamywać świt. Wilt zlął ze stryszku, poszedł do pokoju i zastanawiając się, co ma robić dalej, wyciągnął się na kanapie.

18

Tak więc rozpoczął się Dzień Drugi oblężenia na Willington Road. Słońce wzeszło, reflektory zgasły, Wilt spał niespokojnie w kącie poddasza, Gudrun Schautz w łazience, a pani de Frackas w piwnicy razem z czworaczkami skulonymi na stosie worków, w których Eva przechowywała kiedyś organiczne ziemniaki. Nawet dwóm terrorystom udało się trochę zdrzemnąć, a w centrum łączności zainstalowany na łóżku polowym major chrapał i rzucał się przez sen jak pies myśliwski, któremu śni się polowanie. Ludzie z Brygady Antyterrorystycznej rozłożyli się po całym domu pani de Frackas. Sierżant obsługujący podsłuch zwinął się w kłębek na kanapie w saloniku, a inspektor Flint zaanektował główną sypialnię. Choć ludzka aktywność ustała, elektroniczne czujniki przekazywały informacje na taśmy i dalej do komputera Zespołu do spraw Działań Psychologicznych, a telefon polowy, niczym audiowizualny koń trojański, rejestrował każdy oddech Wilta i śledził jego ruchy okiem telewizyjnej kamery.

Tylko Eva nie spała. Leżała w celi komisariatu, patrząc uporczywie na zwisającą z sufitu słabą żarówkę i wprawiając oficera dyżurnego w zakłopotanie żądaniem widzenia się z adwokatem. Biedak bowiem nie umiał się tym żądaniom przeciwstawić. Pani Wilt nie była zbrodniarką i o ile

wiedział, nie istniały żadne podstawy prawne do trzymania jej w areszcie. Zresztą nawet prawdziwym złoczyńcom wolno porozumiewać się z adwokatem. Po kilku bezowocnych próbach skontaktowania się z inspektorem Flintem policjant ustąpił.

- Może pani skorzystać z telefonu w dyżurce - powiedział i oddalił się dyskretnie, aby dzwoniła, ile chce i dokąd chce. Czy się to Flintowi spodoba czy nie, będzie musiał się z tym pogodzić. Oficer dyżurny nie miał ochoty kłaść głowy pod topór dla niczyjego widzimisię.

Eva zadzwoniła do wielu osób. Mavis Mottram została wyrwana ze snu o czwartej rano i ugłaskana informacjami, że przyjaciółka nie odezwała się do niej wcześniej wyłącznie dlatego, że jest bezprawnie przetrzymywana przez policję.

- W życiu nie słyszałam czegoś równie oburzającego. Moje ty biedactwo. Nic się już nic martw, zaraz cię stamtąd wyciągniemy - obiecała Mavis i natychmiast obudziła Patricka, aby mu powiedzieć, że ma się skontaktować z naczelnikiem policji, miejscowym posłem do parlamentu i swoimi znajomymi z BBC.

- Nie będę miał żadnych znajomych z BBC, jeśli zadzwonię do nich o wpół do piątej rano.

- Bzdura - odparła Mavis. - W ten sposób dasz im dość czasu na umieszczenie tej historii w porannych wiadomościach.

Również państwu Braintree nie było dane się wyspać. Eva przeraziła ich opisem czynnego znieważenia przez policję i zapytała, czy nie znają kogoś, kto mógłby jej pomóc. Peter Braintree zatelefonował do sekretarza Ligi Swobód Osobistych i - po namyśle - do wszystkich gazet o ogólnokrajowym zasięgu.

A Eva dzwoniła dalej. Pan Gosdyke, adwokat Wiltów, został wyciągnięty do telefonu z łóżka i obiecał natychmiast przyjść do komisariatu.

- Niech pani z nikim nie rozmawia - poradził jej w przekonaniu, że pani Wilt popełniła jakieś przestępstwo.

Eva zignorowała tę radę. Porozmawiała jeszcze z Nye'ami, dyrektorem college'u i tyłoma innymi osobami, ile tylko przyszło jej do głowy. Nie zapomniwała nawet o doktorze Scullym. Właśnie skończyła, gdy zadzwonili z BBC, aby udzieliła im wywiadu jako matka czworaczek przetrzymywanych przez terrorystów, która sama jest bez żadnego powodu przetrzymywana przez policję.

Od tego momentu zaczęło narastać crescendo protestów. Minister spraw wewnętrznych został obudzony przez wiceministra wiadomością, że BBC nie chce, w imię dobra publicznego, zrezygnować z nadania wywiadu z matką zakładniczek, wychodząc z założenia, że jej bezprawne aresztowanie jest z pojęciem dobra publicznego diametralnie sprzeczne. Z MSW informacja dotarła do naczelnego komisarza policji, którego obciążono odpowiedzialnością za działania Brygady Antyterrorystycznej, a nawet do ministra obrony narodowej, gdyż przede wszystkim zaatakowały panią Wilt jemu podlegające Lądowe Służby Specjalne.

Wywiad z Evą trafił do wiadomości radiowych o siódmej rano oraz na pierwsze strony wszystkich gazet, które ukazały się przed porannymi godzinami szczytu, i już około wpół do ósmej komisariat w Ipford był bardziej obleżony przez dziennikarzy, kamerzystów telewizyjnych, fotoreporterów, znajomych Evy i gapiów niż dom przy Willington Road przez policję i wojsko. Nawet sceptycyzm pana Gosdyke'a wyparował w obliczu wyznania oficera dyżurnego, że nie ma pojęcia, dlaczego pani Wilt przebywa w areszcie.

- Niech mnie pani nie pyta, o co jest oskarżona - powiedział. - Polecenie zamknięcia jej w cel i dostałem od inspektora Flinta. Po dalsze informacje proszę się zwrócić do niego.

- Zamierzam to zrobić - odparł na Gosdyke. - Gdzie on jest?

- Przy obleżeniu. Mogę spróbować połączyć z nim pana telefonicznie.

Tak więc Flint, któremu w końcu udało się chwilę zdrzemnąć i który usnął w słodkim przeświadczeniu, że nareszcie przyłapał tego drania Wilta na tym, na czym chciał go przyłapać, to znaczy na prawdziwym przestępstwie, przekonał się niespodziewanie, że karta się odwróciła.

- Nie kazałem jej aresztować. Powiedziałem, żeby ją trzymać pod strażą na mocy Ustawy o terroryzmie.

- Chyba pani nie sugeruje, że moja klientka jest podejrzana o terroryzm? - zapytał pan Gosdyke. - Bo jeśli tak...

Inspektor Flint przypomniał sobie, co mówi prawo na temat zniesławienia, i zdecydował, że nie.

- Pani Wilt przebywa pod strażą dla jej własnego bezpieczeństwa - odrzekł dyplomatycznie.

Pan Gosdyke poważnie w to wątpił.

- Zobaczywszy ją, jestem głęboko przekonany, że byłaby znacznie bezpieczniejsza poza komisariatem. Wyraźnie widać, że została ciężko pobita, przeciągnięta przez błoto i, jeśli dobrze to oceniam, kilka żywoplotów na dodatek. Ma liczne obtarcia skóry na rękach i nogach oraz znajduje się w stanie wyczerpania nerwowego. Zwolni ją pan z aresztu czy też mam się odwołać do...

- Nie - odparł pospiesznie Flint. - Oczywiście, że pani Wilt może opuścić areszt, ale nie odpowiadam za jej bezpieczeństwo, jeśli przyjdzie tutaj.

- Pańskie gwarancje w tym względzie nie są mi potrzebne - zakończył rozmowę pan Gosdyke i wyprowadził Evę z komisariatu. Na zewnątrz przy witał ją grad pytań i trzask migawek.

- Czy to prawda, że policja panią pobiła?

- Tak - potwierdziła Eva, zanim pan Gosdyke zdążył wtrącić, że pani Wilt nie będzie odpowiadać na żadne pytania.

- Co zamierza pani teraz zrobić?

- Idę do domu - oznajmiła Eva, ale pan Gosdyke wepchnął ją do samochodu.

- To wykluczone, moja droga. Na pewno ma pani jakichś przyjaciół, u których mogłaby się tymczasem zatrzymać.

Stojąca w tłumie Mavis Mottram usiłowała zwrócić na siebie uwagę, ale Eva ją zignorowała. Myślała o Henrym w łóżku z tą okropną Niemką, i Mavis była ostatnią osobą, z którą miała teraz ochotę rozmawiać. Poza tym w głębi duszy winiła ją za to, że uparła się, aby poszły na tę głupią prelekcję. Gdyby została w domu, to wszystko by się nie zdarzyło.

- Myślę, że Braintree nie będą mieli nic przeciwko temu - odparła i wkrótce siedziała w ich kuchni, pijąc kawę i opowiadając Betty całą historię.

- Jesteś pewna, Evo? - zapytała Betty. - Nigdy nie słyszałam, żeby Henry interesował się innymi kobietami. To nie w jego stylu.

Eva ze łzami w oczach skinęła głową.

- Ja słyszałam bardzo wyraźnie. W całym domu są mikrofony i słychać wszystko, co się tam dzieje.

- Muszę przyznać, że nic z tego nie rozumiem.

Eva również nie rozumiała. Chodziło nie tylko o to, że zdrada małżeńska nie była w stylu Henry'ego. To w ogóle nie był Henry. Henry nigdy nawet nie spojrzął na inną kobietę. Eva o tym wiedziała i chwilami ta obojętność niemal ją złościła, gdyż w pewnym sensie pozbawiała ją tej odrobiny zazdrości, do której miała prawo jako żona. Poza tym podejrzewała, że obojętność Henry'ego roztacza się również i na nią. Teraz czuła się zdradzona podwójnie.

- Każdy by myślał, że strach o dzieci nie pozwoliłby mu na... - ciągnęła. - One są na dole, a on na górze z tą zdziwą...

Nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem.

- Powinnaś się wykapać i porządnie wyspać - orzekła Betty i Eva dała się zaprowadzić do łazienki.

Ale kiedy leżała w gorącej kąpieli, instynkt i myśl znów się ze sobą splotły. Idzie do domu. Musi iść do domu i tym razem pójdzie tam w biały dzień. Wyszła z wanny, wytarła się włożyła sukienkę ciążową, jedyną pasującą na nią rzecz, jaką Betty udało się znaleźć, po czym zeszła na dół. Wiedziała już, co robi.

Inspektor Flint, major oraz członkowie Zespołu do spraw Działań Psychologicznych siedzieli w pełniącym tymczasowo funkcję sali konferencyjnej prywatnym gabinecie generała-majora de Frackas i wpatrywali się w monitor ustawiony bezceremonialnie pośrodku bitwy pod Walerloo. Zgromadzone przez nieboszczyka generała - majora ołowiane żołnierzyki, precyzyjnie wyeksponowane na dużym stole pingpongowym, gdzie pokrywały się kurzem od dnia śmierci właściciela, stanowiły surrealistyczne tło dla niezwykłych obrazów i dźwięków przekazywanych z sąsiedztwa za pośrednictwem wbudowanej w telefon polowy kamery. Alternatywa według Wilita weszła w nową fazę - kompletnego obłędu. Henry przechadzał się po poddaszu, wygłaszając całkowicie pozbawione sensu zdania, a jego postać, straszliwie zniekształcona przez obiektyw "rybie oko", to rosła, to malała na ekranie.

- Facetowi brakuje piątej klepki - stwierdził major.

Nawet Flintowi trudno się było nie zgodzić z tym werdyktem,

- Co to, do diabła, znaczy, że "życie szkodzi nieskończoności"? - zapytał doktora Feldena, psychiatrę.

- Aby wydać sprecyzowaną opinię, muszę usłyszeć coś więcej - odparł doktor.

- Ja nie muszę - mruknął major. - Mam wrażenie, jakbym zaglądał do pokoju bez klamki.

Wilt krzyczał teraz coś o walce za religię Allaha i śmierci dla wszystkich niewiernych. Następnie wydał z siebie kilka wybitnie niepokojących dźwięków, które przywoływały na myśl wioskowego głupka dławiącego się ością, i zniknął w kuchni, skąd po chwili ciszy zaintonował przeraźliwym falsetem "Dzwony piekła biją nie dla mnie, lecz dla ciebie". Kiedy pojawił się na ekranie ponownie, był uzbrojony w nóż do chleba i wrzeszczał, że "W szafie jest krokodyl, mam, i pożywia się piżamą, a jaszczurka, dając nurka, zmyka przed piranią". W końcu położył się na łóżku i zaczął chichotać.

Flint pochylił się nad szeregami kawalerii i wyłączył odbiornik.

- Jeszcze trochę i sam bym zwariował - wymamrotał. - W porządku. Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy sukinsyna. Chcę się od was dowiedzieć, jak należy z nim postępować.

- Patrząc na tę kwestię z punktu widzenia koherencji ideologicznej, muszę przyznać, że trudno mi sformułować jakąkolwiek opinię - odrzekł profesor Maerlis.

- I bardzo dobrze - zauważył major, który nadal żywił podejrzenie, że profesor podziela poglądy terrorystów.

- Z drugiej jednak strony transkrypt taśm nagranych ostatniej nocy dostarcza niezbitych dowodów na to, że pan Wilt posiada gruntowną wiedzę o teorii terroryzmu oraz że brał udział w spisku na życie królowej. Nie rozumiem tylko, jaką rolę odgrywają w tym wszystkim Izraelczycy.

- Być może to objaw paranoi - podsunął doktor Felden. - Typowy przykład manii prześladowczej.

- Żadnego "być może" - wtrącił się Flint. - Jest drań wariatem czy nie jest?

- Trudno powiedzieć. Przede wszystkim istnieje możliwość, że podmiot działa pod wpływem środków chemicznych, podanych mu wczoraj. Od tak zwanego oficera medycznego, który je zaordynował, uzyskałem informację, że mikstura składała się z trzech części valium, dwóch amytału sodu, miarki bromu i czegoś, co był uprzejmy nazwać bukietem laudanum. Nie potrafił sprecyzować, jakich ilości użył, niemniej fakt, że pan Wilt jeszcze żyje, wystawia moim zdaniem jakieś świadectwo jego organizmowi.

- Fakt, że łobuz to wypił i niczego nie poczuł, wystawia jakieś świadectwo kawie z naszej kantyny - mruknął Flint. - W każdym razie dzwoniemy do niego i pytamy, co zrobił z tą Schautz, czy nie?

Doktor Felden bawił się w zamyśleniu ołowianym Napoleonem.

- Ogólnie biorąc, jestem temu przeciwny. Jeśli fraulein Schautz nadal żyje, nie chciałbym brać na siebie odpowiedzialności za podsuniecie pomysłu jej zamordowania człowiekowi w takim stanie jak pan Wilt.

- Bardzo mi pan pomógł. Więc kiedy te bydlaki znowu zażądają jej uwolnienia, mam im, jak przypuszczam, powiedzieć, że ich towarzyszką jest w rękach szaleńca?

I prosząc Boga, aby przysłano nowego szefa Brygady Antyterrorystycznej, zanim w sąsiedztwie dojdzie do zbiorowego mordu, Flint poszedł do centrum łączności.

- Nic z tego - oznajmił sierżantowi. - Brygada Idiotów uważa, że mamy do czynienia z maniakiem zabójcą.

Takiej mniej więcej reakcji Wilt pragnął. Miał za sobą ciężką noc, spędzoną na obmyśleniu następnego posunięcia. Zagrał już ekstremistyczne ugrupowanie terrorystyczne, wdzięcznego ojca, tępego naiwniaka, kapryśnego kochanka oraz zamachowca na życie królowej i widział, jak z każdą jego nową rolą panna Schautz coraz bardziej traci pewność siebie. Otumaniona narkotykiem rewolucyjnej dogmatyki terrorystka nie potrafiła się odnaleźć w świecie absurdałnej fantazji. A świat Wilta był absurdałny; był taki od zawsze i jak Wilt sądził, na zawsze miał taki pozostać. To, że Bilger nakręcił ten cholerny film o krokodylach, było absurdałne i fantastyczne, ale było faktem. Wilt spędził całe swoje dorosłe życie w otoczeniu przyszcanych młodzieńców, którzy uważali się za boskie dary dla kobiet, oraz wykładowców, którzy wyobrażali sobie, że zmuszając tynkarzy do czytania Finnegans Wake, zrobią z nich wrażliwe istoty ludzkie, albo że karmiąc mechaników

samochodowych cytatami z Kapitału zaszczerpią im prawdziwą proletariacką świadomość. Również on sam miał na koncie szereg fantazji, tych skrytych rojeń, że jest wielkim pisarzem, które obudziły się w nim na nowo, gdy po raz pierwszy zobaczył Irmgard Muller, a poprzednio, że z zimną krwią zabija Evę. I od osiemnastu lat żył z kobietą, która zmieniała role niemal tak często jak bieliznę. Z takim bogactwem doświadczeń mógł płodzić nowe fantazje na poczekaniu, byle tylko nie musiał ich uwiarygadniać robieniem czegoś bardziej konkretnego niż ubieranie ich w słowa. Słowa były jego medium, zawsze, przez wszystkie te lata spędzone w college'u. Zamknawszy Gudrun Schautz w łazience, mógł posługiwać się nimi do woli ku swemu zadowoleniu, a jej dyskomfortowi. Pod warunkiem że te indywidua z dołu nie przystąpią do jakiejś gwałtownej akcji.

Baggish i Chinanda musieli jednak stawić czoło innej formie dziwnego zachowania. Czworaczki obudziły się wcześniej i ponowiły atak na zamrażarkę oraz zapasy przetworów owocowych Ewy. Pani de Frackas zaniechała nierównej walki o utrzymanie dziewczynek we względnej czystości. Spędziła noc na wybitnie niewygodnym drewnianym krześle i zaczął jej dokuczać reumatyzm. W końcu zachciało jej się pić, a że jedynym dostępnym napojem było patentowe piwo Wilta, przyniosło to zgoła nieoczekiwane skutki.

Już po pierwszym przerażającym łyku starsza pani zadała sobie pytanie, czym, do diabła, dostała w głowę. Draństwo nie tylko miało paskudny smak, tak paskudny, że chcąc wypłukać usta, natychmiast pociągnęła drugi łyk, lecz także było wyjątkowo mocne. Przystawszy się krztusić, pani de Frackas popatrzyła na butelkę z niedowierzaniem. Wydało jej się niepodobieństwem, aby ktokolwiek mógł fabrykować coś takiego z myślą o konsumpcji, i przez parę chwil rozważała straszną możliwość, że Wilt, z sobie tylko wiadomych szatańskich powodów, zgromadził zapasy nie rozcieńczonej benzyny ekstrakcyjnej. Nie było to zbyt prawdopodobne, ale z drugiej strony połknęła właśnie coś nieprawdopodobnego, coś, co przepaliło jej przełyk z zjadłością żrącego środka do czyszczenia urządzeń sanitarnych, rozprawiającego się z jakimś zaniedbanym kolankiem. Przystudiowała etykietkę i uspokoiła się nieco. Ciecz mieniła się piwem i chociaż nazwa la pozostawała w rażącej sprzeczności z rzeczywistością, cokolwiek butelka zawierała, było przeznaczone do picia. Starsza pani pociągnęła jeszcze jeden łyk i zapomniała o swoim reumatyzmie. Niemożliwością było skupić się na dwóch dolegliwościach jednocześnie.

Kiedy skończyła butelkę, miała trudności ze skupieniem się na czymkolwiek. Świat stał się nagle cudownym miejscem i niewiele było potrzeba, żeby stał się jeszcze bardziej cudowny. Niepewnym krokiem podeszła do zapasów alkoholu, wzięła drugie piwo i była właśnie w trakcie jego otwierania, gdy draństwo eksplodowało. Kiedy oblana pianą i z szyjką od butelki w rękę miała się już zabrać do trzeciego, zauważyła kilka większych butelek na dolnej półce. Wyciągnawszy jedną z nich, stwierdziła, że kiedyś był w niej szampan. Co było w niej teraz, nie potrafiła sobie wyobrazić, ale przynajmniej ta butelka robiła wrażenie bezpieczniejszej w obsłudze i mniej skłonnej do rozprysnięcia się na kawałki niż butelki z piwem. Zabrała dwie sztuki do frontowej części piwnicy i spróbowała je odkorkować. Nie było to takie proste. Wilt oblepił korki taśmą klejącą i oplół je czymś, co wyglądało na resztki drucianego wieszaka do ubrań.

- Potrzebne mi jakieś kombinerki - wymamrotała pani de Frackas, gdy zebrały się wokół niej zaciekawione czworaczki.

- To tatusia najlepsze - powiedziała Josephine. - Nie byłby zadowolony, gdyby je pani wypijała.

- Nic wątpię w to, skarbie - odparła starszka i jakby na dowód tego, że jej żołądek podziela odczucia Wilta, głośno czknęła.

- Nazywa je swoim czterogwiazdkowym wyborowym - dodała Penelope. - Ale mamusia mówi, że to sikacz.

- Naprawdę? - zapytała pani de Frackas z rosnącym niesmakiem.

- To dlatego, że kiedy tatuś je wypije, musi potem wstawać w nocy.

Pani de Frackas odetchnęła z ulgą.

- Nie będziemy robić nic, co mogłoby zdenerwować waszego ojca - stwierdziła.

- A poza tym szampana pije się schłodzonego.

Powędrowała ponownie do składziku, wróciła z dwiema otwartymi butelkami, które okazały się mniej wybuchowe niż reszta, i usiadła. Dziewczynki skupiły się tymczasem wokół zamrażarki, ale starsza pani była zbyt zajęta, aby przejmować się tym, co robią. Kiedy skończyła trzecią butelkę, czworaczki Wiltów stały się w jej oczach ośmioraczkami i miała problemy z ostrością obrazu.

Zacząła też rozumieć słowa Ewy. Willowy wyrób domowy dawał o sobie znać. Pani de Frackas wstała, przewróciła się i popełzła po schodach ku górze. Cholerne drzwi były zamknięte.

- Wypuście mnie! - krzyknęła, waląc w nie pięściami. - Wypuście w tej chwili.

- Czego chcesz? - zapytał Baggish.

- Nie chodzi o to, czego chcę, tylko co muszę, a to nie wasz interesz.

- Więc zostaniesz tam, gdzie jesteś.

- Nie odpowiadam za to, co się stanie, jeśli tu zosztanę - odparła pani de Frackas.

- Co masz na myśli?

- Młody człowieku, są sprawy, o których lepiej jeszt nie mówić, i nie zamierzam o nich z wami dyszkutować.

Przez drzwi słyhać było, jak terroryści zmagają się z niewyraźnymi angielskimi zdaniem. "Sprawy, o których lepiej jeszt nie mówić" zbiły ich z tropu, a "nie odpowiadam za to, co się stanie" zabrzmiało nieco złowróźnie, tym bardziej że byli już zaniepokojeni dochodzącymi z piwnicy odgłosami jakichś wystrzałów i chrzęstem tłuczonego szkła.

- Chcemy wiedzieć, co się stanie, jeśli cię nie wypuścimy - oznajmił w końcu Chinanda.

Pani de Frackas nie miała żadnych wątpliwości.

- Prawie na pewno wybuchnę! - wrzasnęła.

- Co zrobisz?

- Wybuchnę, wybuchnę, wybuchnę! Jak bomba! - krzyczała starsza pani, przekonana, że ma ostatnie stadium moczówki. W kuchni odbyła się szeptana narada.

- Wyjdź z rękami w górze - poleciał Chinanda i przekręciwszy klucz w zaniku, wycofał się na korytarz z automatem wycelowanym w drzwi. Pani de Frackas była jednak w stanie, w którym nie słyha się poleceń. Usiłowała dosięgnąć którejs z kilku klamek i w żadną nie mogła trafić. Stojące u stóp schodów czworaczki przyglądały się jej zafascynowane. Były przyzwyczajone do okazjonalnych popisów wstawionego Wilta, ale nigdy dotąd nie widziały nikogo pijanego w sztok.

- Na miłość boską, niech ktoś otworzy te drzwi - wybelkotała pani de Frackas.

- Ja! - pisnęła Samantha i dziewczynki rzuciły się hurmem po schodach, tratując starszą panią w walce o przywilej pierwszeństwa. Kiedy Penelope zwyciężyła i wszystkie runęły do kuchni, pani de Frackas nie była już zainteresowana toaletą. Leżąc w progu, podniosła z wysiłkiem głowę i wydała sąd o czworaczkach.

- Niech ktoś mi wyświadczy przysługę i zastrzeli te małe śmierzdziele - zabalgotała, po czym straciła przytomność.

Terroryści nie słydzeli jej jednak. Nagle zrozumieli, co miała na myśli, mówiąc o bombie. Z piwnicy dobiegł ich odgłos dwóch potężnych wybuchów i w powietrze wystrzeliła mieszanka mrożonego zielonego groszku i bobu. Wyborowe Wilta w końcu eksplodowało w zamrażarce.

19

Eva również była zajęta. Spędziła część ranka, rozmawiając przez telefon z panem Gosdykiem, a resztę na dyskusji z lokalnym przedstawicielem Ligi Swobód Osobistych, panem Symperem. Pan Symper był poważnym, ofiarnie pełniącym swe obowiązki młodym człowiekiem i w normalnych okolicznościach wstrząsnęłoby nim do głębi oburzające postępowanie policji, która odmawiając spełnienia uzasadnionych żądań bojowników o wolność obleganych w domu przy Willington Road 9, naraża na niebezpieczeństwo utraty życia starszą obywatelkę i czwórkę delikatnych dzieci. Tymczasem sposób potraktowania Ewy przez stróży porządku publicznego postawił go w nadzwyczaj niewygodnym położeniu, gdyż musiał patrzeć na kwestię z jej punktu widzenia.

- Naprawdę rozumiem pani sytuację - powiedział, zweryfikowawszy na widok siniaków Ewy swój dotąd przychylny stosunek do cudzoziemskich ekstremistów - ale musi pani przyznać, że jest pani wolna.

- Nie jestem. Nie mogę wejść do własnego domu. Policja mi nie pozwala.

- Jeśli chce pani wnieść przeciw policji skargę o ograniczenie swobody osobistej poprzez bezprawne aresztowanie... Eva nie chciała.

- Chcę wejść do własnego domu.

- Naprawdę pani współczuję, ale celem naszej organizacji jest obrona jednostki przed ograniczaniem jej swobody osobistej przez policję, a w pani wypadku...

- Nie pozwalają mi iść do domu - przerwała mu Eva. - Jeśli to nie jest ograniczanie swobody osobistej, nie wiem, co by nim miało być.

- Naprawdę się z panią zgadzam, ale...

- Wiec niech pan coś zrobi.

- Naprawdę nie wiem, co mógłbym zrobić - odparł pan Symper.

- Wiedział pan, co robić, kiedy policja zatrzymała w Dover samochód-chłodnię z zamrożonymi Banglijczykami - wtrąciła się Betty. -Zorganizował pan wiec protestacyjny i...

- To zupełnie co innego - zaproponował pan Symper. - Celnicy nie mieli prawa żądać, aby chłodnia była włączona. Banglijczycy nabawili się ostrych odmrożeń. A poza tym podróżowali tranzytem.

- Nie powinni byli podróżować jako filety z dorsza. Tak czy owak, argumentował pan wtedy, że chcą się tylko połączyć ze swoimi rodzinami w Anglii.

- Podróżowali tranzytem do swoich rodzin.

- Czyli prawie tak samo jak Eva - stwierdziła Betty. - Jeśli ktokolwiek ma prawo połączyć się z rodziną, to na pewno ona.

- Sądzę, że moglibyśmy wystąpić o nakaz sądowy - odrzekł pan Symper, wzdychając do problemów o zasięgu szerszym niż lokalny. - To najlepsze wyjście.

- To najpowszechniejsze wyjście - sprostowała Eva. - Idę do domu teraz, a pan pójdzie ze mną.

- Co proszę? - zapytał pan Symper, którego ofiarność nie posuwała się aż tak daleko, by sam chciał zostać zakładnikiem.

- Słyszał pan - odparła Eva, stając nad nim z tak groźnym obliczem, że zwątpił w słusność swego żarliwego feminizmu, ale zanim zdążył wystąpić w obronie własnej swobody osobistej, został wywleczony z domu.

Na zewnątrz czekał tłum reporterów.

- Proszę pani - odezwał się mężczyzna ze "Snapa". - Nasi czytelnicy chcieliby się dowiedzieć, co czuje matka czworaczek, gdy jej ukochane dzieci są zakładnikami terrorystów.

Eva wytrzeszczyła na niego oczy.

- Co czuję? - zapytała. - Chce pan wiedzieć, co czuję?

- Tak jest - potwierdził dziennikarz, liżąc koniec długopisu. - Opinia publiczna...

Nie udało mu się dokończyć zdania. Uczucia Ewy przekroczyły granicę dbałości o opinię publiczną czy słowa. Dawały się wyrazić tylko czynami. Jej ręce wystrzeliły w górę, opadły błyskawicznie w ciosie karate i gdy dziennikarz padał na ziemię, jej kolano trafiło go w żołądek.

- Oto, co czuję - oznajmiła, gdy poturlał się w pozycji embrionalnej na klomb. - Niech pan to powie swoim czytelnikom.

Podprowadziła całkowicie już potulnego pana Sympera do jego samochodu i wepchnęła go do środka.

- Jadę do domu, do moich dzieci. Pan Symper z Ligi Swobód Osobistych jedzie ze mną, a na miejscu czeka na nas mój adwokat - oświadczyła pozostałym reporterom i siadła za kierownicą.

Kiedy po dziesięciu minutach dotarli w eskorcie prasy do blokady na Farringdon Avenue, zastali pana Gosdyke'a na jałowej dyskusji z sierżantem policji.

- Obawiam się, że nic z tego, proszę pani - westchnął adwokat. - Policja ma rozkaz nikogo nie przepuszczać.

- To wolny kraj - prychnęła Eva, wyciągając pana Sympera z samochodu chwytem, który zadawał kłam jej słowom. - Jeśli ktokolwiek spróbuje mi przeszkodzić w dotarciu do domu, zwrócę się z tą sprawą do sądu, do rzecznika praw obywatelskich i do parlamentu. Panowie, idziemy.

- Chwileczkę, proszę pani - odezwał się sierżant. - Moje rozkazy...

- Zapisałam sobie pański numer - przerwała mu Eva - i zaskarżę pana indywidualnie o uniemożliwienie mi dostępu do moich dzieci.

I popychając przed sobą opierającego się nieco pana Sympera, przemaszerowała przez lukę w zasiekach. Pan Gosdyke podążył niepewnie za nimi, a w tłumie reporterów rozległy się oklaski. Przez chwilę sierżant był zbyt oszołomiony, aby zareagować, i zanim sięgnął po krótkofalówkę, cała trójka skręciła już w Willington Road. W połowie ulicy zatrzymali ich dwaj uzbrojeni ludzie z LSS.

- Nie wolno wam tu przebywać! - krzyknął jeden z nich. - Nie wiecie, że mamy oblężenie?

- Wiemy - odparła Eva. - Właśnie dlatego tu jesteśmy. Nazywam się Eva Wilt, to pan Symper z Ligi Swobód Obywatelskich, a pan Gosdyke zajmie się negocjacjami. Zechce nas pan zaprowadzić do...

- Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdził żołnierz. - Wiem tylko tyle, że mam rozkaz strzelać do każdego, kto...

- Więc niech pan do mnie strzeli - odrzekła wojowniczo Eva.

- Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Żołnierz zawahał się. Regulamin Królewskich Lądowych Służb Specjalnych nie przewidywał strzelania do matek zakładniczek, a pan Gosdyke wyglądał zbyt szacownie, aby mógł być terrorystą.

- W porządku, proszę tędy - powiedział w końcu i odeskortował całą trójkę do domu pani de Frackas, gdzie powitały ich przekleństwa inspektora Flinta.

- Co jest, do cholery?! - wrzasnął inspektor. - Chyba zabroniłem się tu pani pokazywać!

Eva wypchnęła pana Gosdyke'a do przodu.

- Niech pan mu powie - poleciła.

Pan Gosdyke odchrząknął i rozejrzał się niepewnie po pokoju.

- Jako prawny przedstawiciel pani Wilt - zaczął - informuję pana, że moja klientka żąda, aby umożliwiono jej połączenie się z rodziną. O ile mi wiadomo, nie ma takiego prawa, które zabraniałoby jej wstępu do własnego domu.

Inspektor Flint wybałuszył na niego oczy.

- Nie ma takiego prawa? - prychnął.

- Nie ma - powtórzył pan Gosdyke.

- Do diabła z prawem! - krzyknął Flint. - Nie rozumie pan, że te sukinsyny mają je głęboko w dupie?

Pan Gosdyke rozumiał i przyznał inspektorowi rację.

- Dobrze - ciągnął Flint. - Więc dom jest pełen uzbrojonych terrorystów, którzy rozwalą jej cztery sakramenckie córeczki, jeśli ktokolwiek tylko się tam zbliży. To wszystko. Nie może jej pan tego wbić do tępej głowy?

- Nie - odparł pan Gosdyke krótko i węzłowato.

Inspektor opadł na krzesło i popatrzył na Evę morderczym wzrokiem.

- Droga pani - zaczął. - Proszę mi coś powiedzieć. Czy przypadkiem nie należy pani do jakiejś sekty religijnej praktykującej kultowe samobójstwo? Nie? Tylko się zastanawiałem. W takim razie proszę pozwolić, że przedstawię pani sytuację w prostych, krótkich słowach, które nawet pani zrozumie. W pani domu są...

- Wiem - przerwała mu Eva. - Słyszałam to setki razy i nic mnie to nie obchodzi. Żądam, żeby pozwolono mi tam pójść.

- Rozumiem. Jak przypuszczam, zamierza pani podejść do frontowych drzwi i nacisnąć dzwonek?

- Nie - odrzekła Eva. - Zamierzam zostać zrzucona.

- Zrzucona? - powtórzył Flint z niedowierzaniem i błyskiem nadziei w oku jednocześnie. - Naprawdę powiedziała pani "zrzucona"?

- Z helikoptera - wyjaśniła Eva. - Tak samo jak zeszłej nocy zrzuciliście Henry'emu telefon.

Inspektor oniemiał i złapał się za głowę.

- I niech mi pan nie opowiada, że to niemożliwe - ciągnęła Eva. - Widziałam coś takiego w telewizji. Włożę uprząż, a helikopter...

- O mój Boże! - jęknął Flint, zamykając oczy, aby odsunąć od siebie tę przerażającą wizję. - Nie mówi pani poważnie.

- Mówię poważnie - odrzekła Eva.

- Proszę pani, gdyby... podkreślam - gdyby... dostała się pani do domu drogą, którą opisała, czy zechce mi pani powiedzieć, w jaki sposób pomogłoby to pani córkom?

- O to już niech się pan nie martwi.

- Aleja się martwię, i to bardzo. Odnoszę nawet wrażenie, że martwię się o pani dzieci bardziej niż pani.

- Więc dlaczego nic pan nie robi? I niech mi pan nie mówi, że jest inaczej, bo przecież widzę. Siedzi pan tutaj z całym tym elektronicznym paskudztwem, słucha, jak są torturowane, i jeszcze się to panu podoba.

- Podoba mi się?! - wrzasnął inspektor.

- Tak, podoba się to panu! - odwrzasnęła Eva. - Czuje się pan dzięki temu kimś ważnym. I ma pan brudne myśli. Sprawiało panu przyjemność podsłuchiwanie Henry'ego i tej kobiety, kiedy byli ze sobą w łóżku, i niech mi pan nie mówi, że nie.

Inspektor Flint nie mógł powiedzieć nic. Zabrakło mu słów. Te, które przychodziły mu do głowy, prawie na pewno spowodowałyby wniesienie sprawy o zniesławienie. Po tej cholernej babie można się było czegoś takiego spodziewać. Skoro przyprowadziła ze sobą adwokata i tego sukinsyna od swobody osobistej... Flint podniósł się z krzesła i trzaskając drzwiami, przeszedł do gabinetu, gdzie profesor Maerlis, doktor Felden i major obserwowali na monitorze Wilta zabijającego czas oglądzinami penisa w poszukiwaniu objawów początkowego stadium gangreny. Inspektor wyłączył irytujący obraz.

- Nie uwierzycie - oznajmił. - Ta cholerna Willowa żąda, abyśmy z helikoptera spuścili ją na linie w okno poddasza. Chce się w ten sposób połączyć ze swoją pieprzoną rodziną.

- Mam nadzieję, że pan się na to nie zgodzi - odparł doktor Felden. - Zważywszy na jej groźby pod adresem męża, które słyszeliśmy ostatniej nocy, raczej nie wydaje mi się to wskazane.

- Niech mnie pan nie kusi - poprosił Flint. - Kiedy pomyślę, że mógłbym tu siedzieć i patrzeć, jak rozrywa sukinsyna na strzępy... Inspektor urwał, aby podelektować się tą wizją.

- Dzielna mała kobietka - stwierdził major. - Prędzej by mnie szlag trafił, niż dałbym się spuścić do tego domu na końcu liny. W każdym razie na pewno nie bez solidnej osłony ogniowej. Coś jednak przemawia za tym pomysłem.

- Co? - zapytał Flint, zastanawiając się, jak, u diabła, ktoś mógł nazwać panią Wilt małą kobietką.

- Taktyka dywersyjna, stary. Nie przychodzi mi do głowy nic, co przeraziłoby drani bardziej niż widok tej kobiety zwisającej z helikoptera. Ja bym się chyba zesrał ze strachu.

- Nie wątpię. Ale ponieważ lak się składa, że nie to miałyby być celem tego ćwiczenia akrobatycznego, chciałbym usłyszeć bardziej konstruktywne propozycje.

W sąsiednim pokoju Eva wrzasnęła, że jeśli nie pozwolą jej połączyć się z rodziną, zdepeszuje do królowej.

- Tylko tego nam brakowało - mruknął Flint. - Prasa jest żądna krwi, a od miesięcy nie zdarzyło się żadne przyzwoite zbiorowe samobójstwo. Babsztyl trafi na pierwsze strony gazet.

- Gdyby trafiła w to okno, na pewno narobiłaby piekielnego huku - zauważył zawsze praktyczny major. - Wtedy pogonilibyśmy sukinsynów i...

- Nie! Stanowczo nie! - krzyknął Flint i pomknął do centrum łączności. - Dobrze, proszę pani. Spróbuję przekonać terrorystów, żeby pozwolili pani znaleźć się przy córkach. Jeśli odmówią, to ich sprawa. Nic więcej nie mogę zrobić.

- Połączcie mnie z tymi dwoma brudasami - polecił sierżantowi. - I dajcie mi znać, kiedy skończą swoją uverturę o faszystowskich świniach.

Pan Symper poczuł się w obowiązku zaprotestować.

- Uważam, że te rasistowskie uwagi są zupełnie niepotrzebne - powiedział. - Co więcej, są niezgodne z prawem. Nazywać cudzoziemców brudasami...

- Nie nazywam brudasami cudzoziemców. Nazwałem tak dwóch pieprzonych morderców i niech mi pan nie mówi, że nie powinienem ich nazywać mordercami - odparł Flint, nie dopuszczając pana Sympera do głosu. - Morderca jest mordercą i mam już tego wszystkiego dość.

Najwyraźniej mieli wszystkiego dość również dwaj terroryści. Ze słuchawki nie popłynął wstępny potok wyzwisk.

- Czego chcecie? - zapytał Chinanda.

- Mamy pewną propozycję - wyjaśnił Flint. - Pani Wilt, matka czwórki dzieci, które są waszymi zakładnikami, chce z własnej woli wejść do domu, żeby się nimi zaopiekować. Jest nie uzbrojona i gotowa się zgodzić na wszystkie warunki, jakie postawicie.

- Powiedz to jeszcze raz - zażądał Chinanda.

Inspektor powtórzył wiadomość.

- Zgodzi się na wszystkie warunki? - zapytał terrorysta z niedowierzaniem.

- Na wszystkie. Co do jednego - zapewnił go Flint, patrząc na Evę.

Ta skinęła głową.

W kuchni sąsiedniego domu odbyła się szeptana narada, którą niemal całkowicie zagłuszyły piski czworaczków i okazjonalne jęki pani de Frackas. Niebawem Chinanda wrócił do telefonu.

- Oto nasze warunki. Po pierwsze, kobieta musi być naga. Naga, słyszysz?

- Słyszę, ale nie mogę powiedzieć, żebym rozumiał.

- Bez ubrania. Żebyśmy widzieli, że nie ma broni. Jasne?

- Nie jestem pewien, czy pani Wilt...

- Zgadza się - wtrąciła twardo Eva.

- Pani Wilt się zgadza - powtórzył Flint, wzdychając z niesmakiem.

- Po drugie, ma mieć ręce związane i podniesione do góry.

Eva ponownie skinęła głową.

- Po trzecie, ma mieć związane nogi.

- Związane nogi? - zdumiał się Flint. - Jak, do diabła, ma iść ze związanymi nogami?

- Długi sznur. Pół metra między kostkami. Żadnych biegów.

- Rozumiem. Pani Wilt się zgadza. Coś jeszcze?

- Tak - odparł Chinanda. - Gdy tylko kobieta wejdzie do domu, dzieci wychodzą.

- Co proszę? - zapytał Flint. - Czy mnie uszy nie mylą? Powiedziałeś „dzieci wychodzą”? Czyżbyście ich nie chcieli?

- Oczywiście, że nie! - wrzasnął Chinanda. - Myślisz, że chcemy przebywać pod jednym dachem z czterema brudnymi, ohydnyimi, odrażającymi zwierzakami, które srają i sikają po całej podłodze i...

- Nie - przerwał mu Flint. - Przyjmuję twoje argumenty.

- Więc przyjmij też te pieprzone faszystowskie maszynki do produkcji gówna - odrzekł Chinanda i rzucił słuchawkę.

Inspektor Flint odwrócił się do Evy z radosnym uśmiechem na twarzy.

- Słyszała pani, co powiedział ten człowiek.

- Jeszcze tego pożałuje - stwierdziła Eva z błyskiem w oczach. - Gdzie się mogą rozebrać?

- Nie tutaj - odparł stanowczo Flint. - Może pani skorzystać z którejś z sypialni na piętrze. Sierżant zwiąże pani ręce i nogi.

Kiedy Eva się rozbierała, inspektor Flint poszedł zasięgnąć opinii Zespołu do spraw Działań Psychologicznych. Zastał jego członków na burzliwej dyskusji. Profesor Maerlis twierdził, że dzięki wymianie jednej kobiety, której braku świat specjalnie nie odczuje, na cztery jednocześnie poczęte siostry zostanie osiągnięta korzyść propagandowa. Doktor Felden nie zgadzał się z nim.

- Oczywiście jest, że obecność dziewczynek wywołuje u terrorystów znaczne napięcie nerwowe - powiedział. - Uwalniając ich od tego psychicznego ciężaru, możemy niechcący wpłynąć pozytywnie na ich morale.

- Mniejsza o ich morale - wtrącił się Flint. - Jeżeli ten babsztyl tam pójdzie, wyświadczy mi przysługę, i jeśli o mnie chodzi, major będzie mógł przeprowadzić swoją operację "Rzeźnia".

- Fajowo - odparł major.

Wróciwszy do centrum łączności, Flint podszedł do pana Gosdyke'a, starannie omijając wzrokiem monstrialne objawienie Evy jak ją Pan Bóg stworzył.

- Wyjaśnijmy sobie jedno - powiedział. - Chcę, żeby tu nie było nieporozumień. Jestem całkowicie przeciwny działaniom pańskiej klientki i nie zamierzam brać odpowiedzialności za to, co się stanie.

Pan Gosdyke skinął głową.

- Doskonale rozumiem, panie inspektorze. Sam też wolałbym nie mieć z tym nic wspólnego. Proszę pani, po raz ostatni odwołuję się do...

Eva zignorowała go. Z rękami związanymi nad głową i nogami skrępowanymi w kostkach krótką linką przedstawiała widok groźny i nie zachęcający do dyskusji.

- Jestem gotowa - oznajmiła. - Powiedźcie im, że idę.

Kiedy wykuśtykała przed dom, ukryci w krzakach ludzie z LSS zbledli i zatęsknili nagle za Południowym Armagh. Tylko major, obserwujący tę scenę z okna sypialni, dał Evie swoje błogosławieństwo.

- Człowiek czuje się dumny, że jest Brytyjczykiem - powiedział do doktora Feldena. - Na Boga, to kobieta z jajami.

- Moim zdaniem ta uwaga była wyjątkowo niesmaczna - odparł oceniający Evę z czysto fizycznego punktu widzenia doktor Felden.

W sąsiedztwie powstało drobne zamieszanie. Obserwując Evę przez otwór na listy we frontowych drzwiach, Chinanda zaczynał właśnie żałować swojej decyzji, gdy z kuchni doleciał go smród świeżych wymiotów. Otworzył drzwi i wycelował automat.

- Dawaj dzieci! - krzyknął do Baggisha. - Ja kryję kobietę.

- Co robisz? - zdziwił się Baggish, który przed chwilą pochwycił wzrokiem zmierzające w kierunku domu cielsko.

Przyprowadzenie dzieci nie było jednak konieczne. Zaledwie Eva stanęła na wycieracze, czworaczki rzuciły się ku niej, piszcząc z radości.

- Wracajcie! - wrzasnął Baggish. - Wracajcie, bo będę strzelał!

Za późno. Dziewczynki przyłgnęły już do chwiejącej się na progu matki.

- Jak ty śmiesz wyglądać mamusiu - zawołała Samantha i objęła jej kolana. Penelope wspięła się po siostrach i zarzuciła Evie ręce na szyję. Przez moment kołysały się niepewnie, po czym Eva dała krok naprzód, potknęła się i runęła z hukiem na podłogę. Czworaczki pojechały po wyfroterowanym parkiecie. Na skutek wstrząsu wieszak na ubrania oderwał się od ściany i uderzywszy w drzwi, zamknął je z trzaskiem. Dwaj terroryści znieruchomieli ze wzrokiem utkwionym w swojej nowej zakładniczce, a pani de Frackas uniosła zamroczoną głowę, rzuciła okiem na roztaczający się przed nią zdumiewający widok i ponownie straciła przytomność. Eva podźwignęła się na kolana. Nadal miała związane ręce, ale obchodziły ją wyłącznie czworaczki.

- Nie bójcie się, moje maleństwa - powiedziała. - Mamusia jest już z wami. Wszystko będzie dobrze.

Schroniwszy się w kuchni, terroryści obserwowali tę niezwykłą scenę z przerażeniem. Nie dzielali optymizmu Ewy.

- Co robimy? - zapytał Baggish. - Wyrzucamy dzieciaki za drzwi?

Chinanda potrząsnął głową. Nie miał najmniejszej ochoty zbliżyć się do tej potężnej kobiety. W sunącej teraz ku niemu na baniastych kolanach Evie było coś niebezpiecznego i groźnego, mimo że miała skrepowane ręce.

- Nie ruszaj się - rozkazał Meksykanin i wycelował w nią broń.

W tym momencie zadzwonił telefon. Terrorysta ze złością chwycił słuchawkę.

- Czego jeszcze chcesz? - warknął do Flinta.

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie - odparł inspektor. - Powiedziałeś, że kiedy będziesz miał kobietę, wypuścisz dzieci.

- Jeśli myślisz, że ta cholerna baba jest mi potrzebna do szczęścia, to chyba oszalałeś! - wrzasnął Chinanda. - A te pieprzone bachory nie chcą jej zostawić. Więc teraz mamy i ją, i dzieci.

Flint wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak stłumiony chichot.

- To nie moja wina. Nie prosiliśmy o dzieci. Sam zaproponowałeś, że...

- A my nie prosiliśmy o tę kobietę! - krzyknął histerycznie Chinanda. - Dobijmy targu. Wy...

- Daj sobie spokój, Miguel - przerwał mu Flint. - Z targami koniec. A jeśli chcesz wiedzieć, zabijając panią Wilt, wyświadczysz mi tylko przysługę. Prawdę mówiąc, możesz się nie krępować, stary, i zastrzelić wszystkich, bo kiedy to zrobisz, wyślę do ciebie moich ludzi, którzy tak załatwią sprawę, że ani ty, ani towarzyszy Baggish nie zginiecie na miejscu. Będziecie...

- Faszystowski morderca! - zawołał Chinanda i nacisnął spust automatu. Kule podziurawiły wiszący na ścianie kuchni plakat, który do tej chwili zachwalał lecznicze właściwości rozmaitych alternatywnych ziół, przede wszystkim chwastów. Eva oszacowała szkodę zabójczym wzrokiem, a czworaczki wydały straszliwy pisk.

Nawet Flint się przeraził.

- Zabiłeś ją? - zapytał, uświadomiwszy sobie nagle, że prawo do emerytury jest dla niego ważniejsze od osobistej satysfakcji. Chinanda zignorował to pytanie.

- Więc teraz dobijemy targu. Puściecie Gudrun na dół i za godzinę będzie na nas czekał samolot. Skończyły się żarty. Terrorysta odłożył słuchawkę.

- Cholera - mruknął Flint. - Dobrze, połączcie mnie z Wiltem. Mam dla niego wiadomość.

Tymczasem Wilt po raz kolejny zmienił taktykę. Po odegraniu całej gamy ról od tępego naiwniaka po wioskowego głupka, z przystankiem na rewolucyjnego fanatyka, który był jego zdaniem jedynie bardziej jadowitym przedstawicielem tego samego gatunku, zaczęło mu powoli świtać, że do problemu destabilizacji Gudrun Schautz podchodzi z niewłaściwej strony. Baba była ideologiem, i to w dodatku ideologiem niemieckim. Stała za nią straszliwa tradycja ginąca w pomroce dziejów, kulturowe dziedzictwo namaszczone, monstrialnie poważnych i ciężkich Dichtern und Denkern, filozofów, artystów, poetów i myślicieli opętanych zagadnieniem sensu, wagi oraz mechanizmu procesów społecznych i historycznych. Przemknęło w tym momencie Wiltowi przez głowę, a raczej przetoczyło się przez nią jak czołg, słowo Weltanschauung. Nie miał pojęcia, co ono znaczy, i wątpił, aby ktokolwiek to wiedział. Odnosiło się chyba do światopoglądu i było niemal równie urocze jak Lebensraum, które powinno się przekładać na living-room, a w rzeczywistości oznaczało podbój całej Europy i takiej części Rosji, na jakiej tylko udało się Hitlerowi położyć łapę. Po Weltanschauung i Lebensraum szedł bardziej jeszcze niezrozumiały Weltschmerz, czyli ból istnienia, który zważywszy na upodobanie fraulein Schautz do beztroskiego pakowania kul w nie uzbrojonych przeciwników, grał główną rolę w tym teatrze absurdu. A za owymi przyjemnymi konceptami stali nosiciele wirusa: Hegel, Kant, Fichte, Schopenhauer oraz Nietzsche, który dostał kompletnego fiksum-dyrdu w wyniku kombinacji syfilisu, idei nadczłowieczeństwa oraz dużych kobiet w hełmach, grających na rogach w teatralnych lasach Bayreuth. Wilt przebrnął kiedyś przez Tako rzecz Zaratustra i wyniósł z tej ponurej lektury przekonanie, że albo Nietzsche sam nie wiedział, o co mu chodzi, albo jeśli wiedział, zatrzymał to dla siebie. A Nietzsche był jeszcze wcale wesoły w porównaniu z Heglem i Schopenhauerem, produkującym bezsensowne sentencje z takim brakiem umiaru, jakby sprawiało im to przyjemność. Jeśli ktoś miał ochotę na coś naprawdę ciężkiego, Hegel był idealny, podczas gdy Schopenhauer uderzał w tony tak posępne, że król Lear robił przy nim wrażenie histerycznego optymisty porażonego gazem rozweselającym. Krótko mówiąc, słabym punktem Gudrun Schautz było szczęście. Wilt mógłby się rozwodzić nad okropnościami tego świata do ochrypnięcia i nawet nie drgnęłaby jej powieka. Aby babą wstrząsnąć, potrzebna była dawka nie rozcieńczonej pogody ducha, a Wilt pod pancerzem codziennego narzekania był człowiekiem pogodnym.

Gdy więc Gudrun Schautz kulila się w łazience, a Eva potykała o próg, zaczął bombardować swoje uwięzione audytorium dobrą nowiną. Świat jest cudowny.

Panna Schautz nie zgodziła się z nim.

- Jak możesz tak mówić, kiedy miliony ludzi umierają z głodu? - zapytała.

- Fakt, że mogę to powiedzieć, świadczy o tym, że ja nie umieram - odparł Wilt, posługując się logiką, którą przyswoił sobie od drugiej tynkarskiej. - A poza tym skoro wiemy, że umierają z głodu, możemy im jakoś pomóc. Byłoby o wiele gorzej, gdybyśmy nie wiedzieli. Na przykład nie moglibyśmy im posyłać żywności.

- Kto im posyła żywność? - zapytała niebacznie Gudrun Schautz.

- Źli Amerykanie, o ile mi wiadomo - odrzekł Wilt. - Jestem pewien, że Rosjanie też by to robili, gdyby sami mieli jej dość, ale nie mają, więc w zamian posyłają Kubańczyków i czołgi, aby odwrócić uwagę biedaków od pustych żołądków. W każdym razie nie wszyscy umierają z głodu i wystarczy, żebyś się rozejrzała dookoła, a zobaczysz, jaka to radość żyć.

Gudrun Schautz nie dostrzegła w łazience niczego radosnego. Pomieszczenie niezwykle przypominało więzienną celę. Nie powiedziała tego jednak głośno.

- Weź na przykład mnie - ciągnął Wilt. - Mam cudowną żonę i cztery urocze córeczki.

Parsknięcie w łazience wskazywało, że łatwowierność panny Schautz ma swoje granice.

- Cóż, ty możesz tak nie uważać - odparł Wilt. - Ale to prawda. A gdyby nawet to nie była prawda, musisz przyznać, że czworaczki kochają życie. Może są trochę zbyt spontaniczne, jak na gust niektórych ludzi, ale nikt przecież nie powie, że są nieszczęśliwe.

- A pani Wilt jest cudowną żoną? - zapytała Gudrun Schautz z wyraźną nutą sceptycyzmu w głosie.

- Ściśle biorąc, nie mógłbym sobie życzyć lepszej - stwierdził Wilt. - Możesz mi nie wierzyć, ale...

- Jakim cudem miałabym ci uwierzyć? Słyszałam, jak ona cię nazywa i jak się bez przerwy kłóćcie.

- Kłóćmy się? - powtórzył Wilt. - Oczywiście zdarzają się nam małe nieporozumienia, ale są one niezbędne, aby małżeństwo mogło być szczęśliwe. My, Brytyjczycy, nazywamy to polityką wzajemnych ustępstw. W kategoriach marksistowskich posłużyłabyś się zapewne terminami "teza", "antyteza" i "synteza". Otóż w naszym przypadku syntezą jest szczęście.

- Szczęście - prychnęła Gudrun Schautz. - A co to jest szczęście?

Wilt zastanowił się chwilę nad tym pytaniem i różnymi możliwościami odpowiedzi. W sumie wydawało się, że najlepiej będzie unikać metafizyki i trzymać się rzeczy codziennych.

- Dla mnie szczęście to droga do college'u w mroźny poranek, kiedy świeci słońce i na rzece widać kaczkę i kiedy wiem, że nie mam żadnych zebrań ani wykładem, i powrót do domu przy księżycu, i duszona wołowina z kluseczkami na kolację, i pójście do łóżka z ciekawą książką.

- Burżuazyjna świnia. Myślisz tylko o własnej wygodzie.

- Myślę nie tylko o tym - odparł Wilt. - Ale zapytałaś mnie o definicję szczęścia i moja definicja jest właśnie taka. Jeśli chcesz, będę mówił dalej.

Gudrun Schautz nie chciała, ale Wilt mimo to mówił dalej. Mówił o piknikach nad rzeką w ciepłe letnie dni, o tym, jak wypatrzył w antykwariacie książkę, której od dawna szukał, o radości Ewy, gdy zasiany przez nią czosnek zaczynał wschodzić, i swojej radości z jej radości, o ubieraniu z czworaczkami choinki i obserwowaniu następnego ranka, jak otwierają prezenty i tańczą po pokoju z zabawkami, o których marzyły i o których prawdopodobnie za tydzień zapomną... Zwykle rodzinne przyjemności i niespodzianki, jakich ta kobieta nigdy nie zazna, a które dla Wilta stanowiły sens życia. I gdy tak o nich opowiadał, nabierały dlań na nowo znaczenia i jak balsam łagodziły koszmar chwili obecnej. Znowu poczuł się tym, kim był naprawdę, człowiekiem na swój cichy i niepozorny sposób przyzwoitym, żonatym z kobietą na swój hałaśliwy i porywczy sposób przyzwoitą. Jeśli nawet nikt inny go takim nie widział, Wilt o to nie dbał. Liczyło się tylko to, kim był; to, kim był, wyrosło z tego, co robił, a absolutnie nie uważał, aby kiedykolwiek zrobił coś złego. Przeciwnie, zrobił odrobinę dobrego.

Nie tak patrzyła na to wszystko Gudrun Schautz. Głodna, zmarznięta i wystraszona, słuchała prostej opowieści Wilta z narastającym poczuciem nierzeczywistości. Zbyt długo żyła w świecie brutalnych działań w imię budowy idealnego społeczeństwa, by mogła znieść ten katechizm uroków życia rodzinnego. W dodatku jedyną odpowiedzią, jaką mogłaby dać Willowi, było nazwanie go faszystowską świnia, i w głębi duszy wiedziała, że tylko niepotrzebnie strzępiłaby sobie język. Milczała więc i Wilt już miał się nad nią zlitować, skracając zmodyfikowaną wersję opowieści o rodzinnych wakacjach we Francji, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Dobra, Wilt - powiedział inspektor Flint. - Skończ tę krajoznawczą pogadankę. Sprawa jest poważna. Twoja żona jest na dole razem z dziećmi i jeśli natychmiast nie wypuścisz tej Schautz, będziesz miał na sumieniu drobną masakrę.

- Już to słyszałem - odparł Wilt. - I dla pańskiej wiadomości...

- Nie, nie słyszałem. Tym razem to nie żarty. Jeśli nie sprowadzisz jej na dół, my to zrobimy. Wyrzycij przez okno.

Wilt wyrzwał. Komandosi wsiadali do stojącego na polu helikoptera.

- No właśnie - ciągnął Flint. - Wylądują na dachu i pierwszą osobą, którą wyciągną z poddasza, będziesz ty. Martwy. Tę sukę chcemy dostać żywą. A teraz do dzieła.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobały wasze priorytety - mruknął Wilt, ale inspektor już odłożył słuchawkę.

Wilt podszedł do drzwi łazienki i odwiązał przewód z klamki.

- Możesz już wyjść - oznajmił. - Wygląda na to, że twoi przyjaciele wygrywają. Chcą, żebyś do nich dołączyła.

Nie było odpowiedzi. Wilt nacisnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte.

- Posłuchaj. Musisz wyjść. Mówię poważnie. Panowie Baggish i Chinanda są na dole z moją żoną i dziećmi. Policja jest gotowa spełnić ich żądania.

Cisza w łazience dowodziła, że Gudrun Schautz nie okazuje takiej gotowości. Wilt przyłożył ucho do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Może ta piekielna baba jakimś cudem uciekła albo nie daj Boże popełniła samobójstwo.

- Jesteś tam? - zapytał z głupia frant. Słaby jęk rozproszył jego obawy.

- Dobrze. Posłuchaj. Nikt nie zrobi ci nic złego. Nie ma najmniejszego sensu, żebyś tam siedziała...

Po drugiej stronie drzwi podparto kłamkę krzesłem.

- Cholera - wymamrotał Wilt, ale spróbował nad sobą zapanować. - Proszę, posłuchaj głosu rozsądku. Jeśli nie wyjdiesz i nie dołączysz do przyjaciół, rozpęta się prawdziwe piekło i komuś może się stać krzywda. Musisz mi uwierzyć.

Gudrun Schautz zbyt długo jednak słuchała głosu pomyleńca, aby mogła teraz uwierzyć komukolwiek i w cokolwiek. Zaszwargotała coś niewyraźnie po niemiecku.

- Dziękuję, bardzo mi pomogłaś - odparł Wilt, uświadomiwszy sobie nagle, że trochę przesadził w swych alternatywnych działaniach.

Wrócił do pokoju i zadzwonił do Flinta.

- Mamy pewien problem - powiedział, zanim inspektor zdążył mu przeszkodzić.

- To ty masz problem, Wilt. Nas do tego nie mieszaj.

- Wszyscy mamy problem - powtórzył Wilt. - Ta Schautz zamknęła się w łazience i wygląda na to, że nie zamierza wyjść.

- Nadal to twój problem - stwierdził Flint. - Ty ją tam wsadziłeś i ty ją stamtąd wyciągniesz.

- Chwileczkę. Nie możecie przekonać tych dwóch morderców, żeby...

- Nie - odrzekł Flint, kończąc dyskusję.

Z ciężkim westchnieniem Wilt wrócił pod drzwi łazienki, ale dobiegające zza nich odgłosy nie wskazywały, aby Gudrun Schautz była bardziej podatna na rozsądną perswazję niż poprzednio, i przedstawiając jej sytuację tak dobitnie, jak tylko potrafił, oraz przysięgłszy na Boga, że na dole nie ma żadnych Izraelczyków, ponownie skierował się do telefonu.

- Interesuje mnie wyłącznie jedno - oznajmił Flint. - Czy Bonnie dołączyła do swoich Clyde'ów. Nie obchodzi mnie...

- Otworzę drzwi poddasza. Stanę tak, żeby dranie widzieli, że nie jest uzbrojony i że mogą po nią przyjść. Czy byłby pan uprzejmy przekazać to sukinsynom?

Flint w milczeniu rozważył tę propozycję i powiedział, że do nich zadzwoni.

- Dziękuję - odparł Wilt i odsunawszy łóżko od drzwi, położył się na nim i zaczął się wsłuchiwać w bicie własnego serca. Odniósł wrażenie, jakby nadrabiał stracony czas.

Dwa piętra niżej Chinanda i Gaggish również byli zdenerwowani. Przybycie Evy nie tylko nie uspokoiło czworaczków, lecz na dodatek rozbudziło ich ciekawość w napawającym obrzydzeniem stopniu.

- Masz tyle fałd na brzuszku, mamusiu - powiedziała Samantha, ubierając w słowa to, co Baggish już z niesmakiem zauważył. - Skąd się wzięły?

- No cóż, przed waszym urodzeniem, kochanie, brzuszki mamusi był dużo większy - odparła Eva, która wkuśtykawszy nago do domu, przekroczyła Rubikon skromności. - Widzisz, wy byliście w środku.

Słyszając to, dwaj terroryści wzdrygnęli się z odrazą. Zupełnie im wystarczało, że są skazani na przebywanie z tymi wstrętnymi bachorami w jednym pomieszczeniu, i nie chcieli, by raczono ich jeszcze intymnymi fizjologicznymi szczegółami prenatalnej egzystencji czworaczków wewnątrz tej niesamowitej kobiety.

- A co tam robiłyśmy? - zapytała Penelope.

- Rosłyście, kochanie.

- A co jadłyśmy?

- Właściwie nic nie jadłyście.

- Nie można rosnąć, jeśli się nie je. Zawsze mówisz Josephine, że nigdy nie będzie duża i silna, jeśli nie będzie jadła muesli.

- Nie lubię muesli - wtrąciła Josephine. - Są w nim rodzynki.

- Wiem, co jadłyśmy - stwierdziła Samantha z wyraźnym zadowoleniem. - Krew.

Leżąc w kącie przy schodach do piwnicy, nękana potwornym kacem pani de Frackas otworzyła jedno przekrwione oko.

- Wcale bym się nie zdziwiła - wybełkotała. - W życiu nie widziałam stworzeń bardziej przypominających wampiry. Kto to nazwał opieką nad dziećmi? Chyba jakiś skończony kretyn.

- Ale nie miałyśmy zębów - ciągnęła Samantha.

- Nie, kochanie. Byłyście połączone z mamusią specjalnym przewodem i to, co mamusia zjadła, przechodziło przez ten przewód.

- Rzeczy nie mogą przechodzić przez przewody - zaproponowała Josephine. - Przewody to takie plastikowe sznurki.

- Nóż może przejść przez sznurek - zauważyła Samantha.

Eva popatrzyła na nią z macierzyńską dumą.

- Tak, kochanie, może.

Rozmowę przerwał brutalnie Baggish.

- Cicho bądź i zakryj się! - krzyknął, rzucając Evie meksykański kilim z salonu.

- Ciekawe, jak mam to zrobić; ze związanymi rękami - zaczęła Eva, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Chinanda podniósł słuchawkę.

- Żadnego gadania. Albo... - powiedział i nagle zamilkł. Stojący za nim Baggish ścisnął automat, nie spuszczać oka z Evy.

- Co mówią?

- Że Gudrun nie chce zejść - odparł Chinanda. - Mamy po nią iść na górę.

- Nie ma mowy. To pułapka. Na górze jest policja. Dobrze o tym wiemy.

Chinanda odsłonił mikrofon słuchawki.

- Nikt nie pójdzie na górę. Gudrun zejdzie sama. Dajemy wam pięć minut, a potem...

- Ja pójdę na górę - zawołała Eva. - Tam nie ma policji. Tam jest mój mąż. Sprowadzę ich obydwój. Terrorysty wybałuszyli na nią oczy.

- Twój mąż? - zapytali jednocześnie.

Włączyły się czworaczki.

- Naprawdę tatuś jest na górze? Przyprawdź go koniecznie, mamusiu. Będzie taki zły na panią de Frackas. Ona wypija tyle jego sikacza.

- Święta racja - jęknęła starsza pani, ale Eva zignorowała to niezwykle oświadczenie.

Wpatrywała się w terrorystów tak uporczywie, jakby próbowała ich zahipnotyzować.

- Obiecuję, że...

- Kłamiesz. Chcesz iść na górę, żeby złożyć meldunek policji.

- Chcę iść na górę, żeby uratować moje dzieci - odrzekła Eva. - A jeśli mi nie wierzycie, powiedzcie inspektorowi Flintowi, że Henry ma zejść.

Terrorysty udali się na radę w głąb kuchni.

- Jeżeli uwolnimy Gudrun i pozbedziemy się tej kobiety razem z jej wstrętnymi bachorami, to dobrze - stwierdził Baggish. - Będziemy jeszcze mieli faceta i tę starą.

Chinanda był innego zdania.

- Zatrzymamy dzieci. Dzięki temu kobieta nie będzie rozrabiać.

Wrócił do telefonu, żeby przekazać Flintowi propozycję Evy.

- Dajemy wam tylko pięć minut. Mężczyzna Wilt zejdzie na dół...

- Nago - dodała Eva, zdecydowana doprowadzić do tego, aby Henry dzielił z nią dyskomfort.

- Zejdzie na dół nago - powtórzył Chinanda - i ze związanymi rękami.

- Nie może sobie sam związać rąk - zauważył praktycznie inspektor.

- Może mu je związać Gudrun - odparł Chinanda. - To nasze warunki.

Terrorysta odłożył słuchawkę i usiadł, przyglądając się ze znużeniem Evie. Anglicy to dziwni ludzie. Dlaczego mając takie kobiety, zrezygnowali z Imperium? Coś wyrwało go z zamyślenia. Pani de Frackas wstawiała niepewnie z podłogi.

- Siadaj - krzyknął na nią, ale staruszka zlekceważyła go i podeszła chwiejnym krokiem do zlewu.

- Może ją zastrzelić? - zaproponował Baggish. - Przynajmniej dotrze do nich, że nie żartujemy.

Pani de Frackas popatrzyła na niego z ukosa przekrwionymi oczami.

- Młody człowieku - powiedziała. - Mam taką głowę, że wyświadczyłby mi pan jedynie przysługę. Tylko niech pan nie chybi.

I jakby na dowód prawdziwości tych słów, odwróciła się do terrorysty tyłem i wsadziła kok pod kran z zimną wodą.

W centrum łączności również panowało zamieszanie. Inspektor Flint radośnie przekazał Willowi wiadomość i słuchał właśnie z przyjemnością jego protestów, że wystarczy mu narażanie się na oni

śmierć od kuli i nie widzi powodu, aby schodzić na dół nago i narażać się jeszcze na obustronne zapalenie płuc, a poza tym nie ma najbledszego pojęcia, jak ma sobie, do diabła, sam związać ręce, gdy pojawił się nowy szef Brygady Antyterrorystycznej.

- Wstrzymajcie wszystko - polecił Flintowi. - Brygada Idiotów przedstawiła nam przed chwilą psychopolityczny profil Wilta i sprawa nie wygląda dobrze.

- Będzie wyglądała jeszcze gorzej, jeśli w ciągu najbliższych trzech minut drań nie zejdzie z poddasza - odparł inspektor. - A poza tym, co to, do cholery, jest profil psychopolityczny?

- Mniejsza o to. Zastosujcie wobec terrorystów taktyczne działania opóźniające.

I zostawiwszy Flinta z uczuciem, że jest kontrolerem lotów, który ma do czynienia z dwoma obłąkanymi pilotami w kursie na zderzenie, nadinspektor pospieszył do sali konferencyjnej.

- W porządku - oznajmił. - Aby zmniejszyć napięcie, wydałem całemu personelowi bojowemu rozkaz wycofania się. Pozwalamy na przeprowadzenie wymiany czy nie?

Doktor Felden nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości.

- Nie - odparł. - Ze zgromadzonych przez nas danych wynika niezbicie, że Wilt jest utajonym psychopata o wyjątkowo niebezpiecznych morderczych skłonnościach i danie mu swobody działania...

- Nie mogę się z tym zgodzić - przerwał mu profesor Maerlis. - Transkrypty jego rozmów z tą Schautz wskazują na najwyższy stopień zaangażowania ideowego w postmarkuzjański anarchizm. Poszedłbym jeszcze dalej i...

- Nie mamy zbyt dużo czasu, panie profesorze. Ściśle biorąc, mamy dokładnie dwie minuty i chcę jedynie wiedzieć, czy powinniśmy pozwolić na wymianę.

- Zdecydowanie odradzam - stwierdził psychiatra. - Jeśli Wilt i Gudrun Schautz połączą się z dwoma terrorystami przetrzymującymi dzieci, skutek będzie wybuchowy.

- Wspaniale - mruknął nadinspektor. - Siedzimy na beczce prochu i... Tak, majorze?

- Myślę, że gdybyśmy mieli całą czwórkę na parterze, moglibyśmy ubić dwa ptaki jednym strzałem - oświadczył major.

- 7 m

Nadinspektor popatrzył na niego uważnie. Przede wszystkim nie rozumiał, po co w ogóle wezwano LSS, a brak logiki w wypowiedziach majora zupełnie zbijał go z tropu.

- Jeśli chcecie przez to powiedzieć, że moglibyśmy urządzić w domu niedużą rzeź, nie widzę żadnego powodu, aby przystępować do wymiany. Możemy to zrobić i bez niej. Wymiana jest właśnie po to, żeby nie trzeba było nikogo ubić... zabijać. Chcę się dowiedzieć, jak uniknąć rozlewu krwi, a nie jak do niego doprowadzić.

Nadinspektor nie nadążał jednak za biegiem wypadków w sąsiedztwie. Oznajmienie Flinta, że zaistniały drobne trudności techniczne bynajmniej niczego nie opóźniło. Spotkało się z natychmiastową odpowiedzią, że jeśli Wilt nie zejdzie dokładnie za minutę, będzie ojcem trojaczków. Ale dopiero Eva zmusiła Wilta do czynu.

- Henry Wilcie! - wrzasnęła, stojąc u stóp schodów. - Jeżeli w tej chwili nie zejdziesz...

Przyklejonym do słuchawki uchem Flint pochwycił drżące: "Dobrze, kochanie. Już schodzę". Włączył przełącznik w telefonie polowym i usłyszał, jak Wilt tłucze się po poddaszu, zdejmując ubranie, a wkrótce potem jego ciche kroki na schodach. Chwilę później rozległo się cięższe stąpanie idącej na górę Ewy. Flint poszedł do sali konferencyjnej i zameldował o rozwoju sytuacji.

- Chyba wam mówiłem... - zaczął nadinspektor, opadając na krzesło. - Teraz to zupełnie inna para kaloszy.

Czworaczki doszły do bardzo podobnego wniosku, choć nie sformułowały go w taki sam sposób. Kiedy Wilt wsunął się ostrożnie do kuchni, zapiszczały z zachwytem.

- Tatuś ma dyndaska, mamusia ma cipkę. Mamusia susia po nogach, a tatuś do przodu - zaintonowały ku osłupieniu terrorystów i obrzydzeniu pani de Frackas.

- Absolutnie odrażające - powiedziała starsza pani, łącząc w tym stwierdzeniu krytykę języka czworaczek i swój sąd o Wilcie. Nie lubiła go nawet w ubraniu: bez niego nie mogła go znieść. Nie dość, że łajdak wyprodukował tę zabójczą miksturę, która sprawiła, że jej głowa zaczęła się

zachowywać jak piłeczka pingpongowa w mikserze, a teraz - sądząc po pieczeniu w pewnym miejscu - pracowicie wypalała jej przewody moczowe, to jeszcze prezentowała w całej okazałości ów diaboliczny organ, który przyczynił się do przyścia na i tak już cierpiący padół czterech najwstrętniejszych dziewczynek, jakie w życiu widziała. A to wszystko z rażącym brakiem poszanowania dla towarzyskich subtelności, do których przywykła. Pani de Frackas odrzuciła ostrożność.

- Jeśli wam się wydaje, że zamierzam pozostać w jednym domu z nagim mężczyzną, to grubo się mylicie - oznajmiła i skierowała się do drzwi.

- Stój! - krzyknął Baggish, ale pani de Frackas była już wolna nawet od tej odrobiny strachu, którą czuła wcześniej, i się nie zatrzymała.

- Nie ruszaj się, bo strzelam! - wrzasnął Baggish.

Pani de Frackas prychnęła szyderczo i poruszyła się. Wilt także. Kiedy zobaczył podniesioną broń, skoczył z trzymającymi się go kurczowo czworaczkami poza linię ognia. Jak również poza kuchnię. A że drzwi do piwnicy były otwarte, Wilt wraz z potomstwem przeleciał przez nie jak burza, przekoziółkował po schodach, pojechał po usianej zielonym groszkiem podłodze i wylądował na stercie węgla. Nad ich głowami rozległy się kolejno strzał, głuchy łomot i trzask drzwi piwnicy, na które runęła pani de Frackas, zanim osunęła się na ziemię.

Wilt nie czekał dłużej. Nie miał ochoty usłyszeć następnych strzałów. Wgramolił się na szczyt sterty węgla i naparł barkiem na żelazną klapę zsypu. Węgiel uciekał mu spod nóg, ale pokrywa się przesuwiała i już po chwili mógł wystawić na zewnątrz głowę i ramiona. Wyczołgał się przez otwór, wyciągnął po kolei czworaczki i zasunął pokrywę. Przez moment zastanawiał się, co dalej. Z prawej strony miał okna kuchni, z lewej drzwi, a za nimi stały pojemniki na śmieci i bardziej teraz przydatny retencyjny zbiornik urodzajności. Po raz pierwszy w życiu Wilt popatrzył na niego z wdzięcznością. Mniejsza o to, co zawierał. Było w nim dość miejsca dla nich wszystkich, a na skutek wymagań Wydziału Zdrowia został zbudowany z alternatywnego drewna, czyli betonu. Wilt bez wahania zgarnął czworaczki pod pachę, pomknął do zbiornika, wrzucił je do środka i wskoczył za nimi.

- Och, tatusiu, jakie to fajne - zakwicziała Josephine, podnosząc oblepioną zgniłymi pomidorami buzię.

- Cicho bądź - warknął Wilt i wepchał ją głębiej w odpadki. Następnie, uświadomiwszy sobie, że jeśli ktoś otworzy drzwi kuchni, może ich zobaczyć, zakopał siebie i dzieci w cuchnących liściach kapusty, rybich szkieletach i innych kuchennych resztkach, tak że niemal nie sposób było odróżnić, gdzie kompost, a gdzie czworaczki i Wilt.

- Jak tu gorąco - pisnęła niezmordowana Josephine spod rozkładającej się cukini.

- Zrobi się jeszcze goręcej, jeśli nie zamkniesz gęby na kłódkę - odparł Wilt i natychmiast pożałował, że otworzył swoją. Miał w ustach skorupki jajek i coś, co zapewne oglądało kiedyś wnętrze odkurzacza i powinno było w nim pozostać. Kiedy wypluwał tę mieszankę, w domu oddano kilka serii z automatu. Terrorysty strzelali na oślep do ciemnej piwnicy. Wilt przestał pluć i zaczął się zastanawiać, co się teraz, do diabła, dzieje z Evą.

Niepotrzebnie się martwił. Eva była bardzo zajęta. Kawałkiem szkła z rozbitego okna balkonowego przecięła już sznur krępujący jej ręce i rozwiązała sobie nogi. Następnie poszła do kuchni. Gdy Wilt mijał ją na schodach, wymamrotał, że dziwka jest w łazience. Postanowiła odłożyć komentarz na temat jego poczynań z dziwką do czasu, kiedy dzieci będą bezpieczne, a żeby do tego doprowadzić, musiała ściągnąć Gudrun Schaulz na dół, jak chcieli terrorysty. Ale gdy próbowała otworzyć drzwi łazienki, usłyszała strzał, który powalił panią de Frackas, i na ten odgłos wezbrała w niej cała tłumiona dotąd wściekłość. Jeśli jedno z jej dzieci zostało zamordowane, ta nikkzemna kreatura, którą przyjęła pod swój dach, również umrze. A jeśli przyjdzie umrzeć samej Evie, zabierze ze sobą tyłu terrorystów, ilu tylko zdoła. Stojąc pod drzwiami łazienki, podniosła muskularną nogę. W następnej chwili na dole rozległa się kolejna salwa i stopa Evy wystrzeliła do przodu. Drzwi wyskoczyły z zawiasów, a zasuwka pękła na dwoje. Eva Wilt kopnęła jeszcze raz; drzwi wpadły do łazienki. Weszła po nich do środka. W kącie obok urny walki kuliła się kobieta równie naga jak ona sama. Na tym ich podobieństwo się kończyło. Ciało Gudrun Schautz nie nosiło śladów ciąży i porodu. Było tak gładkie i tak syntetycznie atrakcyjne, jak ciała modelek na rozkładówkach świerszczyków, ale twarz terrorystki sztydziła z jego powabu. Spod maski przerażenia i szaleństwa

patrzyły nie widzące oczy, policzki miały barwę popiołu, a z ust wydobywał się skowyt przestraszonego zwierzęcia.

Eva była jednak bezlitosna. Ruszyła ku terrorystce powoli, lecz nieubłaganie, i nagle, wyrzuciwszy ręce do przodu z zadziwiającą szybkością, chwyciła ją za włosy. Gudrun Schautz walczyła, dopóki kolano Evy nie wyskoczyło w górę. Łapiąc z trudem oddech, zgięta w pół, została wywleczona z łazienki i ciśnięta na kuchenną podłogę. Eva wbiła jej kolano między łopatki, wykręciła ręce do tyłu, związała je w nadgarstkach przewodem elektrycznym, a potem zakneblowała Gudrun usta zmywakiem do naczyń i na koniec skrępowała jej nogi oddartym kawałkiem ręcznika.

Wszystko to robiła tak spokojnie i metodycznie, jakby oparowała kurczaka na niedzielny lunch. W jej głowie dojrzał pewien plan, zrodzony z rozpacz i żądzy zemsty, który jakby czekał na tę chwilę. Odwróciła się i zaczęła przetrząsać szafkę pod zlewem, aż znalazła to, czego szukała - linę przechowywaną na wypadek pożaru, którą umieściła tu, gdy przebudowywano poddasze. Miała by zwiśać z białego nad oknem balkonowym haka i ratować ludzkie życie w krytycznej sytuacji, ale teraz Eva wybrała dla niej inne zastosowanie. Kiedy z dołu dobiegło ją echo nowych wystrzałów, przystąpiła szybko do pracy. Przecięła linę na dwie części, wzięła kuchenne krzesło, ustawiła je na środku pokoju przodem do drzwi i przycisnęła łóżkiem. Potem poszła do kuchni i trzymając swojego jeńca za kostki u nóg, zawlokła go na balkon. Po chwili wróciła z dwoma kawałkami liny. Przywiązała je do nóg krzesła, przełożyła przez wiszące na haku kółko i zostawiwszy jeden kawałek luźno, przeciągnęła drugi pod pachami Gudrun, owinęła wokół jej ciała i związała na supeł. Pierwszy kawałek starannie zwinęła na podłodze w spiralę i z nieoczekiwaną wprawą zrobiła na jej końcu pętlę, którą założyła terrorystce na szyję.

Wówczas Gudrun Schautz, która zasiała trwogę przed śmiercią w sercach tak wielu niewinnych ludzi, sama zaznała, czym jest strach. Przez moment wisała na balkonie, ale Eva była już z powrotem w pokoju i ciągnęła za linę, którą terrorystka miała owiniętą wokół piersi. Panna Schautz została postawiona na nogi, a po chwili znalazła się w powietrzu na wysokości balustrady. Eva przywiązała linę do łóżka, wyszła na balkon i przełożyła kobietę na drugą stronę. Poniżej był trawnik i nicość. W końcu Eva wyjęła terrorystce knebel i wróciła do krzesła. Zanim jednak usiadła, otworzyła drzwi na schody, odwiązała linę od łóżka i trzymając ją mocno obydwoma rękami, zaczęła ją powoli wypuszczać, dopóki się nie naprężyła. Potem zepchnęła łóżko, usiadła i puściła linę. Przez sekundę miała wrażenie, że krzesło poderwie się do góry, ale jej ciężar przeważał. W momencie gdy zostanie zastrzelona albo wstanie, krzesło przeleci przez cały pokój i dyndająca teraz na zaimprovizowanym szafocie morderczyni poniesie śmierć przez powieszenie. Własnym, domowym sposobem Eva Wilt skonstruowała straszliwą wagę Temidy.

Zupełnie inaczej odebrali to widzowie zgromadzeni w zaimprovizowanej sali konferencyjnej w sąsiednim domu. Widoczna na ekranie monitora Eva urosła do rozmiarów archetypowej Matki Ziemi, a jej działania nabrały charakteru symbolicznego, przerastającego zwykłą rzeczywistość. Nawet doktor Felden, który miał bogate doświadczenia z maniakalnymi mordercami, przeraził się nie na żarty, a profesor Maerlis, po raz pierwszy będący świadkiem straszliwych przygotowań nagiej katowej, mamrotał coś o wielkiej bestii pełzającej w stronę Bedlam^{*}. Najbardziej gwałtownie zareagował jednak przedstawiciel Ligi Swobód Osobistych. Pan Symper nie wierzył własnym oczom.

- Dobry Boże -jęknął. - Ona zamierza powiesić tę biedną dziewczynę. Ta kobieta oszalała. Trzeba ją powstrzymać.

- Nie widzę powodu, stary - odparł major. - Zawsze byłem zwolennikiem kary śmierci.

- Przecież to jest niezgodne z prawem - wrzasnął pan Symper i odwrócił się do pana Gosdyke'a, oczekując od niego poparcia, ale adwokat, zamknąwszy oczy, rozważał szansę dowiedzenia ograniczonej poczytalności. Ogólnie biorąc, uważał, że sąd przysięgłych prędzej opowie się za zabójstwem usprawiedliwionym. Samoobrona zdecydowanie nie wchodziła w grę. Na obrazie przekazywanym przez szerokokątny obiektyw kamery wbudowanej w telefon polowy Eva

* Bedlam - szpital psychiatryczny w Londynie (przyp. tłum.)

wyglądała gargantuicznie, podczas gdy Gudrun Schautz miała rozmiary ołowianego żołnierzyka z kolekcji generała-majora de Frackas.

Profesor Maerlis jak zwykle uciekł się do logiki.

- Interesująca sytuacja ideologiczna - powiedział. - Lepszego przykładu polaryzacji społecznej sam bym nie wymyślił. Z jednej strony mamy panią Wilt, a z drugiej...

- Bezgłową Niemrę, sądząc z tego, na co się zanosi - wtrącił entuzjastycznie major, gdy Eva, uniósłszy Gudrun Schautz w powietrze, przepchnęła ją nad balustradą balkonu.

- Nie wiem, jakie są przepisowe wymiary zapadni szafotu, ale wysokość czterdziestu stóp wydaje mi się odrobinę przesadzona.

- Przesadzona? - pisał pan Symper. - To wysokość monstualna. A poza tym sprzeciwiam się używaniu przez pana słowa "Niemra". Wniosę stanowczy protest do władz.

- Dziwny gość - stwierdził major, gdy sekretarz Ligi Swobód Osobistych wypadł z pokoju. - Można by pomyśleć, że pani Wilt jest terrorystką, a nie oddaną dzieciom matką.

Mniej więcej takie samo stanowisko zajął inspektor Flint.

- Słuchaj, stary - powiedział do rozwścieczonego Sympera. - Możesz zorganizować tyle pieprzonych marszów protestacyjnych, ile ci się żywnie podoba, ale nie przychodź do mnie z wrzaskiem, że ta cholerna Wiltowa jest morderczynią. Sam ją tu sprowadziłeś i...

- Nie wiedziałem, że ma zamiar wieszać ludzi. Nie chcę być świadkiem prywatnej egzekucji.

- Nie będziesz świadkiem. Będziesz współsprawcą. Sądząc po odgłosach, te dranie z parteru ukatrupiły już Wilta i dzieci. Czy to nie podpada pod utratę swobód osobistych?

- Nie zrobiliby tego, gdybyście pozwolili im odejść. Oni...

Flint usłyszał już jednak dość. Nie znosił Wilta, ale myśl, że ten historyczny naprawiacz świata obwinia policję o to, że nie ustąpiła przed żądaniem bandy krwiożerczych cudzoziemców, była jeszcze bardziej nieznośna. Podniósł się z krzesła i złapał pana Sympera za kłapy.

- W porządku, skoro taki masz pogląd na sprawę, idź do sąsiadów i przekonaj wdowę Wilt, aby zeszła na dół i dała się zastrzelić tym...

- Nigdzie nie pójde - wybełkotał pan Symper. - Nie ma pan prawa...

Flint zacieśnił chwyt i zaczął już pchać opierającego się Sympera w dół korytarza, gdy przerwał mu pan Gosdyke.

- Trzeba coś natychmiast zrobić, panie inspektorze. Pani Wilt wzięła wymiar sprawiedliwości we własne ręce.

- Brawa dla pani Wilt - odparł Flint. - Ten mały śmierzdel właśnie się zaofiarował, że pójdzie do naszych zaprzyjaźnionych bojowników o wolność jako emisariusz i...

- Nic podobnego - zapiszczał pan Symper i zwrócił się do pana Gosdyke'a: - Apeluje do pana o... Adwokat go zignorował.

- Panie inspektorze, jeśli udzieli mi pan gwarancji, że moja klientka nie zostanie pociągnięta do odpowiedzialności, poddana przesłuchaniu, osadzona w areszcie, oskarżona lub zatrzymana do wyjaśnienia oraz że nie wdrożycie przeciwko niej żadnego innego postępowania w związku z tym, co najwyraźniej zamierza zrobić...

Flint puścił pana Sympera. Po latach uczestniczenia w procesach sądowych wiedział, kiedy ma się uznać za przegranego. Poszedł za panem Gosdykiem do sali konferencyjnej i osłupiał na widok zdumiewającej tylnej części ciała Ewy Wilt. Uwaga adwokata, że pani Wilt wzięła wymiar sprawiedliwości we własne ręce, wydała mu się całkowicie nieadekwatna. Ona go raczej rozplaszczała. Popatrzył na doktora Feldena.

- Oczywiście jest, że pani Wilt znajduje się w stanie silnego wzburzenia psychicznego, panie inspektorze. Musimy spróbować ją uspokoić. Sugerowałbym, żeby skorzystał pan z telefonu...

- Nie - zaprotestował profesor Maerlis. - Pani Wilt może stąd wyglądać tak, jakby miała rozmiary średniej gorylicy, ale mimo to wątpię, aby mogła sięgnąć do telefonu, nie wstając z krzesła.

- A co by się stało złego, gdyby wstała? - zapytał napastliwym tonem major. - Tej dziwce Schautz od dawna się to należy.

- Być może, ale nie chcemy z niej zrobić męczennicy. Już i tak ma ogromną polityczną charyzmę.

- Mam gdzieś jej charyzmę - odezwał się Flint. - Zrobiła męczenników z pozostałych członków rodziny Wiltów, a zawsze możemy powiedzieć, że jej śmierć była przypadkowa.

Profesor popatrzył na niego sceptycznie.

- Możecie spróbować, ale moim zdaniem będzie wam dość trudno przekonać opinię publiczną, że kobieta, którą spuszczone z balkonu na dwóch linach, wprawnie zawiązawszy jej przedtem jedną z nich wokół szyi, i która została następnie powieszona i lub skrócona o głowę, zginęła w sposób całkowicie przypadkowy. Oczywiście decyzja należy do was, ale...

- W porządku, co zatem pan, do cholery, proponuje?

- Przymknąć na to oko - poradził major. - Ostatecznie pani Wilt jest tylko ludzką istotą...

- Istotą ludzką? - wymamrotał doktor Felden. - Trudno sobie wyobrazić lepszy przykład antropomorfizmu.

- ...i w końcu będzie musiała pójść za głosem natury.

- Za głosem natury? - krzyknął Flint. - Już za nim poszła. Siedzi tam jak jakaś cholerna cyrkowa słońca.

- Chodziło mi o pójście za potrzebą - wytłumaczył major. - Wcześniej czy później będzie musiała wstać, żeby się wysuszyć.

- Oby później - westchnął psychiatra. - Na samą myśl, że ten upiorny kształt wstaje z krzesła, robi mi się słabo.

- Tak czy owak, pewnie ma już pęcherz wzdęty jak balon zaporowy - powiedział Flint. - Zauważcie, że nie może jej być zbyt ciepło, a nic tak jak zimno nie zmusza człowieka do rozejrzenia się za nocnikiem.

- W takim razie już po Schautz - stwierdził major. - I po całym tym urwaniu głowy.

- Można by to ująć w bardziej fortunny sposób - odparł profesor. - A poza tym pozostałby nam problem ewidentnego męczeństwa fraulein Schautz.

Flint opuścił dyskutantów i poszedł odszukać nadinspektora. Kiedy przechodził przez centrum łączności, zatrzymał go sierżant. Jedno z urządzeń podsłuchowych przekazywało jakieś piski i kwiki.

- To pluskwa wycelowana w kuchenne okno - wyjaśnił sierżant.

- W kuchenne okno? - powtórzył z niedowierzaniem Flint. - Raczej w blaszaną cysternę, na której stepuje oddział myszy. Co to, do diabła, za piski?

- Dzieci - odrzekł sierżant. - Wiem, że to nie brzmi prawdopodobnie, ale słyszałem, jak jedna mysz mówiła do drugiej, żeby zamknęła jadaczkę. I te dźwięki nie dochodzą z domu. Nasze dwa brudasy narzekały, że nie mają już kogo zastrzelić. Jeśli chce pan znać moje zdanie...

Ale Flint przedzierał się już przez rumowisko werandy w poszukiwaniu nadinspektora. Znalazł go leżącego w trawie obok altany w głębi ogrodu Wiltów i studiującego przez lornetkę anatomie Gudrun Schautz.

- Do czego to ci szaleńcy się nie posuwają, żeby tylko zrobić sobie reklamę - powiedział szef Brygady Antyterrorystycznej tytułem wyjaśnienia. - Dobrze, że nie dopuściliśmy tu telewizji.

- Ona nie wisi tam z własnej woli - odparł Flint. - To robota pani Wilt. A nam trafia się okazja, żeby zgarnąć tych dwóch drani z parteru. Chwilowo nie mają zakładników.

- Naprawdę? - zapytał nadinspektor i z pewnym ociąganiem przesunął lornetkę na okna kuchni. Za moment ustawiał ostrość na zbiornik z kompostem.

- Dobry Boże - wymamrotał. - Słyszałem o szybkiej fermentacji, ale... Macie, spójrzcie na tę skrzynię koło kuchennych drzwi.

Flint wziął od niego lornetkę i spojrzął. Zbliżenie pozwoliło mu zrozumieć, co nadinspektor miał na myśli, mówiąc o szybkiej fermentacji. Kompost żył. Poruszał się, falował, kilka łodyg fasoli podniosło się i opadło, jakiś burak wynurzył się nagle z masy odpadków i natychmiast znowu zniknął. Na koniec, budząc największe zaniepokojenie Flinta, z pojemnika wyjrzało coś, co wyglądało jak halloweenowa dynia z rozczochranymi włosami.

Inspektor Flint zamknął oczy i gdy je z powrotem otworzył, stwierdził, że spod maski rozkładającej się substancji warzywnej patrzy nań dobrze mu znana twarz.

Pięć minut później Wilt został bezceremonialnie wyciągnięty z kompostu, podczas gdy kilkunastu ludzi z Brygady Antyterrorystycznej mierzyło z karabinów w kuchenne okna i drzwi.

- Pif-paf, już nie żyjesz - pisnęła Josephine, kiedy wyjęto ją z odpadków. Policjant przerzucił dziewczynkę jak tobolek przez żywoplot i wrócił po Penelope. Terrorysty nie wykonali żadnego ruchu. Rozmawiali przez telefon z inspektorem Flintem.

- Zapomnijcie o wszystkich układach - powiedział im, gdy rodzinę Wiltów prowadzono przez werandę. - Albo wyjdziecie z podniesionymi rękami i bez broni, albo po was przyjdziemy i po pierwszych dziesięciu strzałach nie będziecie wiedzieli, gdzie jesteście... Chryste, co to za ohydny smród?

- Mówi, że nazywa się Samantha - wyjaśnił policjant niosący cuchnącą dziewczynkę.

- Zabierzcie to stąd i zdezynfekujcie - polecił Flint, sięgając po chusteczkę do nosa.

- Nie chcę zostać zdezynfekowana - wrzasnęła Samantha.

Flint skierował zmęczony wzrok na całą grupę i doznał koszmarnego wrażenia, że patrzy na coś, co znajduje się w stadium zaawansowanego rozkładu. Wizja szybko jednak ustąpiła i inspektor stwierdził, że to tylko oblepiony kompostem Wilt.

- Kogóż my tu mamy? Czy to nie kompostowy Casanová we własnej osobie, nasz fasolowy bohater? Widziałem już w życiu niejedno paskudztwo, ale...

- Urocze powitanie - przerwał mu Wilt. - Zważywszy na to, co właśnie przeszedłem, mogę się obyć bez pańskiej nostalgii de la brnie. I co z Evą? Ona jest nadal w środku i jeśli zaczniecie strzelać...

- Zamknij się, Wilt - powiedział Flint, wstając z wysiłkiem z krzesła. - Jeśli chcesz wiedzieć, to gdyby nie najnowsza katowska pasja twojej żony, bylibyśmy w tym domu już godzinę temu.

- Jaka pasja?

- Niech mu ktoś da jakiś koc - polecił Flint. - Tyle się już napatrzyłem na to ludzkie warzywo, że starczy mi na całe życie.

Poszedł do sali konferencyjnej, a owinięty dość skąpo jednym z szali pani de Frackas Wilt podążył za nim.

- Panowie, chciałbym wam przedstawić pana Henry'ego Wilta - oznajmił inspektor osłupiałemu Zespołowi do spraw Działań Psychologicznych. - A może powinienem był powiedzieć: towarzysza Willa?

Will nie słyszał tej ostatniej uwagi. Zapatrzył się w ekran monitora.

- To Eva - wyjąkał.

- Cóż, przypuszczam, że swój zawsze pozna swego - odparł Flint. - A na drugim końcu tych lin jest twoja towarzysza zabaw, Gudrun Schautz. W chwili gdy twoja małżonka podniesie się z krzesła, staniesz się mężem pierwszego brytyjskiego kata płci żeńskiej. Mnie to nie przeszkadza. Jestem gorącym zwolennikiem kary śmierci i ruchu wyzwolenia kobiet. Niestety, ci panowie nie podzielają moich postępowych poglądów, a prawo zabrania prywatnych egzekucji, więc jeśli nie chcesz, żeby panią Wilt oskarżono o zabójstwo usprawiedliwione, lepiej coś wymyśl, i to szybko.

Ale Will wpatrywał się z przerażeniem w ekran. Jego własny alternatywny terrorizm wypadł zupełnie niegroźnie w porównaniu z alternatywą według Ewy, która siedziała tam teraz, spokojnie czekając na śmierć, obmyśliwszy uprzednio straszliwą zemstę.

- Nie możecie do niej zadzwonić? - zapytał w końcu.

- Rusz mózgowicą. Gdy tylko wstanie z...

- Racja - przyznał pospiesznie Wilt. - I pewnie nie można podstawić pod pannę Schautz jakiejś siatki czy czegoś w tym rodzaju?

Flint roześmiał się nieprzyjemnie.

- Teraz to panna Schautz, co? Cóż za skromność. Zważywszy na to, że zaledwie parę godzin temu posuwałaś dziwkę aż miło, muszę powiedzieć, że...

- Pod przymusem - wtrącił Wilt. - Nie sądzi pan chyba, że wskakiwanie do łóżka z morderczyniami należy do moich zwyczajów.

- Wilt - westchnął inspektor. - Nie interesuje mnie, jak spędzasz wolny czas, a raczej nie interesowałoby mnie to, gdybyś nie przekraczał prawa. Ale ty spraszasz do domu terrorystów i prowadzisz dla nich wykłady z teorii masowego zabijania.

- Przecież to było...

- Nie spieraj się ze mną. Mamy na taśmie każde twoje słowo. Skonstruowaliśmy twój psycho...

- Profil - odpowiedział doktor Felden, który z dwojga złego wolał się przyglądać Willowi niż Evie.

- Dziękuję, panie doktorze. Twój psychoprofil...

- Profil psychopolityczny - poprawił Flinta profesor Maerlis. - Chciałbym, aby pan Wilt nam wyjaśnił, w jaki sposób zdobył tak rozległą wiedzę na temat teorii terroryzmu.

Wilt zeskrobał sobie obierkę od marchewki z ucha i westchnął. Zawsze było tak samo. Nikt go nigdy nie rozumiał. I nikt nigdy nie zrozumie. Jest istotą nieskończenie niezrozumiałą, a świat zaludniają idioci, do których sam się zalicza. Tymczasem Evie grozi niebezpieczeństwo. Albo ją ktoś zabije, albo ona zabije kogoś. Podniósł się ze znużeniem z krzesła.

- W porządku, jeśli o to wam chodzi, wróć do domu i powiem tym szaleńcom, że...

- Ani mi się waź! - krzyknął Flint. - Zostaniesz dokładnie tu, gdzie jesteś, i wymyślisz jakieś wyjście z tego bigosu, w który nas wpakowałeś.

Wilt usiadł. Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, jak wybrnąć z tej patowej sytuacji. Wszystkim rządził ślepy los i można było liczyć wyłącznie na to, że nastąpi koniec świata.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli coś zadudniło głośno w sąsiednim domu, a potem rozległ się gwałtowny wybuch i brzęk tłuczonego szkła.

- Dobry Boże, dranie wysadzili się w powietrze jak jacyś kamikadze - wrzasnął Flint, gdy kilkanaście ołowianych żołnierzyków spadło ze stołu pingpongowego. Odwrócił się na pięcie i popędził do centrum łączności, a Zespół do spraw Działań Psychologicznych podążył za nim. W sali konferencyjnej został jedynie Wilt, nadal wpatrujący się w ekran monitora. Przez moment miał wrażenie, że Eva podnosi się i krzesła, ale ona tylko się na nim poprawiła i siedziała dalej, równie niewzruszenie jak poprzednio. Z sąsiedniego pokoju słychać było sierżanta wykrzykującego Flintowi własną wizję katastrofy.

- Nie mam pojęcia, co się stało! Jeszcze przed chwilą się kłócili, czy się poddać czy nie, i twierdzili, że używamy gazów bojowych, a zaraz potem coś pieprnęło. Nie sędzę, żeby wiedzieli, co to było.

Wilt wiedział. Uśmiechając się pogodnie, wstał z krzesła i wyszedł na werandę.

- Pozwolą panowie ze mną - zwrócił się do Flinta i reszty. - Mogę wszystko wyjaśnić.

- Chwileczkę, Will - powstrzymał go inspektor. - Ustalmy sobie najpierw jedną rzecz. Czy chcesz powiedzieć, że jesteś odpowiedzialny za ten wybuch?

- Wyłącznie mimochodem - odparł Will z niezmaconym spokojem człowieka, który wie, że mówi prawdę i tylko prawdę. - Wyłącznie mimochodem. Nie wiem, czy są panowie choć trochę obeznani z zasadami działania bioubikacji, ale...

- Co za gównojęknął Flint.

- Dokładnie tak, panie inspektorze. W bioubikacji - czy też mówiąc, jak należy, w alternatywnej toalecie - gówno jest przetwarzane beztlenowo w metan, a metan jest gazem, który w obecności powietrza zapala się z największą łatwością. Eva jest gorącą zwolenniczką samowystarczalności. Wymarzyła sobie, że będzie gotować dzięki ruchowi rotacyjnemu, a raczej dzięki ruchom robaczkowym. Tak więc kuchenka jest podłączona do bioubikacji i to, co wchodzi jednym końcem, musi wyjść drugim i vice versa. Weźmy na przykład jajko na twardo...

Flint popatrzył na Willa z niedowierzaniem.

- Jajko na twardo? - krzyknął. - Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że jajko na twardo... Nie, nie, stanowczo nie. Przerabialiśmy już kiedyś paszteciki wieprzowe. Tym razem mnie nie nabierzesz. Dowiem się, co się za tym kryje.

- Z punktu widzenia anatomii i fizjologii... - zaczął Wilt, ale inspektor przedzierał się już przez werandę do ogrodu. Jeden rzut oka za płot wystarczył, aby się przekonać, że Wilt mówi prawdę. Nieliczne ocalałe na parterze szyby były upstrzone strzępkami poplamionego żółtego papieru i czymś jeszcze. Najbardziej jednak przekonujący był fetor, który uderzył go w nozdrza. Kiedy Flint sięgał po chusteczkę, z roztrzaskanych okien salonu wyszły, ślaniające się na nogach, dwie niezwykle postacie. Trudno było w nich rozpoznać terrorystów. Na Chinandę i Baggisha poszła główna siła wybuchu i stanowili oni teraz doskonały obraz wartości swej ideologii.

- Gówna ubabrane w gównie - mruknął profesor Maerlis, przyglądając się ze zgrozą żywym ekskrementom, które plątały się po trawniku.

- Stać! - krzyknął szef Brygady Antyterrorystycznej, a jego ludzie wymierzili w terrorystów pistolety. - Mamy was na muszce.

- Moim zdaniem to zupełnie niepotrzebne - stwierdził doktor Felden. - Wiedziałem, że od takiej gównie wartej doktryny może się człowiekowi pomieszać w głowie, ale dotąd nie zdawałem sobie sprawy z destabilizacyjnego potencjału nie przerobionych nieczystości.

Dwóm terrorystom przestało już zależeć na zniszczeniu pseudo-demokratycznego systemu faszystowskiego państwa. Ich zmartwienie miało w tej chwili charakter czysto osobisty. Turlali się po ziemi, rozpaczliwie starając się pozbyć oblepiającego ich plugastwa, a wisząca nad nimi Gudrun Schautz przypatrywała się temu z głupkowskim uśmiechem.

Kiedy Biggish i Chinanda zostali w końcu postawieni na nogi przez ociągających się policjantów, Wilt wszedł do domu. Przeciął zrujnowaną kuchnię, dał krok nad panią de Frackas i zaczął się wspinać po schodach. Na podeście przystanął.

- Evo! - zawołał. - To ja, Henry. Już wszystko w porządku. Dzieci są bezpieczne. Terrorystów aresztowano. Nie wstawaj z tego krzesła. Idę do ciebie.

- Ostrzegam cię, że jeśli to jakaś sztuczka, nie odpowiadam za to, co się stanie! - krzyknęła Eva.

Wilt uśmiechnął się do siebie. To była Eva, którą dobrze znał, rozumująca w sposób sprzeczny z wszelką logiką. Wszedł na poddasze, zatrzymał się w progu i spojrzął na nią z nie ukrywanym podziwem. Siedząca nago bez odrobiny wstydu kobieta miała w sobie siłę, jakiej on nigdy mieć nie będzie.

- Kochanie... - zaczął niebacznie i natychmiast urwał.

Eva przyglądała mu się z jawnym obrzydzeniem.

- Nie mów do mnie "kochanie", Henry Wilcie - odparła. - I jakim cudem doprowadziłeś się do tak odrażającego stanu?

Wilt popatrzył po sobie i musiał przyznać, że rzeczywiście jest w odrażającym stanie. Kawałek selera naciowego wystawał mu dość dwuznacznie spod szala pani de Frackas.

- Cóż, ściśle biorąc, byłem z dziećmi w kompoście...

- Z dziećmi?! - krzyknęła wściekle Eva. - W kompoście?

I zanim Wilt zdążył cokolwiek wyjaśnić, wstała z krzesła, które natychmiast poleciało przez pokój. Will chwycił linę, uczepił się jej kurczowo, trzasnął w przeciwległą ścianę i w końcu szczęśliwie zaklinował się za szafą.

- Na miłość boską, pomóż mi ją podciągnąć! - ryknął. - Nie wolno ci dziwki powiesić.

Eva ujęła się pod boki.

- To twój problem. Ja nic nie robię. To ty trzymasz linę.

- Trzymam ją ledwo ledwo. I pewnie zaraz mi powiesz, że gdybym cię naprawdę kochał, tobym puścił. Więc pozwól, że ci coś wytłumaczę...

- Nie fatyguj się! - wrzasnęła Eva. - Słyszałam was razem w łóżku. Nie sądziłam, że jesteś zdolny do czegoś takiego.

- Zdolny?! - odwrzasnął Wilt. - Zdołałem to zrobić wyłącznie dlatego, że wyobrażałem sobie, że to ty. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale...

- Henry Wilcie, jeśli myślisz, że będę tu stać i słuchać, jak mnie obrażasz...

- Nie obrażam cię. Mówię ci największy cholerny komplement, jaki w życiu usłyszałaś. Nie mam pojęcia, co bym zrobił bez ciebie. A teraz, na litość boską...

- Wiem, co zrobiłeś beze mnie! - krzyknęła Eva. - Kochałeś się z tą okropną kobietą...

- Kochałem się?! - wrzasnął Wilt. - To nie była miłość. To była wojna. Dzwonka chciała się na mnie utuczyc jak jakaś wygłodniała seksualna geś i...

Na dalsze wyjaśnienia nie starczyło mu czasu. Szafa się przesuwiała i w następnej chwili, nadal ściskając linę, uniósł się powoli w powietrze i zaczął jechać w stronę haka. Krzesło podążyło za nim i niebawem rozpląszczył się na suficie z głową wykrzywioną pod dziwacznym kątem. Eva popatrzyła na niego niezdecydowanie. Przez moment się wahała, ale nie mogła przecież pozwolić, żeby tam został, a poza tym powieszenie Niemki byłoby nie w porządku, skoro czworaczkom nic już nie groziło.

Chwyciła Willa za nogi i zaczęła go ciągnąć. Tymczasem na zewnątrz policja dosięgła już Gudrun Schautz i przecinała jej więzy. Kiedy lina puściła, Will spadł ze swojej grędy między kawałki krzesła.

- Moje biedactwo! - zawołała Eva głosem, który nagle przybrał nowy i, zdaniem Wilta, niepokojąco troskliwy ton.

Było typowe dla tej cholerycznej kobiety, że najpierw praktycznie robiła z niego kalekę, a potem miała wyrzuty sumienia. Gdy Eva objęła go ramieniem, Wilt jęknął i zdecydował, że przyszedł czas, żeby jej dyplomatycznie dokopać. Stracił przytomność.

Leżąca na trawniku pod oknem Gudrun Schautz również była nieprzytomna. Zanim zdążyła się całkiem udusić, ściągnięto ją na dół i szef Brygady Antyterrorystycznej robił jej teraz sztuczne oddychanie metodą usta-usta, nieco bardziej gorliwie niż było to konieczne. Inspektor Flint wolał tego nie oglądać i ostrożnie wszedł do domu. Dziura w kuchennej podłodze stanowiła wymowne świadectwo destrukcyjnej siły pękającej bioubikacji.

- Kompletni wariaci - wymamrotał przez chusteczkę do nosa i przejechał przez korytarz, wspiął się po schodach na poddasze.

Scena, która go tam przywitała, potwierdziła jego opinię. Wiltowie trzymali się w objęciach. Inspektor się wzdrygnął. Nigdy nie zrozumie, co tych dwoje diabolicznych ludzi widzi w sobie nawzajem. W gruncie rzeczy jednak wcale nie chciał tego zrozumieć. Są tajemnice, których lepiej nie zgłębiać. Odwrócił się ku swemu uporządkowanemu, nie znającemu takich ponurych zagadek świata i na podeście zderzył się z czworaczkami. Dziewczynki poprzebierały się w stroje znalezione w komodzie pani de Frackas, a na głowach miały kapelusze, które były modne przed pierwszą wojną światową. Flint zatrzymał czworaczki, gdy próbowały przemknąć obok niego.

- Myślę, że wasza mamusia i tatuś nie chcą, żeby im przeszkadzano - powiedział.

Wyznawał bowiem pogląd, że porządne dzieci nie powinny widzieć, jak ich nadzy rodzice się kochają. Ale czworaczki Wiltów nie były porządnymi dziećmi.

- A co robią? - zapytała Samantha.

Flint przełknął ślinę.

- Są... hmm... zajęci.

- A czym są zajęci? - indagowała radośnie Samantha, poprawiając sobie boa.

- Jak by to powiedzieć... - zaczął inspektor.

- Wiem, czym są zajęci - pisnęła Josephine. - Tym, co robią, kiedy myślą, że śpimy.

Flint wybałuszył oczy na obrzydliwie przedwcześnie rozwinięte dziecko.

- Dokładnie tak - mruknął i ruszył w dół.

Słyszał, jak za jego plecami czworaczki śpiewają, że tatusiowie mają dyndaski, a mamusie... Pospiesznie oddalił się i uznał, że smród w kuchni nie jest jeszcze taki najgorszy. Dwaj sanitariusze wynosili na noszach panią de Frackas. O dziwo, staruszka żyła.

- Kula utkwiała w fiszbinie jej gorsetu - wyjaśnił jeden z sanitariuszy. - Twarda starsza pani. Dziś już takich prawie nie ma.

Pani de Frackas otworzyła jedno oko.

- Czy dzieci żyją? - zapytała słabym głosem.

Flint skinął głową.

- Wszystko w porządku. Są całkowicie bezpieczne. Niepotrzebnie się pani o nie martwi.

- O nie? - jęknęła pani de Frackas. - Chyba pan nie sądzi, że martwię się o nie. Martwię się o siebie. Na samą myśl, że będę musiała mieszkać w sąsiedztwie tych małych bestii...

Chciała dać wyraz przerażeniu, ale okazało się to ponad jej siły i starsza pani opadła na poduszkę. Flint odprowadził ją do karetki.

- Odłączcie mnie od kroplówki - poprosiła błagalnym tonem, gdy wkładano ją do środka.

- Nie możemy tego zrobić, proszę pani - odparł sanitariusz. - To sprzeczne z przepisami związkowymi. - Zamknąwszy drzwi, zwrócił się do Flinta. - Jest w szoku, biedactwo. Czasem ludzie nie wiedzą wtedy, co mówią.

Ale inspektor wiedział, że pani de Frackas wiedziała, co mówi, i gdy karetka odjechała, ogarnęło go współczucie dla tej odważnej starej damy. Sam zastanawiał się nad złożeniem prośby o przeniesienie.

W college'u był koniec semestru. Wilt szedł przez błonia, trawa srebrzyła się przymrozkiem, kaczki dreptały brzegiem rzeki, a na pogodnym niebie świeciło słońce. Nie miał żadnych zebrań ani wykładów i jedyną chmurą na horyzoncie była możliwość, że dyrektor zechce pogratulować

rodzinie Wiltów jej niezwykłego ocalenia. Aby tego uniknąć, Wilt napomknął już wicedyrektorowi, że tak jaskrawa hipokryzja byłaby w najgorszym guście. Gdyby dyrektor miał wyrazić to, co czuł naprawdę, musiałby przyznać, że cholernie żałuje, iż terroryści nie spełnili swych grózb.

Niewątpliwie podzielał tę opinię doktor Mayfield. Wydział Specjalny wziął pod lupę studentów "Zaawansowanego angielskiego dla cudzoziemców" i Brygada Antyterrorystyczna zatrzymała do wyjaśnienia dwóch Irakijczyków. Analizie poddano także program kursu, i profesor Maerlis, kompetentnie wspomagany przez doktora Boarda, przedstawił raport, w którym ostro skrytykował seminarium ze współczesnych teorii rewolucji i przemian społecznych jako zdecydowanie wywrotowe oraz zachęcające do stosowania przemocy. Doktor Board pomógł także oczyścić Wilta z wszelkich zarzutów.

- Zważywszy na to, z jakimi politycznymi szaleńcami ma do czynienia w swojej sekcji, to prawdziwy cud, że Wilt nie jest zagorzałym faszystą. Weźcie na przykład Bilgera... - powiedział oficerowi z Wydziału Specjalnego, który kierował śledztwem.

Oficer wziął Bilgera. Kazał sobie również wyświetlić film i obejrzał go z niedowierzaniem.

- Nic dziwnego, że ten kraj zmierza do upadku, skoro zachęca pan swoich wykładowców do produkowania takiego plugastwa - oznajmił dyrektorowi, który z miejsca spróbował zrzucić winę na Wilta.

- Zawsze uważałem ten film za hańbę dla college'u - odparł Wilt. - I jeśli sprawdzi pan protokół zebrania Rady Szkolnej, zobaczy pan, że chciałem podać całą sprawę do wiadomości publicznej. Według mnie rodzice mają prawo wiedzieć, że ich dzieci są poddawane politycznej indoktrynacji.

Protokół dowiódł prawdziwość jego słów i od tej chwili Wilt był czysty. Oficjalnie.

Ale na froncie domowym wciąż czały się podejrzenia. Eva nabrała zwyczaju budzenia go nad ranem, aby żądać dowodu, że ją kocha.

- Oczywiście, do cholery, że cię kocham - mruzczał Wilt. - Ile razy mam ci to powtarzać?

- Czyny są wymowniejsze od słów - ripostowała Eva, przytulając się do niego.

- No, już dobrze - odpowiadał.

I spełnianie obowiązków małżeńskich mu służyło. Wilt, który tego mroźnego ranka szedł różnym krokiem do college'u, był mężczyzną szczuplejszym i zdrowszym, a świadomość, że idzie tą drogą po raz ostatni, dodatkowo poprawiła mu humor. Wyprowadzali się z Willington Road. Kiedy rano wychodził z domu, furgonetka firmy przewozowej już czekała, a po pracy miał się udać na Oakhurst Avenue 45. Nową siedzibę wybrała Eva. Przeprowadzka oznaczała, że na drabinie społecznej znajdują się o kilka szczebli niżej, ale dom przy Willington Road wytwarzał zdaniem Ewy negatywne wibracje. Nie aprobując tego określenia, Wilt zaaprobował decyzję. Nigdy nie znosił wielkopańskich pretensji sąsiedztwa, a Oakhurst Avenue była przyjemnie anonimowa.

- Przynajmniej będziemy daleko do liaute academie i reliktyw imperialnej pychy - powiedział Peterowi Braintreemu, gdy siedzieli w "Kocie w Worku" po dyrektorskim przemówieniu. Nie było w nim nawet wzmianki o ciężkich przejściach Wilta i właśnie to świętowali.

- A poza tym jest tam w pobliżu spokojny mały pub, więc nie będę musiał produkować wyborowego.

- Bogu dzięki. Ale czy Eva nie będzie wzdychać za przyzmą kompostową i całą resztą?

Wilt z pogodną miną upił łyk piwa.

- Wybuchy biotoalet przynoszą niewiarygodne efekty dydaktyczne - odparł. - Stwierdzenie, że nasz wybuch ujawnił kardynalne wady alternatywnego społeczeństwa, byłby może przesadą, ale na pewno poprzestawiał Ewie w głowie. Zauważyłem, że zaczęła kupować leczniczy papier toaletowy, i nie dziwiłbym się wcale, gdybym się dowiedział, że robi herbatę z wody destylowanej.

- Ale będzie musiała znaleźć coś, co pochłonie jej energię.

Wilt skinął głową.

- Już znalazła. Czworaczki. Postanowiła dopilnować, żeby nie wyrosły na podobieństwo Gudrun Schautz. Moim zdaniem to sprawa z góry przegrana, ale przynajmniej udało mi się ją odwieść od zamiaru posłania małych do szkoły klasztornej. To nadzwyczajne, jak się ostatnio poprawił ich język. Ogólnie biorąc, wydaje mi się, że życie będzie teraz trochę spokojniejsze.

Jak wiele innych przepowiedni Wilta, również i ta była przedwczesna. Kiedy spędziwszy godzinę na porządkowaniu swojego gabinetu, zadowolony z siebie dotarł niespiesznym krokiem na

Oakhurst Avenue, zastał nowy dom ciemny i pusty. Ani śladu Ewy, czworaczków i furgonetki. Po godzinie czekania zadzwonił z automatu na Willington Road. Eva wybuchła na drugim końcu linii.

- To nie moja wina! - zawołała. - Trzeba było rozładować furgonetkę.

- Rozładować furgonetkę? Dlaczego, do licha?

- Ponieważ Josephine schowała się w szafie, a szafę zapakowaliśmy na samym początku.

- Nie musieliście z tego powodu rozładowywać furgonetki - odparł Wilt. - Nie uduśliłyby się, a miałyby nauczkę na przyszłość.

- A co z kotem pani de Frackas, pudlem Ballów, czterema królikami Jennifer Willis i...

- Z czym? - zapytał Wilt.

- Bawiła się w zakładników! - krzyknęła Eva. - I...

Ale czas rozmowy dobiegł końca, a Wiltowi nie chciało się wrzucać do automatu drugiej monety. Ruszył powoli ulicą, zastanawiając się, cóż takiego jest w jego małżeństwie z Ewą, co zamienia zwykłe, codzienne wydarzenia w małe katastrofy. Nie potrafił się zmusić, by wyobrazić sobie, co przeżywała zamknięta w szafie Josephine. Mówić tu o urazach... Cóż, nie mająk doświadczenie. I gdy tak szedł Oakhurst Avenue w stronę pubu, nagle ogarnęło go współczucie dla nowych sąsiadów. Nie mieli jeszcze pojęcia, co ich czeka.